

Wincenty - Jerzy - Dróżyński

POSZUKIWACZE TAJEMNIC III RZESZY

W I E D Z A

W-J-D
2015

„Niebezpieczna wiedza istniała zawsze. Istnieje też i dzisiaj.”

Albert Einstein

Dedykuję „Wampirowi”

On wie ...

Wszystkie tu opisane osoby oraz fakty i zdarzenia są fikcją literacką, ale wcale nie wyklucza to możliwości, że niektóre fakty i zdarzenia miały miejsce w rzeczywistości.

Zamiast wstępu.

Strefa operacyjna 1 Frontu Białoruskiego 4 styczeń 1945 roku.

Na dziedzińcu przed biurowcem opuszczonej kopalni stało kilkunastu niemieckich żołnierzy. Dziesięciu żołnierzy Wehrmachtu na czele z feldweblem Karlem Wurstem przeżyło się w dwuszeregu przed ich tymczasowym dowódcą - SS-Standartenführerem Franzem Bredowem. Przed wojną wszyscy byli zawodowymi kierowcami. Teraz ich umiejętności zostały wykorzystane w misji specjalnej. Dodatkowo robili jeszcze za tragarzy tego ładunku specjalnego, który został złożony w specjalnie do tego przygotowanej skrytce. Tak przynajmniej im się wydawało. Po lewej stronie SS-Standartenführera udawało postawę zasadniczą pięciu jego esesmanów.

Ostre powietrze styczniowego dnia 1945 roku mroziło twarze stojących. Południowe promienie słońca w czystym górskim powietrzu tylko sugerowały, że grzeją. Tak naprawdę, to tylko wyostrzały wszystkie kontury i szczegóły. Dowódca kończył swoją przemowę.

Podziękował żołnierzom Wehrmachtu za wzorowe wykonanie zadania i nakazał im wrócić do swojej jednostki. Podniósł prawą rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Esesmani płynnym ruchem zdjęli swoje pistolety maszynowe i wymierzili je w żołnierzy Wehrmachtu. Ręka opadła w dół i Schmeissery plunęły strugami 9 milimetrowych pocisków. Żołnierze Wehrmachtu nie zdążyli się nawet zdziwić, gdy śmierć brała ich w swoje objęcia.

SS-Standartenführer odpiął kaburę i wyciągnął Parabellum. Podszedł do leżących i padło osiem strzałów mierzonych w głowy leżących. Zmienił magazynek i kolejne trzy strzały zabrzmiały w powietrzu. Miał zaufanie do swoich morderców w czarnych mundurach, ale ta tajemnica musiała zostać tajemnicą i musiał mieć pewność, że nikt z niepowołanych świadków nie ma prawa przeżyć. Schował broń do kabury i ruchem ręki polecił usunąć ciała.

Sam podszedł do radiostacji zamontowanej na bocznej burcie łazika. Wysłał zakodowany meldunek. Zapewne gdyby wiedział, że użycie tego kryptonimu oznacza pominięcie drogi służbowej, to zredagowałby go inaczej. A tak, meldunek trafił bezpośrednio na biurko Martina Bormanna i nie było w nim wzmianki, że zmieniono lokalizację skrytki tego ładunku specjalnego. O tym fackie zamierzał powiadomić swoich przełożonych po powrocie do Berlina. Miało to mieć brzemiennie skutki w przyszłości.

Spojrzał co robią jego ludzie. Z zadowoleniem stwierdził, że wszystko przebiega zgodnie z jego rozkazami. Esesmani przyprowadzili dwa wózki używane do transportu w magazynach. Załadowali na nie pomordowanych niemieckich żołnierzy i ruszyli z upiornym ładunkiem w kierunku wysadzonego szybu kopalni. Wrócili i zajęli się samochodami ciężarowymi, które przywiozły ładunek specjalny. Odkręcili korki zbiorników z paliwem i wetknęli w otwory wąskie szmaty z bawełny. Poczekali moment i gdy bawełna napiła się benzyny, podpalili je. Spalone samochody ciężarowe w strefie przyfrontowej nie powinny nikogo zainteresować. Nie powinny, a jednak los chciał inaczej.

Para myśliwskich „Jaków” miała już kończyć swój lot patrolowy, gdy prowadzący zauważył czarne smugi dymu unoszące się w kryształowo czystym górskim powietrzu. To był rejon ich patrolu. O spotkaniu samolotów Luftwaffe mógł tylko pomarzyć. Niemieckie samoloty rzadko pokazywały się w powietrzu w tych ostatnich dniach wojny. Jego przełożeni wiedzieli o tym i miał zgodę na atakowanie każdego celu, który uzna za godny ataku.

Zdecydował, że warto sprawdzić o co tu chodzi. Myśliwska para zatoczyła dwa kręgi nad płonącymi ciężarówkami. Oprócz ośmiu płonących samochodów nie zobaczyli nic więcej. W rejonie opuszczonej kopalni nic się więcej nie działo. Mieli już wracać do domu, gdy bystre oczy prowadzącego zauważyły dwa ciemne pudełka wozów terenowych jadących powoli krętą górską

drogą. Nie zastanawiał się długo. Do tej pory nie użyli broni zamontowanej na pokładach samolotów, bo nie znaleźli nic godnego ataku. Wstyd było wracać z dziewiczo czystymi wylotami broni. Był jeszcze inny powód jego decyzji. Oficer polityczny mógłby zważyć w ich wolę walki i zacząć zadawać niebezpieczne pytania. Jego „Jak” kiwnął skrzydłami z lewej na prawą i to był zrozumiały sygnał dla jego towarzysza – mieli zaatakować cel na ziemi. Para „Jaków” zanurkowała w kierunku jadących samochodów.

Esesmani nie mogli zauważyć niebezpieczeństwa. Silniki ich terenowych Volkswagenów pracowały zbyt hałaśliwie na niskim biegu w czasie jazdy krętą górską drogą, by mogli usłyszeć warkot lotniczych silników. Dopiero ścieg wybuchających pocisków przed pierwszym samochodem uświadomił im, że stali się celem ataku. Na bardziej sensowną reakcję nie starczyło im czasu. Co prawda pierwszy „Jak” nie trafił bezpośrednio w prowadzący samochód, ale jego skrzydłowy odłożył właściwą poprawkę i pociski z jego działka i lawina stali z karabinu maszynowego dosłownie rozniosła w strzępy drugi samochód. Kierowca pierwszego łazika i jego pasażerowie może i miałiby jakąś szansę na przeżycie, gdyby nie zareagował zbyt emocjonalnie. Wdusił do oporu hamulec. Samochód zatańczył na krętej górskiej drodze. Obrócił się wokół swej osi jak bąk i gdy kierowca zwolnił hamulec, runął w stronę przepaści kryjącej się za stromym zboczem drogi. Dwa razy przekoziołkował i zatrzymał się na skraju przepaści. Para „Jaków” zatoczyła krąg i prowadzący dokończył dzieła. Pociski z jego broni pokładowej zamieniły nieruchomy teraz cel w bezkształtną masę poskręcanych metalowych części.

Rosjanie zaatakowali i zniszczyli dwa niemieckie samochody sztabowe. Tak też napisali w swoim meldunku po wylądowaniu. O ośmiu spalonych ciężarówkach, które zauważyli, nawet nie wspomnieli. Nic więc dziwnego, że ich meldunek został odłożony na stos innych mało ważnych. Nie było żadnych powodów, aby zainteresował się nim oficer wywiadu. W ten sposób pomogli dodatkowo utajnić niemiecką tajną operację. Nad jej rozwiązaniem głowiło się później przez wiele dziesiątków lat kilka służb specjalnych i wywiadów. W końcu nawet i oni się poddali. Jedynymi którzy nie zrezygnowali byli poszukiwacze skarbów. Wychodzili chyba ze słusznego założenia, że to co człowiek schował, człowiek może znaleźć.

*

Wolfsschanze – Wilczy Szaniec, polowa kwatery Hitlera w pobliżu Rastenburga – Kętrzyna, kwiecień 1943 roku.

Tablice zbliżającego się czarnego Horcha oznaczone były podwójną błyskawicą SS. Czarny lakier karoserii błyszczał w świetle wschodzącego słońca w poranny dzień tego kwietniowego dnia 1943 roku. Widać było, że samochód jest utrzymany w doskonałym stanie. Nie był to często spotykany widok w III Rzeszy w tym czasie. Fabryka Horcha nie produkowała już od dawna luksusowych limuzyn, tylko broń i samochody pancerne dla Wehrmachtu. Tylko nieliczni dygnitarze III Rzeszy dysponowali takimi pojazdami. Normalnie nikt zdrowo myślący w Niemczech nie odważyłby się na zatrzymanie takiego pojazdu i skontrolowanie osób nim jadących.

Wolfsschanze do którego zbliżał się pojazd rządził się jednak innymi prawami. Wilczy Szaniec był polową kwaterą Hitlera i tylko nieliczni mieli tu prawo wstępu. Z betonowego budynku posterunku kontrolnego wyszedł na jasno już oświetloną drogę SS-Hauptsturmführer z pistoletem maszynowym na ramieniu. Aroganckim ruchem ręki nakazał kierowcy zatrzymanie samochodu. Był to zupełnie niepotrzebny gest. Drogę przegradzał masywny szlaban pomalowany w czarno-żółte pasy. Tylko samobójca próbował sforsować tą zaporę. Czarne wyloty broni maszynowej sterujące z bunkra ochrony były argumentem, którego nikt nie mógł zlekceważyć i miały jednoznaczną wymowę.

Na otoku czapki kapitana widniała trupa czaszka. Za jego plecami pojawili się SS-Scharführer i SS-Hauptscharführer. Na wąskich opaskach zdobiących rękawy ich czarnych mundurów widniał wyszyty srebrną nicią napis ADOLF HITLER, który jednoznacznie informował, że są członkami Leibstandarte SS Adolf Hitler, czyli gwardii przybocznej Hitlera. Na piersi mieli zawieszane pistolety maszynowe MP-40, a ułożenie rąk na broni nie pozostawiało żadnej wątpliwości, że mogą z niej zrobić natychmiastowy użytek jeśli zaistnieje taka potrzeba.

SS-Hauptsturmführer podszedł do Horcha i wyciągnął prawą rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Pasażer w mundurze SS-Standartenführera szczenił – Heil Hitler! - Siegnął do kieszeni po dokumenty i podał je Hauptsturmführerowi.

-Standartenführer Meyer do Reichsleiters Martina Bormana – oznajmił. – Czekają na mnie.

-Proszę polecić swojemu kierowcy, aby odstawił samochód na parking, Standartenführer, a ja w tym czasie sprawdzę pańskie dokumenty – powiedział Hauptscharführer, otwierając tylne drzwiczki Horcha.

Meyer wysiadł. Opaska nad prawym ramieniem jego kurtki mundurowej miała wyszyte srebrną nicią litery SD. Oznaczało to, że jest członkiem Sicherheitsdienst, służby bezpieczeństwa wewnątrz SS. Czekał na drodze przed szlabanem, podczas gdy Hauptsturmführer wszedł do jednego z trzech budynków usytuowanych przy punkcie kontrolnym. Nawet Standartenführer Sicherheitsdienst nie miał prawa wstępu do Wilczego Szańca bez dokładnej kontroli. Tajna kwatera Hitlera była chroniona w dobrze przemyślany sposób.

Hauptsturmführer pojawił się po minucie i zsalutował.

-Proszę za mną Standartenführer. Zaprowadzę pana do samochodu.

-Dziękuję – odpowiedział Meyer i podniósł prawą rękę w faszystowskim pozdrowieniu.

Czarno-żółty szlaban uniósł się z szumem hydraulicznego młaśnięcia i obydwaj esesmani przeszli zewnętrzną strefę ochronną Wilczego Szańca. Teren ten chroniony był przez liczne wieże strażnicze i bunkry najeżone bronią maszynową, a także przez gęste i rozległe pola minowe. Doszli do miejsca, gdzie metalowa siatka ogrodzenia wyznaczała kolejną strefę ochronną. Z parkingu po drugiej stronie siatki ruszył czarny Mercedes i podjechał do szlabanu. Kierowca w stopniu SS-Unterscharführera wyskoczył zza kierownicy i obiegnął samochód. Otworzył tylne prawe drzwi samochodu i uniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu.

Oficerowie SS odpowiedzialni za bezpieczeństwo Führera w jego kwatery połowej odległej od Berlina o sześćset kilometrów zastosowali oryginalny element zabezpieczenia. Uznali, że goście ich wodza będą się poruszać wewnątrz Wilczego Szańca wyłącznie samochodami należącymi do bazy. Pojazdy zaproszonych musiały czekać na zewnętrznym parkingu. Unikano w ten sposób straty czasu na niezbędne i pracochłonne przeszukiwania. Było to sensowne rozwiązanie. Chroniony teren miał wymiary około dwa i pół kilometra na czternaście kilometrów. Próba zafundowania spacerów po tak rozległym terenie nie wzbudziłaby zapewne zachwyty u prominentnych notabli i mogła stanowić zarzewie niepotrzebnych konfliktów. W ten prosty sposób rozwiązano dwa niebłahe problemy.

Wydawało się, że system ten zapewni pełną ochronę przed zakusami zamachu na wodza Trzeciej Rzeszy, albowiem broń osobista gości była rekwirowana przez jeden z ostatnich posterunków ochrony. Jednak po raz kolejny historia pokazała, że żaden tyran nie może się czuć bezpiecznie. Na samego Hitlera zorganizowano prawie 40 zamachów. Ile było prawdziwych, a ile zorganizowały jego służby specjalne, aby wykazać się swoją sprawnością to już zupełnie inna bajka. Niemniej system ten został uznany przez wiele renomowanych służb specjalnych za wart naśladowania i po niewielkich modyfikacjach używany jest do dzisiaj.

SS-Unterscharführer poczekał, aż Meyer usadowi się wygodnie na tylnym siedzeniu Mercedesa i zatrzasnął drzwiczki samochodu. Usiadł za kierownicą i ruszyli. Jechali asfaltową drogą otoczoną gęstą ścianą sosnowego lasu. Zielona kurtyna skutecznie maskowała co się za nią kryło. Pasażer mógł tylko podziwiać piękno miejscowej przyrody. Przejechali już ponad kilometr, gdy Meyer zauważył dwie lśniące wstęgi szyn kolejowych i bocznice na której stał prywatny pociąg Führera. Jedenaście wagonów składu pilnowały posterunki SS-manów. Nikogo więcej nie było widać. Wyraźny znak, że Führer musiał przebywać w innym miejscu. Po chwili pojawiły się budynki wewnętrznej części Wilczego Szańca. Wszystko otoczone drutem kolczastym, stanowiskami karabinów maszynowych i wieżyczkami strażniczymi. Stacjonował tu personel odpowiedzialny za ochronę i zarządzanie Wolfsschanze.

Tutaj znajdowała się siedziba dowódcy bazy i jego sztabu oraz kwatery batalionu Leibstandarte, czarnych pretorian Hitlera. Dalej były dwie kantyny, w tym ta najbardziej popularna, znana pod nazwą Kurhaus – Uzdrowisko. Kolejną budowlą był betonowy schron przeciwlotniczy, zwany „Heinrich”. Był na tyle duży, że mógł zapewnić schronienie wszystkim mieszkańcom sąsiednich budynków.

Po prawej stronie drogi, na przestrzeni prawie kilometra, ciągnęły się budynki będące siedzibą dostojników drugiego garnituru władzy Trzeciej Rzeszy. Swoją siedzibę miał tu minister spraw zagranicznych, Joachim von Ribbentrop, admirał Karl Donitz - głównodowodzący Kriegsmarine, dowództwo Luftwaffe i Albert Speer – szef produkcji zbrojeniowej III Rzeszy.

Po drugiej stronie była ulokowana kwatery samego Führera w trzynastu bunkrach. Największym był Führerbunker. Dwa najbliższe zajmowali adiutanci Führera i osobisty personel medyczny wodza. Resztę orszaku dopełniali adiutanci z Wehrmachtu i osobiste sekretarki Führera.

Patrząc od wschodu, następnym budynkiem była siedziba marszałka Rzeszy, Hermanna Göringa i kawałek dalej jego osobisty bunker. Przestrzeń pomiędzy nimi i bunkrem Hitlera wykorzystano na zbudowanie pomieszczeń dla VIP-ów, które potocznie nazywano Herbaciarnią. Dalej znajdowały się biura i bunkry przydzielone marszałkowi polnemu, Wilhelmowi Keitlowi, szefowi Ober Komando der Wehrmacht (OKW) czyli Dowództwa Sił Zbrojnych. Jego pozycja w hierarchii faszystowskich Niemiec była niższa i musiał on dzielić bunkier z Generaloberstem Alfredem Jodlem, szefem sztabu sił zbrojnych III Rzeszy i admirałem Wilhelmem Canarisem, szefem Abwehry, zwierzchnikiem wywiadu wojskowego OKW.

SS-Standartenführer Hans Meyer był wieszony do osobistego bunkra Martina Bormanna, a przynajmniej tak mu się wydawało. Zdawał sobie doskonale sprawę, że lokalizacje miejsc zajmowanych przez poszczególnych notabli III Rzeszy w Wilczym Szańcu oddają jeszcze dokładniej niż Berlin hierarchię osób ze szczytu władzy Wielkiej Rzeszy. Pozycja Martina Bormanna nie mogła budzić żadnych wątpliwości. Zawsze był obecny przy boku Führera. W jego imieniu kierował partią. Zarządzał majątkiem NSDAP* i osobistymi finansami Hitlera. On decydował kto i kiedy spotka się z Führerem. Wydawało się, że jego jedynym celem życia jest służba dla Adolfa Hitlera. Osobisty sekretarz Wodza posiadał olbrzymią władzę i umiejętnie z niej korzystał. To wszystko było znane Meyerowi. Z Bormannem znał się jeszcze z dawnych czasów, gdy faszyci dochodzili do władzy w Niemczech. Nie wiedział tylko, że dzisiejsze spotkanie postawi przed nim poważny dylemat natury moralnej i zdecyduje o jego dalszych losach. Człowiek przez całe życie dokonuje wyborów, tylko nie zawsze wie dokąd go to zaprowadzi.

Mercedes zatrzymał się przed wejściem do kwatery Führera. Stojący tu SS-Obersturmführer musiał już być poinformowany o jego wizycie, bo szczerka:

– Heil Hitler! Jeśli pan pozwoli za mną, Standartenführer, zaprowadzę pana do gabinetu Reichsleiters Bormanna.

Dziękuję – powiedział Meyer i wszedł za esesmanem do kwatery Führera.

Była to jego druga wizyta w tym miejscu. Poprzednio towarzyszył Reichsführerowi Heinrichowi Himmlerowi, gdy ten referował Hitlerowi swoje nowe pomysły na rozwiązanie kwestii żydowskiej. Dzisiaj miał trafić przed oblicze Martina Bormanna.

Wilczy Szaniec, Gabinet Reichsleiters Martina Bormanna kwiecień 1943 roku

Pomieszczenie pozbawione było okien. Parometrowa warstwa litego betonu ścian była pokryta modrzewiową boazerią. Na ścianie za biurkiem gospodarza wisiał olejny portret Führera. Sąsiednią ścianę zdobił osobisty prezent Führera. Monstrualne płótno przedstawiające górski krajobraz. Krótce strzyżony perski dywan zajmował sporą część powierzchni podłogi wykonanej z jasnego dębu, który doskonale harmonizował z boazerią na ścianach.

Witaj Hans! – gospodarz podniósł się zza biurka i uściśnął dłoń Meyera. – Jak podróż?

Bormann nie był wysokim mężczyzną. Miał na sobie partyjny mundur w brązowym kolorze. Zdobiła go jedynie opaska ze swastyką na prawym ramieniu i Order Krwi, przypięty na prawej piersi. Order ten przyznawano tylko i wyłącznie uczestnikom nieudanej próby puczu monachijskiego z 1923 roku. Przedstawiał widok Feldhernhalle w Monachium w otoczeniu wieńca z dębowych liści. Zwieńczony był orłem i opatrzony napisem: DO WAS NALEŻY ZWYCIĘSTWO.

Dziękuję, bez specjalnych niespodzianek – odpowiedział Meyer, ściskając dłoń Bormanna.

Proszę, siadaj – gospodarz zaprosił go gestem ręki do zajęcia miejsca na krześle stojącym przed biurkiem. Sam usiadł za biurkiem i sięgnął do dolnej szuflady. Wyciągnął dwie kartki papieru i jedną podał Meyerowi.

*Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei - NSDAP - Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników

Chwilę trwało zanim Standartenführer przetrwał treść tego niecodziennego dokumentu. Podniósł pytający wzrok na gospodarza, a ten wyjaśnił.

- Musimy myśleć nie tylko o tym co się dzieje teraz, ale i o dalszej przyszłości narodu niemieckiego.

Wyjaśnienie było nieco enigmatyczne, ale Meyer zdawał sobie doskonale sprawę, że tyle musi mu na razie wystarczyć. Z kolei Bormann nie mógł mu nic więcej powiedzieć, bo Grossplan był najpilniej strzeżoną tajemnicą III Rzeszy. Wiedziało o niej tylko parę osób z najwyższych kręgów władzy III Rzeszy. Najciekawsze w tym wszystkim było to, że „zapomniano” poinformować o tym samego Führera. Historia pokazała, że ci co podjęli taką decyzję byli nie tylko fanatykami faszyzmu. Mieli dosyć wiedzy i wyobraźni, aby przewidzieć różne warianty zakończenia II Wojny Światowej. Dla nich historia panowania nad światem nie kończyła się na III Rzeszy. Do realizacji Grossplanu potrzebni byli odpowiedni ludzie i Bormann dokonał takiego wyboru. Jedną z tych osób miał być Standartenführer Hans Meyer. Odebrał od niego pierwszą kartkę papieru i podał następną. Ta pierwsza pachniała zdradą stanu i nie mogła nigdy wpaść w niepowołane ręce.

Standartenführer z podziwem wpatrywał się w treść drugiego dokumentu, który trzymał w ręce. Data wystawienia nie miała nic wspólnego z psikusami jaki sobie ludzie robią w tym dniu.

NATIONALSOZIALISTISCHE DEUTSCHE ARBEITERPARTEI*

Berlin 1 kwietnia 1943 roku

Posiadacz tego dokumentu - SS-Standartenführer Hans Meyer wypełnia tajną misję najwyższej wagi dla Rzeszy Niemieckiej. SS-Standartenführer Hans Meyer osobiście decyduje kogo i w jakiej formie będzie informował o charakterze swojej misji. Osoby te:

- a) Obowiązane są udzielić SS-Standartenführerowi Hansowi Meyerowi wszelkiej pomocy jakiej zażąda.
- b) W żadnych okolicznościach nie mają prawa przekazywać jakichkolwiek informacji dotyczących misji. SS-Standartenführera Hansa Meyera osobom trzecim, bez jednoznacznego zezwolenia SS-Standartenführera Hansa Meyera.
- c) Nie mają prawa informowania jakiegokolwiek instytucji Rzeszy Niemieckiej i przekazywania im jakichkolwiek informacji o misji SS-Standartenführera Hansa Meyera bez otrzymania każdorazowo jednoznacznego zezwolenia SS-Standartenführera Hansa Meyera.
- d) Odmowa wykonania poleceń SS-Standartenführera Hansa Meyera będzie traktowana jako zdrada stanu.

(-)
Martin Bormann
Reichsleiter

(-)
Wilhelm Keitel
Feldmarszałek

(-)
Heinrich Himmler
Reichsführer

(-)
Karl Donitz
Grossadmiral

(-)
Joachim von Ribbentrop
Minister Spraw Zagranicznych

(-)
Wilhelm Canaris
Kontradmirał

Siła rażenia dokumentu była porażająca. Dawała olbrzymią władzę i Hans Meyer doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Teraz musiał rozstrzygnąć dylemat, którego zaczątki pojawiły się już w momencie kiedy Himmler wyznaczył go na oficera łącznikowego SS-SD przy urzędzie sekretarza partii – inaczej mówiąc, przy samym Martinie Bormannie. Komu powinien być bezprzykładnie lojalny? Czy Himmlerowi, który był jego bezpośrednim przełożonym czy też Bormannowi z którym łączyły go więzy osobistej przyjaźni? Byłoby oczywiście lepiej, gdyby takie pytanie nigdy się nie pojawiło. Było jednak inaczej i trzeba było się na coś zdecydować.

Oczywistym dla Meyera było – równie dobrze wiedział o tym Bormann – iż Himmler oczekiwał, że Meyer będzie obserwował Bormanna i jego personel i poinformuje go o czym Bormann donosi Hitlerowi. Mógł na to liczyć, bo był jego podwładnym i też znali się z początków ruchu nazistowskiego.

Führer był tylko jeden. To też było dla Meyera oczywiste jak to, że dwa dodać dwa to cztery. Jasnym było również to, że walka o drugą pozycję w III Rzeszy nadal nie jest rozstrzygnięta. Zarówno Himmler jak i Bormann byli w jakimś stopniu politykami i mieli swoje ambicje polityczne. Różniło ich w zasadzie jedno. Celem Himmlera była służba Państwu, które definiował w dosyć specyficzny sposób. Bormann służył Führerowi. Dla Meyera najważniejszą kwestią było – co będzie najlepsze dla samego Führera? Poza tym nie miał żadnych wątpliwości, że Hitler zmuszony do dokonania wyboru pomiędzy tymi dwoma, stanąłby po stronie Bormanna. Uznał, że przysięga na wierność Hitlerowi, którą złożył jako oficer SS, wymaga lojalności wobec Bormanna, a nie Himmlera.

Rozumiem, że mam zatrzymać ten dokument? – zapytał Meyer.

Bormann skinął głową i złożona kartka papieru zniknęła w wewnętrznej kieszeni munduru SS-
Standartenführera Hansa Meyera.

Kiedy mam zacząć Reichsleiter?

Od zaraz. He-111 czeka już na lotnisku. Z Berlina polecisz do Lizbony. Stamtąd do Argentyny. Dokumenty podróży odbierzesz w moim sekretariacie. Po powrocie zameldujesz się u mnie.

Tak jest! – Meyer uścisnął podaną na pożegnanie dłoń i opuścił gabinet.

Jeden z trybików Grossplanu zaczął się kręcić. Dalsze działania SS-
Standartenführera Hansa Meyera miały przyprawić w przyszłości o ból głowy wywiad i służby specjalne aliantów. Rąbka tajemnicy mieli dopiero uchylić poszukiwacze skarbów i to ponad pół wieku później.

Uniwersytet Poznański

Wydział Historii

Gabinet doktora Andrzeja Dytrzaka.

- Jezu! Chyba Bozia odebrała ci rozum! – wypalił Andrzej to co mu jako pierwsze przyszło na myśl i zaraz tego pożałował.

- Do kurwy nędzy! O czym ty pieprzysz Andrzeju! Jaka Bozia!? Jaki rozum!? - Piwne oczy jego przyjaciela nagle pociemniały i zaczęły mrozić powietrze.

Andrzej zaniepokoił się nie na żarty. Nie sądził, że jego niewinna uwaga wywoła taką reakcję Marka. Już od dawna wydawało mu się, że zna go dłużej niż samego siebie i nie spodziewał się takiej reakcji. A wszystko wskazywało, że jest to dopiero początek erupcji wulkanu. Znał to spojrzenie jeszcze z czasów ich znajomości na studiach. Ten wyraz twarzy i to spojrzenie było niewątpliwym zwiastunem nadciągającej potężnej awantury. Nie o to przecież mu chodziło. Postanowił więc zażegnać niebezpieczeństwo i powiedział:

- „Mea culpa” – Moja wina. Sam wiesz, że nie to miałem na myśli.

Spojrzenie Marka straciło temperaturę ciekłego azotu, ale oblicze było nadal dalekie od pogodnego. Mimo tego chciał wyjaśnić swoje wątpliwości i zaryzykował.

- Sam wiesz, że to co powiedziałeś brzmi więcej niż nieprawdopodobnie. Mój ścisły umysł historyka stanowczo buntuje się przed przyjęciem tego do wiadomości jako prawdy objawionej.

Marek uśmiechnął się. Tak wyraźnie podanej gałązki oliwnej nie można było odrzucić. Tym bardziej, że wnioski do których doszedł bazowały w dużej mierze na informacjach jakich mu dostarczył Andrzej i jego dokonania w czasie ich ostatnich poszukiwań mienia zagrabionego przez hitlerowców w czasie drugiej wojny światowej.

- Dobra! Jeśli będziesz zgrywał waźniaka, to nie zdradzę ci co jeszcze wiem. – powiedział już normalnym tonem.

- Że tak naprawdę, to Ziemia nie jest wcale płaska?

- No dobra! – poddał się Marek. – Co ci nie pasuje w mojej teorii?

- Uważasz, że to złoto co je znaleźliśmy w zamku Lutzow jest formą maskowania laboratorium, które tam istniało i które w końcu też odkryliśmy. Jak by tego było mało, to uważasz, że laboratorium było miejscem, gdzie Niemcy badali technologie, które istniały na długo przed naszą cywilizacją. Według ciebie te technologie reprezentują poziom do jakiego zaczynamy dochodzić w obecnej epoce. Można odnieść wrażenie, że podejrzewasz Niemców o jakieś kontakty z UFO-ludkami. Wybacz, ale gdybyś, to powiedział w dniu swojego urodzenia, to bez dwu zdań zamknęły by cię od razu u czubków.

- No, może nie byłoby tak źle – Marek uśmiechnął się pod nosem. – Odpowiedz mi jednak na jedno pytanie. Co zostałyby z naszej obecnej cywilizacji po 10 tysiącach lat, gdyby nagle w ciągu miesiąca jakaś zaraza zabiła całą populację na Ziemi? No, może nie całą. Przy życiu zostałyby nieliczne grupy ludzi żyjące w dzikich odstępach Amazonki czy w górach Tybetu?

Andrzej Dytrzak, dyplomowany historyk w dziedzinie historii gospodarczej XX wieku, zastanowił się poważnie. Sam sprokurował sytuację w której padło to pytanie. Za długo zaś znał swojego przyjaciela, aby nie wyczuć w tym jakiejś pułapki. Zaczął więc ostrożnie.

- No...., zostałyby wyludnione wielkie aglomeracje i centra przemysłowe. Banki informatyczne z zapisami naszych osiągnięć i dokonań. Stacje kosmiczne na orbicie i wiele innych rzeczy.

- Jesteś bliski popełnienia błędu! – stwierdził autorytatywnie Marek. – Wielkiego błędu. Po naszej cywilizacji nie zostałby żaden ślad dla historyka badającego później życie na Ziemi.

- Naprawdę?! Skąd to wiesz?

- To proste! Po 10 tysiącach lat, to co wymieniłeś zamieni się w zwykły pył. Metal zostanie zredukowana do tlenków metali, a beton do piasku i żwiru z którego został wytworzony. Nie zostanie po nas żaden ślad w postaci kamiennej piramidy czy informacji wypalanej w tabliczce z gliny. Wiatr rozwieje nasze osiągnięcia na całej powierzchni planety. No, może za wyjątkiem śladów wojny atomowej jeśli ją wywołamy.

Andrzej był wstrząśnięty przedstawioną mu wizją. - To czego ty właściwie szukasz? Skarbów III Rzeszy czy dowodów na istnienie obcej cywilizacji na Ziemi?

- I jednego i drugiego. – z rozbijającą szczerością odparł Marek.

- To może jeszcze powiesz, że UFO też ma coś wspólnego z naszymi poszukiwaniami? -

Andrzej nie mógł sobie odmówić odrobiny uszczypliwości.

- Nie ująłbym tego w ten sposób, ale ... – Marek zamilkł i zamyślił się.

Ty naprawdę wierzysz w UFO? Nie jesteś za stary, aby wierzyć w duchy? – Andrzej zadał pytanie z miną nauczyciela, który zafundował swojemu najlepszemu uczniowi dodatkowy test na inteligencję i teraz z nieukrywaną ciekawością czeka na wynik tego sprawdzianu.

-Przecież nawet jak ci powiem prawdę, to i tak mi nie uwierzysz. – Marek najwyraźniej grał na zwłokę i usiłował dociec o co tak naprawdę chodzi Andrzejowi.

- No ... , właściwie to tak. Prawda jest jak dupa, każdy ma własną.

- No widzisz! Już masz odpowiedź.

- Ty się nie baw w jezuitę i nie odwracaj kota ogonem. Ja dobrze znam ten numer z odpowiadaniem pytaniem na pytanie.

- To o co ci właściwie chodzi? – Marek osiągnął swój cel i uniknął odpowiedzi.

- To jest równie łatwe i przyjemne jak rwanie zęba bez znieczulenia – mruknął

Andrzej.

- Że jak? – Marek był autentycznie zdumiony i zdezorientowany taką zmianą tematu.

- Właśnie tak! Kiedy rzniesz głupa, bo nie masz najmniejszej ochoty odpowiedzieć na najprostsze pytanie.

Andrzej nie był zły, ale irytowała go taka forma prowadzenia rozmowy przez jego przyjaciela. Tym bardziej, że często odnosił nieprzyjemne, irracjonalne wrażenie podczas takich wymian poglądów. Czuł się tak, jakby Marek „podprowadził” mu rower, a później mu go wspaniałomyślnie pożyczał. To było wybitnie frustrujące. Musiał to dzisiaj zmienić. Miał na to metodę, a ta jak kij, miała dwa końce. Nigdy nie mógł przewidzieć jaki to będzie miało finał. Postanowił jednak spróbować i zacząć z innej beczki.

- To czego ode mnie oczekujesz? – zapytał.

- Przede wszystkim oceny tego co dostałeś do przeczytania. I to rzetelnej, bez żadnych uprzedzeń i naukowych wydziwiań.

Andrzej spojrzął na kartki leżące przed nim na szerokiej ławie, gdzie je położył zanim zaczął odpytywać Marka. Zastanowił się spokojnie nad tym co było tam zapisane. Różne opisy stworzenia świata, cytaty z Mahabharaty, Tory i inne relacje z dziwnych zdarzeń z przeszłości aż do czasów obecnych. Zapewne zostały celowo wybrane przez Marka i miały uwiarygodnić jakąś kolejną pokrętną wizję, która załęgła się w jego umyśle. Z doświadczenia wiedział, że te szalone z pozoru pomysły miały dziwny zwyczaj pozytywnego materializowania się w rzeczywistym życiu. Musiał też wziąć pod uwagę, że miało to związek z ich poszukiwaniami skarbów III Rzeszy i innych tajemnic z tym związanych. Miał nadzieję, że poprzeczka nie została tym razem ustawiona zbyt wysoko i zdoła do niej doskoczyć. Chociaż dosyć często oczekiwania Marka przekraczały jego możliwości. Miał jednak nadzieję, że jego opinia przyczyni się, tak jak poprzednio, do znaczącego posunięcia naprzód ich poszukiwań.

- Przede wszystkim jest to niejasne – zaczął z namysłem. – Wszystkie te cytaty, relacje i opinie pochodzą od proroków, filozofów czy kronikarzy z „bożej łaski”. Starają się opowiedzieć o początkach świata. Nie da się jednoznacznie ocenić, które z nich są bardziej „ściśle” niż pozostałe. W każdej wersji Biblii zawsze jakiś bóg kształtuje wszechświat w odmienny sposób. Jako katolika musi mnie to niepokoić. Ponadto każde z tych „objawień” dosyć jednoznacznie odmawia innym prawdziwości.

- Naprawdę? – zainteresowanie Marka było, aż nadto widoczne.

- Można powiedzieć, że są to tylko sztuczki. Nie można polegać na żadnej wersji, mówiąc, że tylko ta właśnie jest „prawdą o stworzeniu świata”. To tylko interpretacje noszące na sobie znamię epoki i miejsca, w którym powstały.

- A więc twoim zdaniem wszystko, co tu zostało zapisane, jest w dużym stopniu nieściśle, a prawda leży zupełnie gdzie indziej? – zapytał z błyskiem w oku Marek.

Andrzej z wyraźnym wahaniem kiwnął twierdząco głową, a Marek ciągnął dalej.

- Zdaje się, że rozumiem jak myślisz. Ale czy zbytnio nie upraszczasz?

- Chcesz powiedzieć, że jedna z tych wersji jest bliższa prawdy niż pozostałe? – Andrzej z wyraźnym zastanowieniem patrzył na swojego rozmówcę.

- Nie, nie, nie mam takiej pewnościNie jestem aż tak niemądry!

- To gdzie tkwi błąd? – Andrzej najwyraźniej chciał uzyskać od swojego przyjaciela w miarę jednoznaczne wyjaśnienie.

- Może na początku twoich przemyśleń. Odpowiadasz tak, ponieważ nie zdajesz sobie jeszcze sprawy z konsekwencji idei, która jest tam ukryta. Reagujesz instynktownie. Zawsze trzeba się wystrzegać myśli, która narzuca się nam jako pierwsza. Ona rzadko jest dobra. Człowiek jest istotą ograniczoną. Zarówno cieleśnie, jak i umysłowo. Istnieje nieskończona liczba tematów i tajemnic, o których człowiek nie jest w stanie pomyśleć. Nie potrafi ich sobie nawet wyobrazić, nie popadając w sprzeczność! A historia czy legenda nie jest prawdziwa czy fałszywa, dobra czy zła. To są klasyczne pojęcia, które zawiadują naszą inteligencją. Najważniejsze, to nie szukać tego, do odkrywania czego człowiek jest stworzony, ale odnajdywać to, co miało być przed nim zakryte. Wszystko jest prawdą, wszystko jest rzeczywiste. Wszystko ma wpływ na umysły ludzkie. Żadne z wierzeń nie podważa w dostateczny sposób ani nie znosi pozostałych. Człowiek musi być nieufny wobec pułapek swojego naturalnego rozumu.

- Czyli w mało „łopatologiczny” sposób udowadniasz mi, że człowiek jest istotą ograniczoną? Ale chyba nie o to ci chodziło? – Andrzej z namysłem skubał swoją starannie przystrzyżoną brodę. – Czyżbyś dołączył do zwolenników spiskowej teorii dziejów na ziemi? – zapytał z dziwnym błyskiem w oku. – To chyba dlatego dołączyłeś ten wycinek z niemieckiej prasy z 1936 roku?

- Nie ująłbym tego w taki sposób, – Marek jakby się trochę zmieszał – ale coś w tym jest! Chyba przyznasz, że nic się nie dzieje bez przyczyny. Tylko nie zawsze potrafimy to dostrzec. Przeznaczenie istnieje, ale decydujące znaczenia ma nasze działanie. Sam doskonale wiesz, że są rzeczy, które nie powinny zostać nigdy odnalezione. Są tajemnice, których nie można ujawnić.

Andrzej zaczął się zastanawiać. Już dawno poznał prawdę, że nic nie jest pewne. Pewna jest tylko śmierć i obowiązek płacenia podatków. O studiowanie na stare lata zagadnień filozofii Marka nie posądzał. W końcu filozofowie zaglądną tylko do mądrych ksiązek, ale z kolei nie wiedzą co czytają. On wiedział co i po co czyta. Za geniusza też go nie uważał. Geniusz zna odpowiedź przed pytaniem, a jego przyjaciel szukał odpowiedzi u niego. Był to raczej umysł wnikliwy i to nie taki, który wie wszystko, ale który umie skłonić do mówienia, tych, którzy wiedzą. Miał wybitny talent do obserwacji i zadawania właściwych pytań. Później była metoda dedukcji a' la Sherlock Holmes: - „Odrzućmy to co jest niezgodne z faktami, a to co zostanie, nawet najbardziej nieprawdopodobne, jest rozwiązaniem właściwym”. Czuł, że problem UFO może mieć jakiś związek z ich tegorocznymi poszukiwaniami, ale w tej chwili czuł się jak jednonogi facet na konkursie kopania.

- To czego szukasz? – chwilowo zrezygnował z doskoczenia do wysoko zawieszanej poprzeczki oczekiwań Marka.

- Nie wiem! Jak znaję, to się dowiesz.

- Też dobrze, ale jak mnie bardziej oświecisz w temacie UFO, to może na coś wpadnę.

- Miałeś rację, że ten wycinek z niemieckiej gazety z 1936 roku ma dla nas znaczenie. Nie zwróciłeś tylko uwagi na informację, która jest tam ukryta. Naoczny świadek opowiada redaktorowi miejscowej gazety o tym co widział. A widział meteoryt lecący w kierunku miasteczka. Ciągnął za sobą jasną smugę i nad lasem przed tą miejscowością zawrócił. Skierował się w stronę wzgórza za którym zaczynały się tereny należące do rodziny von Brauna. Zniknął za tym wzgórzem i w chwilę potem usłyszał on głuchy odgłos wybuchu.

- No i co w tym dziwnego? – Andrzej nie widział tu żadnej tajemnicy.

Meteoryty mają to do siebie, że podlegają znanym nam prawom fizycznym. Nie mogą same zmieniać trajektorii lotu. Chwilowo obowiązują powszechnie uznane za prawdziwe prawa grawitacji i dotyczą one wszystkich obiektów latających po ziemskim niebie. Chyba, że posiadają własny napęd. Jeżeli mają jakiś silnik, to nie mogą być meteorytem. Logiczne!?

- Niby tak – Andrzej był zły na siebie, że jego uwadze uszedł tak oczywisty wniosek. - Ale takich opisów są tysiące i nigdy nie wiadomo, które są prawdziwe – próbował się bronić.

- To nie wszystko – Marek najwidoczniej wiedział coś więcej niż było w artykule prasowym. – Rankiem następnego dnia cały ten teren został otoczony przez oddziały SS. Miejscowej prasie zakazano dalszych publikacji, a ludności zakazano jakichkolwiek rozmów na ten temat. Hitlerowcy w tym czasie mieli już siły i środki, aby wymusić takie zachowanie. W prasie berlińskiej ukazała się krótkka wzmianka o upadku meteorytu i informacja, że zebrane szczątki meteorytu zostaną zbadane w berlińskim uniwersytecie. Młody Werner von Braun był wtedy w posiadłości rodziców. Zapewne był naocznym świadkiem tego co się tam wtedy działo. Pewnie też przez przypadek został wiodącym

szefem niemieckiego projektu raketowego. To on był w głównej mierze twórcą V-1 i V-2. Nie wiem czy wiesz, że Amerykanie przejęli dużą część materiałów z jego biura projektowego. Znaleźli tam studyjny projekt rakiety mogącej dolecieć na Księżyc i wrócić z powrotem na Ziemię. Niezłe osiągnięcie jak na lata czterdzieste ubiegłego wieku. Wtedy w kosmos podróżowali tylko pisarze literatury fantastyczno-naukowej i to nie wszyscy. Nie sądzisz, że to dosyć dziwny przypadek? Tym bardziej, że amerykańskie początkowe sukcesy w podboju Kosmosu i pierwsza wyprawa na Księżyc, to w głównej mierze zasługa von Brauna i części jego ekipy, którą Jankesi wzięli pod swoją opiekę po zakończeniu II Wojny Światowej.

- Niezła opowiadka, - mruknął Andrzej – ale co to ma wspólnego z naszymi poszukiwaniami? Przecież to mógł być zwykły przypadek.

- Przypadkiem, to może ci spaść na głowę cegła w drewnianym kościele – obruszył się Marek i sięgnął do papierów, które zaraz po przyjsciu położył na stoliku. – Wiesz co to jest? – pokazał mu fotografię dziwnej konstrukcji tam widniejącej.

Andrzej przyglądał się fotografii. Przypominało mu to projekt „nawiedzonego” architekta, który ktoś w pijackim widzie zatwierdził do realizacji. Kilka betonowych słupów ustawionych w okrąg i zwieńczonych u góry szerokim wieńcem. Wygląd sugerował, że też jest zrobiony z betonu. Widniejąca obok jednego ze słupów postać człowieka, pozwoliła mu oszacować wysokość tej dziwnej konstrukcji. Tak na oko, grubo ponad 10 metrów. Szerokość kręgu wewnątrz była spora. Jakies 15 – 18 metrów. Ani śladu dachu. Na jednym ze słupów widniał niemiecki napis – „Kąpiel zakazana”. Na basen to nie wyglądało. Widniejące jeszcze gdzieś niegdzie kolorowe ślady farby maskującej na całej konstrukcji świadczyły o militarnym przeznaczeniu całej budowli. Bezradnie wzruszył ramionami.

-Nie mam zielonego pojęcia co to jest.

-To „Muchołapka” – wyjaśnił uprzejmym tonem Marek.

-Co? – ze zdumienia o mało nie walnął szczęką o stolik.

Andrzej wiedział co to jest muchołapka. Wąski pasek papieru z klejem albo innym paskudztwem, które miało wabić latające muchy i przyklejać je do podłoża. Obecnie stosowano bardziej wyrafinowane metody. Jakies promieniowanie odstraszające owady czy też środki chemiczne, które działały podobnie. Jakis „koński” żart czy kpiny w żywe oczy? – nieufnie spojrzął na rozmówcę.

-Tak nazywają to branży lotniczej – Marek zdawał się nie widzieć jego rozterki. – Na zdjęciu tego nie widać, ale w środku tego kręgu jest basen o głębokości około trzech - czterech metrów. Takich konstrukcji używa się do testowania pojazdów powietrznych pionowego startu. U góry montuje się siatkę lub system lin, który ma zatrzymać pojazd, gdyby wyrwał się spod kontroli. Woda w basenie ma amortyzować niekontrolowane upadki na podłożu. Taki obiekt znalazłem w okolicy Kopacza. Jeśli do tego dodać informacje jakie uzyskaliśmy przy penetracji podziemi zamku Lutzow, to mamy następnę miejsce do sprawdzenia.

Andrzej w zamyśleniu skutecznie burzył kształt kunsztownie pielęgnowanej brody. Wrócił myślą do poprzednich poszukiwań. Rok temu dał się namówić Markowi na poszukiwanie zaginionych skarbów III Rzeszy. Do tej pory nie wiedział co go do tego skłoniło. Ciekawość, chęć odpoczynku po wyczerpującej obronie pracy doktorskiej czy też jak to bywało w ich studenckich czasach dał się zmanipulować Markowi i kupił jego kolejny wariacki pomysł. Niemniej był mu dozgonnie wdzięczny za doznania jakie były jego udziałem w trakcie poszukiwań zaginionych skarbów III Rzeszy. To były doznania jakich nie można z niczym porównać. Ktoś, kto tego nie przeżył osobiście, nie jest w stanie tego zrozumieć. To było coś więcej niż udany seks. Mało tego. Stał się majątnym człowiekiem, a jego kariera naukowa zdawała się zmierzać ku świetlanej przyszłości. I to wszystko dzięki temu, że wziął udział w przedsięwzięciu zaproponowanym przez Marka. Może ich przyjaźń nie była tak długa jak historia piramid, ale wydawało mu się często, że zna Marka dłużej niż samego siebie. Już dawno doszedł do wniosku, że skład ekipy poszukiwaczy nie był przypadkowym wyborem Marka.

Realizował swój kolejny pokrętny pomysł i liczył, że on mu w tym pomoże. Nie uważał go za metafizyka, który szuka w ciemnym pokoju czarnego kapelusza, którego tam nie ma. Skoro nie zaprzeczył, że kwestia UFO ma jakiś związek z ich tegorocznymi poszukiwaniami, to chciał wiedzieć coś więcej na ten temat. Do tej pory jego wiedza w tej materii była na poziomie powszechnie znanych enuncjacji prasowych. Niemniej w duchu przyrzekł sobie jedno. Jeśli Marek spróbuje połączyć poszukiwania i wyjaśniania tajemnic III Rzeszy z zagadkami trójkąta Bermudzkiego, to wypisze się z tego wariackiego pomysłu. Nie musiał się specjalnie wysilać, aby dowiedzieć się co Marek sądzi i wie na temat UFO. Jego wiedza historyczna wzbogaciła się o nowe dziwne fakty i opisy zdarzeń, które

zmąciły jego utarty porządek patrzenia na świat. Co to ma wspólnego z ich poszukiwaniami skarbów III Rzeszy? Tego się nie dowiedział i jego wiedza w tej materii pozostała na poziomie przedszkolaka, który w czasie poobiedniej drzemki usiłuje rozwiązać poważne zagadnienie w dziedzinie fizyki kwantowej. Pytać dokładniej nie chciał. Człowiek nieraz woli umrzeć niż narazić się na śmieszność.

Znał opinię „bandy czworga”, jak sam kiedyś nazwał ich grupę poszukiwaczy. Chcieli szukać dalej i wyjaśnić jedną z zagadek II Wojny Światowej. Wiele za tym przemawiało. Niewyobrażalny stopień utajnienia obiektu i tysiące ludzi, którzy zostali zamordowani przez Niemców, aby te działania nie ujrzały światła dziennego. To musiało budzić zastanowienie. Tym bardziej, że badania prowadzili do ostatnich dni wojny i to dosłownie pod nosem Rosjan stojących na linii Odry. Musiało to być dla nich cholernie ważne skoro poszli na takie ryzyko. Czy broń nad którą wtedy pracowali mogła odmienić losy wojny? Tego nie mógł wykluczyć. Doktorat z historii gospodarczej ze szczególnym uwzględnieniem okresu II Wojny Światowej nie dawał mu prawa do wydania werdyktu w tej sprawie. Doskonale znał zagadnienie grabieży mienia i eksterminacji ludności jakich dokonali Niemcy na terenie Polski w czasie II Wojny Światowej. Był ekspertem w tej dziedzinie.

Jednak sprawa niemieckich badań nad nowymi technologiami i bronią była dla niego jak dotąd tabula rasa. Ta, czysta, nie zapisana karta w jego umyśle była ostatnio skutecznie zapełniana przez wiadomości i informacje jakie sączył do jego umysłu Marek w czasie poszukiwań. Niektóre były tak dziwne i niesamowite, że z trudem przyjmował je do wiadomości. Był zmuszony spojrzeć innym okiem na znaną mu z oficjalnych źródeł historię II Wojny Światowej i zastanowić się nad niektórymi jej aspektami.

Dlaczego do dzisiaj unika się tematu prowadzonych przez Niemców prac naukowo-badawczych i pomija milczeniem losy olbrzymiego majątku zagrabionego przez nich na terenie całej Europy? Mowa tu o dziesiątkach jeśli nie setkach miliardów dolarów. Coś z tego zastało odnalezione i zwrócone prawowitym właścicielom, ale znaczną część nadal spowija mrok tajemnicy. Czy aby na pewno? Może ktoś korzysta z tej olbrzymiej fortuny zdobytej na krzywdzie i śmierci wielu milionów ludzi? Może warto uchylić rąbka tajemnicy i powiedzieć o tym całemu światu. Możliwe, że Marek ma rację i niemieckie badania mogą mieć znaczenie nawet w dniu dzisiejszym. Ostatecznie w nauce liczy się pomysł i sama idea rozwiązania problemu. Bez wątpienia ciekawym przypadkiem byli Niemcy. Niemiecki casus rozwoju technologicznego z lat II Wojny Światowej musiał budzić poważne wątpliwości i warto się było zastanowić skąd się to wszystko wzięło.

Znał urywek z listu napisanego 10 lipca 1945 roku przez amerykańskiego generała lotnictwa strategicznego, Iana Winnegera. Napisał w liście do swego odpowiednika w korpusie piechoty morskiej: *„Niemcy uzyskali niewyobrażalną przewagę technologiczną w niektórych dziedzinach. Ich badania naukowe wyprzedzają nasze dokonania o 20-30 lat. Nie możemy dopuścić, aby ta spuścizna dostała się w niepowołane ręce. Musimy zaprząć te umysły do pracy na naszą rzecz i wykorzystać to co już zostało zrobione. Zaoszczędzimy miliardy dolarów i nie stracimy czasu na powtarzanie tego, co już zostało wykonane. Uważam, że ta sprawa musi stać się priorytetem w naszych obecnych działaniach i to bez względu na koszty jakie byśmy musieli ponieść, aby to uzyskać. Należy to traktować w kategoriach bezpieczeństwa narodowego.*”

Znamienne słowa. Możliwe, że oparte na wiedzy i faktach niedostępnych zwykłemu śmiertelnikowi. Nie miał żadnych wątpliwości, że źródłem tych informacji musieli być Niemcy. Na pewno nie zdradzili wszystkich swoich sekretów, a jakaś ich część mogła się kryć w podziemiach Gór Sowich.

Doskonale zdawał sobie sprawę z celu i sensu tej rozmowy. Marek planował kolejną wyprawę i chciał, aby wziął w tym udział. Możliwe, że chciał go jeszcze dodatkowo uczulić na co ma zwrócić uwagę, gdy będzie szperał w amerykańskich archiwach. W końcu załatwił mu to stypendium naukowe w Stanach nie tylko z myślą o jego dalszej karierze naukowej. Przyjaźń, przyjaźnią, ale nic tak jej nie podtrzymuje jak realizacja wspólnych celów i zainteresowań. Doskonale znał wartość niemieckiego przysłowia, że drobne prezenty podtrzymują więzy przyjaźni. Zresztą Marek wcale tego nie ukrywał. Pozostała dwójka z ich ekipy poszukiwaczy też wtedy zagłosowała za wysłaniem go za ocean. Do dzisiaj pamiętał jak to się odbyło. To była już historia. Młoda bo młoda, ale historia. Teraz na tapecie było co innego. Decyzja o udziale w poszukiwaniach mogła być tylko jedna – na tak. Temat UFO musiał sobie przemyśleć. Za dużo było w tym „kwiatków” kłócących się z dotychczasowym poziomem aktualnie obowiązującej oficjalnie wiedzy. Przynajmniej tej wiedzy technicznej, której aspekty zdążył poznać w swojej karierze doktora historii gospodarczej.

Jeszcze nie zdążył do końca przeanalizować tego wszystkiego chłodnym umysłem naukowca , gdy już znał odpowiedź. Oczywiście, że będzie nadal w ekipie poszukiwaczy. W życiu nie pozwoli, aby takie doznania umknęły mu sprzed nosa. Będzie co wspominać na stare lata. A może w końcu Marek zmieni zdanie i będzie mógł coś o tym napisać.

*

Zatoka Arabska

Emirat Al-Sadra

Hotel Continental

Marek Dąbrowski był zmuszony przyjąć zaproszenie swojego starego przyjaciela ze studiów. Nadir pomógł mu pozbyć się znacznej części skarbu olbrzymiej wartości jaki ze swoją ekipą poszukiwaczy znalazł w podziemiach zamku Lutzow. Rozliczenia nie można było załatwić na terenie kraju i stąd jego wizyta na Półwyspie Arabskim była konieczna.

Siedział w apartamencie prezydenckim najlepszego hotelu w stolicy tego arabskiego księstwa i ciągle jeszcze z pewnym niedowierzaniem przeglądał otrzymane do południa dokumenty. Był decydemtem 230 milionów dolarów w żywej gotówce. Wyglądało na to, że Nadir znacznie wykroczył poza ich poprzednie ustalenia. Poznali się jeszcze w czasach studenckich.. Polska rywalizowała wtedy na tamtym terenie z Zachodem i prowadziła interesy nie tylko w swoim imieniu, ale i całego obozu socjalistycznego. Jednym z takich objawów było przyznawanie stypendiów naukowych dla przyszłej kadry księstwa. Zawsze warto wykształcić u siebie ludzi, którzy w przyszłości mają szansę rządzić na danym terenie. To nie był czysty altruizm, ale zimne wyrachowanie polityczne. Księstwa ani rodziny Nadira nie było wtedy stać na opłacenie kształcenia na Zachodzie i ufundowane wtedy stypendia dla wybranych przez księcia kandydatów przyjęto tam z wyraźnym zadowoleniem. Jedno z nich otrzymał Nadir i przyjechał do Polski.

Nikomu wtedy nie przyszło do głowy, że to biedne państwo, władające morzem pisaków leży nad drugim morzem – ropy naftowej skrytym pod jego powierzchnią. Ten fakt, jak i to, że Nadir występował wtedy w roli ubogiego krewnego należał już do przeszłości. Nie dotyczyło to jednak ich znajomości, która z czasem przerodziła się w specyficzną formę przyjaźni. Właśnie w tamtym czasie należącym już do przeszłości, Marek, parokrotnie pomógł Nadirowi rozwiązać jego problemy z jakimi zetknął się w obcym dla siebie kulturowo i religijnie kraju. Potraktował to wtedy jako coś zupełnie normalnego. Przekonał się później, że odczytano to jednak trochę inaczej. Oceniono to według kanonów obowiązujących na piaskach pustyni, a to była już zupełnie inna sprawa Teraz ich przyjaźń wkraczała w nową fazę. Dzięki Nadirowi sprzedawał bez żadnych problemów 10 ton złota i górę diamentów, które ze swoją ekipą poszukiwaczy znalazł w niemieckim schowku z 1945 roku. To było warte 180 milionów dolarów w żywej gotówce. Do tego dochodziło 50 milionów dolarów nie oprocentowanego kredytu, którego udzielił mu teraz Nadir z myślą o dalszej ich wspólnej współpracy. Sprawdzało się stare porzekadło: bank to instytucja, która pożyczyci ci pieniądze, jeśli udowodnisz, że ich nie potrzebujesz.

Wieczorem czekała go jeszcze pożegnalna kolacja przed jego jutrzejszym powrotem do Polski. Do tego czasu musiał podjąć pewne decyzje. Tego po nim oczekiwano. Jego wzrok padł na złote pudełko inkrustowane szlachetnymi kamieniami. Otrzymał je z rąk księcia na oficjalnym rannym spotkaniu w siedzibie Banku TEX OIL. To nie był prezent, a podarunek. To, że wręczył go szef tego państwa też miała swoją wymowę. Zapewne maczał w tym palce Nadir, ale było to dla niego bardzo miłe doznanie. Marek nie zamierzał popełnić błędu w ocenie tego co otrzymał w darze. Już raz otrzymał podobny przedmiot i teraz już wiedział jaka jest różnica między prezentem, a darem wręczanym przez ludzi z tego kręgu kulturowego.

Zwolnił zatrask zamka wykonany z białego złota i uchylił wieko. Wziął do ręki pięknej roboty sztylet. Kamienie zdobiące głownię ręcznie robionej broni były warte więcej niż najnowszy mercedes. Wyciągnął sztylet z pochwy. Refleks słonecznego światła odbitego od kryształowego kinkietu zatańczył na nagim ostrzu. Klinga lśniła tajemniczym niebieskawym blaskiem. Widniały na niej „robaczki” arabskiego pisma, którego treść była mu w tej chwili nieznaną. Był w apartamencie sam i dlatego mógł sobie pozwolić na dokładne obejrzenie tego co otrzymał. Nie był przesądny, ale przestrzegał niepisanej tradycji mówiącej, że ostrze białej broni wyciągnięte w obecności drugiej osoby łaknie krwi i nigdy nie należy tego robić. Po co wywoływać wilka z lasu. Toteż podarunek przyjął z należyty szacunkiem i stosownymi słowami podziękowania, ale nie próbował obnażyć ostrza w obecności darczyńcy. To, że nie popełnił tak typowego błędu dla cywilizowanego

Europejczyka przyjęto z niemym uznaniem. Przyjrzał się broni uważniej i doszedł do wniosku, że wcale nie jest pewien czy to aby na pewno jest robota obecnego mistrza snycerstwa. Nie uważał się za znawcę białej broni, ale był w paru muzeach i zdobienia na sztylcie były bardzo podobne do tamtych jakie widział na starożytnej broni. Współczesne trendy zdobnicze były zupełnie inne. Doszedł do wniosku, że sztylet jest zabytkiem, a jedynie pudełko zostało wykonane w obecnych czasach. Jeżeli tak faktycznie było, to musiał jeszcze raz na spokojnie przemyśleć swoje decyzje. Sprawa zaczynała wyglądać na śmiertelnie poważną.

„Ciekawe czy celnicy na Okęciu uwierzą mi, że nie rąbnąłem tego w jakimś muzeum?” – przemknęło mu przez myśl, gdy układał sztylet na wyżłobionym miejscu w czerwonym aksamicie pudełka.

Wziął do ręki odłożone poprzednio dokumenty i przejrzał je pobieżnie jeszcze raz. Znał je już na pamięć. Te, dotyczące finansów były jasne i proste. Był właścicielem 230 milionów dolarów i bank oświadczał, że są to pieniądze czyste i wiarygodne. Za Bankiem TEX OIL stała ropa i takie oświadczenie miało swoją wymowę. Mógł nimi dysponować w dowolny sposób. Pojedyncza kartka papieru, którą teraz miał w ręku przypominała mu beczkę dynamitu. Lontu w tej chwili nikt jeszcze nie podpalił, ale musiał się liczyć z tym, że najbliższej przyszłości znajdą się na to chętni. Gdyby ją podpisał i oddał na wieczornym spotkaniu, to zostałby udziałowcem tego banku i członkiem jego rady nadzorczej. To zaś oznaczało, że będzie miał dostęp do olbrzymich pieniędzy i władzy jaka za nimi stała. Prawa i obowiązki jakie spadną na niego z tego tytułu były opisane w małej książce stanowiącej załącznik do tej pojedynczej kartki. Wszystko było tam opisane rozsądnie i logicznie. Za wyjątkiem jednej rzeczy, która budziła jego największe obawy. Obojętnie jak by nie czytać tego załącznika, od początku do końca czy od końca do tyłu, to w momencie wpłaty pierwszego dolara na poczet przejęcia przyszłych udziałów uzyskiwał od razu pełnię praw z tym związanych. To musiało budzić pewne obawy. Nikt nie daje takich prezentów bezinteresownie.

Do tej pory wierny był starej rosyjskiej zasadzie: „Tisze jedziesz – dalsze budziesz” – czyli – „Cicho jedziesz, dalej będziesz”. Tą dewizę swojego przyjaciela z Rosji stosował do tej pory i zawsze wychodził na tym dobrze. Po złożeniu podpisu to wszystko mogło ulec zmianie. Nie był wcale przekonany, że chce wyjść z cienia i zostać osobą powszechnie rozpoznawalną w określonych kręgach. Zdawał sobie doskonale sprawę, że tylko ludzie mogą być związani przyjaźnią, a narody wiążą się jedynie poprzez interesy. Był tu prywatnie, ale otrzymany prezent mógł być delikatną aluzją w zupełnie innym kierunku. Przyjechał na zaproszenie Nadira i był jego prywatnym gościem. Opancerzone BMW, którym był obwożony, prowadził osobisty kierowca Nadira. Towarzyszące im dwa identyczne BMW woziły 8 ludzi osobistej ochrony Nadira. To akurat Marek rozumiał i akceptował. Taki był wymóg chwili obecnej.

Nadir przeszedł daleką drogę od ich studenckich czasów. Wtedy nieraz zastanawiali się czy starczy im wspólnej kasy na zakup kontenera piwa, a teraz każdy z nich mógł kupić browar i nawet by nie zauważył takiego wydatku. Dzisiaj, Nadir Staszak Szarif był jednym z dwu najpoważniejszych kandydatów do objęcia sukcesji po śmierci obecnie panującego księcia. Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

- Proszę! – rzucił odruchowo po polsku.

O dziwo, osoba stojąca za drzwiami zrozumiała i te się otworzyły. Nawet się specjalnie nie zdziwił. Podświadomie oczekiwał tej wizyty. Coś przed wieczorną kolacją musiało się przecież wyjaśnić. W drzwiach stał Nadir.

- Witaj ponownie w dniu dzisiejszym! – białe zęby błysnęły w przyjacielskim uśmiechu.

- Witaj! – Marek podniósł się i uściśnął po raz drugi w tym dniu jego dłoń. – Proszę! Siadaj. – zaprosił go gestem ręki, a uśmiech zagościł i na jego twarzy.

- Dziękuję! – jego gość zajął miejsce w wygodnym skórzanym fotelu. – Po drodze zamówiłem dla nas kawę. – zakomunikował.

Wszystkie słowa były w języku polskim i wyglądało na to, że i cała rozmowa odbędzie w nim. „Czyżby Nadir obawiał się podsłuchu i chciał utrudnić zadanie ewentualnemu dodatkowemu słuchaczowi?” – przemknęło mu przez myśl i odruchowo rozejrzał się po apartamencie.

- Spokojnie! – jego gość najwidoczniej zrozumiał jego zachowanie. – Moi ludzie dwa razy dziennie sprawdzają to pomieszczenie i jak na razie jest czyste. Ten dyżurny sprzątacznik na korytarzu też jest ode mnie i ma dopilnować, żeby ci nikt nie buszował po pokoju, albo co gorsze, nie zwiększył ci się stan posiadania bagażu bez twojej wiedzy.

Zaczynało być coraz ciekawiej. Wyglądało na to, że zaczyna brać udział w grze o której zasadach nie ma zielonego pojęcia, a wszystko to jest skutkiem jego poprzednich działań. Nie tak dawno zaczął tropić tajemnice zaginionych hitlerowskich skarbów z czasów II Wojny Światowej i badań naukowych jakie Niemcy prowadzili w tamtym czasie. Wyniki były więcej niż obiecujące. Nikt na razie nie pytał go o nic co tego dotyczyło. Jednak pewne zdarzenia związane z poszukiwaniami zaczynały sugerować, że niedługo może się to zmienić. Gdyby ogłosić publicznie, co i gdzie znaleźli, to byłaby niezła sensacja na skalę europejską. I prawdopodobnie kłopoty na taką samą skalę. Wiedział, że tajemnica jest tajemnicą tylko tak długo, jak długo zna ją jedna osoba. Kiedy poznają ją dwie osoby, przestaje być tajemnicą, a kiedy więcej osób, jest to tylko trudniej lub łatwiej dostępna informacja. Zaraz też przekonał się jak prawdziwe było to stwierdzenie.

- Jeżeli wzięłeś się za poszukiwanie zaginionych skarbów z czasów II Wojny Światowej i zaczynasz opróżniać Niemcom skrytki, to chyba nie dlatego, że brakuje ci pieniędzy?

Marek lekko się najeżył i spojrzał na niego z pewną podejrzliwością. – O co tu chodzi?

Pukanie do drzwi i kawa jaka się w efekcie tego pojawiła była darem losu. Zyskał czas na zastanowienie się nad odpowiedzią. Zamieszał kawę i spojrzeli na siebie. Nadir sięgnął po kolejne ciastko. Już od pewnej chwili dosyć skutecznie walczył z tą górą słodkości ułożoną na paterze stojącej na dzielącym ich okrągłym stoliku wykonanym z różnych gatunków szlachetnego drewna. On sam był niezłym łasuchem, ale po pierwszej degustacji tego specjału, dał sobie z tym spokój. Było to słodkie jak jasna cholera, sam ulepek z cukru. Z niemym podziwem patrzył jak jego towarzysz z widocznym zadowoleniem pochłania kolejne porcje.

Zastanawiał się nad odpowiedzią. W pytaniu Nadira krył się pewien błąd. Odczytał to jako plus dla siebie. Złoto i diamenty zostały znalezione przez jego ekipę w czasie jednej kampanii poszukiwawczej. Ktoś coś schował, a oni to znaleźli. Oceniał wtedy, że kryje się za tym wszystkim ręka SS-Standartenführera Franza Bredowa. Dzięki informacją Andrzeja Dytrzaka zyskał pewność, że był on bliskim totumfackim Martina Bormanna. Połączenie obecności pułkownika SS z osobistym sekretarzem Adolfa Hitlera doprowadziło go wtedy do ciekawego spostrzeżenia, które póki co, zachował dla siebie.

Osobisty sekretarz wodza Trzeciej Rzeszy nie zajmował się duperelami. Jego władza była niewiele mniejsza niż jego pryncypała, a wiedza o tym co się dzieje w III Rzeszy zapewne o wiele bardziej pełna. Skoro nad miejscem ich poszukiwań unosił się cień Martina Bormanna, to można było śmiało przyjąć, że natrafili na nietuzinkową sprawę. Według jego oceny, to skarby które tam odkryli, mogły mieć mniejsze znaczenie niż tajne laboratorium, które znaleźli w końcowej fazie poszukiwań. Skarby miały służyć za zasłonę dymną. Taka była przynajmniej jego opinia. Przedsięwziął pewne kroki, aby to wyjaśnić i miał nadzieję, że niedługo dowie się jakie to badania naukowe chcieli ukryć przed światem Niemcy.

Skoro Nadir użył liczby mnogiej dotyczącej opróżniania przez niego schowków ze skarbami III Rzeszy, to mogło oznaczać tylko jedno. Informacja, którą uzyskał nie pochodziła od ludzi z jego ekipy. A zatem można było to zaliczyć jako drugi plus. Wynikało więc z tego, że to czego faktycznie szukał nadal pozostawało tajemnicą, bo wiedział o tym tylko on sam. Niemniej pytania Nadira nie można było potraktować jako retorycznego i jakąś odpowiedź trzeba było dać.

Zastanowił się co mogło leżeć u źródła tego pytania i jakie informacje zostały tu wykorzystane. Jak znaleźli złoto i diamenty, to pozostała trójka poszukiwaczy jednogłośnie zdecydowała, że to on ma się zająć upłynnieniem tego dobra. W skuteczny i bezpieczny sposób dla wszystkich zainteresowanych. Wiedział, że głównym konsumentem złota na prywatne cele są Indie i kraje arabskie. Tylko na takim rynku ulokowanie takiej ilości szlachetnego kruszcu mogło przejść niezauważone. A o to właśnie im chodziło. Upolował wtedy Nadira w czasie jego pobytu w Warszawie i złożył mu propozycję sprzedaży 10 ton znalezionej złota. Propozycja została przyjęta, a Nadirowi wystarczyło wtedy jego zapewnienie, że ma prawo dysponować tym metalem. Bagaż dyplomatyczny ambasady Nadira poradził sobie z tym ciężarem szybko i sprawnie. Później dodał do tego jeszcze sprzedaż diamentów. Potężnie zbudowany kurier poczty dyplomatycznej bez żadnego specjalnego wysiłku zabrał z jego domu sporej wielkości walizkę wypełnioną diamentami i dostarczył ją do miejsca przeznaczenia. Dla osoby postronnej były to więc dwie oddzielne transakcje i mogła ona wysnuć logiczny wniosek, że dobra te pochodziły z dwu różnych źródeł. Z kolei sztabki złota nosiły cechy mennicy praskiego banku. Tu wystarczyło tylko sięgnąć do historii tego banku i wszystko też stawało się jasne.

Pod koniec II Wojny Światowej z centralnego banku w Pradze Niemcy wywieźli 10 ton złota. Silnie chroniony transport przekroczył polską granicę i przepadł bez śladu. Powojenne próby odnalezienia tego skarbu spełzły na niczym. Uznano wtedy, że Niemcy schowali to w jednej z licznych tajnych skrytek na terenie Polski i zaliczono do dóbr utraconych w niewyjaśnionych okolicznościach w czasie wojny. Te dane nie były tajne i średnio rozgarnięty człowiek mógł je uzyskać bez specjalnego trudu. Nadir był bez wątpienia więcej niż średnio rozgarnięty i miał możliwości i środki do uzyskania interesujących go informacji. Dodanie dwóch do dwóch też nie przekraczało jego możliwości umysłowych i dało mu właściwy wynik. No, może tak nie do końca, skorygował swoją myśl. Przedmiot obydwu ich transakcji pochodził z jednego źródła. Wiedziała o tym czwórka poszukiwaczy i jeżeli do dzisiaj nic nie wyciekło to na zewnątrz, to tajemnica tego odkrycia nadal pozostawała tajemnicą. I niech tak zostanie – zdecydował Marek.

- Myślę, że te poszukiwania można by określić jako nieszkodliwe hobby. – zaczął ostrożnie.

- Chyba, że szukasz jeszcze czegoś innego? – Nadir przyglądał mu się z miną niewinnego oseska, który wydalil właśnie w pieluchę straszliwie śmierdzącą kupę i czeka teraz na reakcję sprzątacza takiego prezentu.

- Nie wiem czy mówisz, – Marek stracił nieco swojej zwykłej pewności siebie – ale nie z tym chyba przeszedłeś w gości? – Postanowił zmienić niewygodny dla niego temat rozmowy.

- Niech ci będzie. – zgodził się łaskawie jego rozmówca – Rzeczywiście chce pogadać o czymś innym.

Propozycja była krótka i rzeczowa. Zrozumiał też dlaczego dostał dodatkowe 50 milionów dolarów nie oprocentowanego kredytu. Domyślił się, że u podstawy oferty leżała ich kilkuletnia znajomość z czasów studiów i dossier na jego temat jakie zapewne kazał sobie przygotować Nadir z lat, gdy ich kontakty ograniczyły się do przesyłania sobie okolicznościowych życzeń i drobnych prezentów wymienianych między dwoma zaprzyjaźnionymi osobami. Propozycja zaciekała go ogromnie i co tu ukrywać, schlebiła mu taka ocena jego osoby jaka z tego wynikała. Ciekawość jest potężnym motorem napędowym zachowań człowieka. Gdyby nie ona, to do dzisiaj człekokształtni lataliby po drzewach w charakterze małpoludów i lali się z zapałem maczugami. Sięgnął po kartkę, która poprzednio wywołała tyle jego wątpliwości i złożył swój podpis. Po to przecież przyszedł jego gość.

- Proszę! – z uśmiechem podał kartkę Nadirowi, ale jego piwne oczy patrzyły uważnie i czujnie na starego przyjaciela.

- Dziękuję! – Nadir też się uśmiechał. – Byłem przekonany, że znajdziemy wspólny język. Zawsze wiedziałem, że jesteśmy po tych samych pieniądzach. – w jego o ton ciemniejszych piwnych oczach też widniała powaga i czujność.

Obydwaj zdawali sobie doskonale sprawę, że właśnie zawarli nieformalny pakt, a skutki jakie z tego mogą dla nich wyniknąć w przyszłości były na razie wielką niewiadomą. Ponadto, Marek miał dziwną pewność, że nie jest owieczką tuczoną pochlebstwem przed zarżnięciem.

- Na mnie już czas. – Nadir podniósł się z fotela, a złożona na pół kartka papieru zniknęła w jego kieszeni – Samochód przyjedzie po ciebie o ósmej wieczorem.

Wyciągnął na pożegnanie rękę i na chwilę zatrzymał w niej dłoń Marka. – Przyjdzie czas, przyjdzie pora – patrzył mu prosto w oczy.

- Rozumiem. – Marek odwzajemnił uścisk i puścił jego dłoń. Właśnie dostał solenne przyrzeczenie, że dowie się wszystkiego, gdy sytuacja do tego dojrzeje.

- Aha! Byłbym zapomniiał. – Nadir puścił klamkę właśnie otwieranych drzwi i odwrócił się do Marka. – Wieczorem obowiązują stroje wieczorowe. Zaraz ci przyniosą trzy smokingi i mam nadzieję, że któryś będzie na ciebie pasował. – uśmiechnął się z radosną satysfakcją i zniknął za drzwiami.

A niech to! – zachnął się Marek do zamkniętych już drzwi. – Obydwaj żywili jednakową awersję do występowania w wizytowych strojach i teraz rozumiał już powód jego ostatniego uśmiechu. Wrobił go w tą kolację i obydwaj mieli cierpieć jednakowo.

Z dostarczonych smokingów udało mu się skompletować ubiór pasujący na jego figurę. Z wyraźną dezaprobatą oglądał siebie w lustrze. Wyglądał jak starszy lokaj na wybiegu – pomyślał z niechęcią. Tutaj jednak nie miał racji z tą niechęcią do tego zawodu. Lokajstwo było wysoko kwalifikowanym zawodem, dopóki nie miało żadnego związku z karierą polityczną. Została mu jeszcze do zawiązania muszka. Z tą za żadną cholere nie mógł sobie poradzić. Zawsze coś wychodziło krzywo. Zbliżała się godzina wyjazdu, a on ciągle walczył z opornym paskiem materiału. Nie ma

mocnych. Ktoś musi mi pomóc – zdecydował. Wyrzwał na korytarz i skinął na dyżurnego sprzątacza jak go określił przedtem Nadir. Ten błyskawicznie zjawił się w apartamencie.

- W czym mogę pomóc, sir? – nienaganna angielszczyzna z naleciałością z Oxfordu na chwilę zatkała Marka.

Jak ten facet jest dyżurnym sprzątaczem to ja jestem chińskim mandarynem – pomyślał.

- Nie potrafię tego prawidłowo zawiązać. – przyznał się bez bicia.

- Żaden problem, sir! - Parę wyuczonych ruchów i po chwili usłyszał. – Tak będzie w porządku, sir!

Nie podobało mu się to ciągłe „sirowanie” i przesadny szacunek okazywany w głosie, ale na grzeczność odpowiada się też grzecznością i podziękował w wyszukany sposób.

- Zawsze do usług, sir! – jego pomocnik uśmiechnął się nieznacznie słysząc takie słowa podziękowania, skłonił z szacunkiem głowę i zniknął.

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę. Recepcja meldowała, że kierowca przyjechał i idzie na górę. Spojrzał na zegarek – była za dwie minuty ósma. Wszystko działało jak w szwajcarskim zegarku. Kiedyś kształciliśmy dla nich kadry i uczyli się od nas, – pomyślał z nostalgią – a teraz jego rodacy mogliby się sami tu wiele nauczyć. Uczeń przerósł mistrza.

Emirat Al-Sadra

Pałac księcia Josifa Nadira

Sala bankietowa

Na imprezie było tak jak się spodziewał. Robił za czerwoną latarnię ostatniego wagonu pociągu widoczną z daleka mimo, że tłum był spory. Wszyscy się znali, tylko on był tu nową postacią. Za jedno był wdzięczny Nadirowi. Kierowca, który po niego przyjechał, powiedział mu, że będzie w pobliżu i służy pomocą w rozmowie z jego rodakami, którzy nie znają angielskiego. Szybko też docenił jego niesamowitą wręcz umiejętność. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zjawiał się u jego boku, gdy podchodząca do niego osoba nie mówiła po angielsku. Po skończeniu rozmowy zniknął w równie tajemniczy sposób jakby go tu wcale nie było. Wiele osób chciało z nim porozmawiać. Szybko zorientował się, że jest to efekt złożenia podpisu na kartce po którą Nadir przyjechał do hotelu. Poznał też jego głównego rywala do sukcesji po obecnie panującym władcy. Już przedtem widział go z daleka i zauważył, że jest niewielkiego wzrostu. Gdy stanęli twarzą w twarz, skonstatował, że jest po prostu kurduplem. Przypomniawszy mu się zasłyszany kiedyś złośliwy komentarz o ludziach wzrostu siedzącego psa – że są tak złośliwi, bo jeśli ktoś ma rozum tak blisko dupy, to musi się to przecież jakoś odbić

Poczuł natychmiastową niechęć i niczym nieuzasadnioną awersję do tego człowieka. Użył wszystkich dostępnych i znanych mu wazelinarskich sztuczek, aby skryć swoje doznanie. Chyba mu się to udało, bo facet odszedł zadowolony. Ostrożność i dyplomacja była tu wręcz koniecznością. Najlepiej podstawiają nogi karły, to ich strefa działania.

Pozostała część wieczora nie zapisała się w pamięci Marka niczym szczególnym. Jak tylko wypatrzył, że książę opuścił towarzystwo, to zaraz upolował Nadira. Ten nie miał nic przeciwko temu, aby się zmył po „angielsku”. Zapowiedział, że rano sam odwiezie go na lotnisko.

Hotel Continental

Apartament prezydencki

Kładąc się spać postanowił, że da sobie na razie spokój z rozważaniami na temat tego w co tym razem wdepnął. Rano sprawnie przygotował się do wyjazdu, ale ze zjedzeniem śniadania poczekał. I miał nosa. Nadir przyjechał na tyle wcześnie, aby mogli je zjeść razem.

- Spodobałeś się Szamirowi! Wiesz o kim mówię? – zaczął Nadir już przy pierwszej kawie. Marek domyślił się, że chodzi o jego głównego rywala do sukcesji i kiwnął głową, że wie o kogo chodzi.

- A wiesz co powiedział? – pytanie było czysto retoryczne i Marek z ciekawością czekał na dalszy ciąg. – Powiedział, że jak rozmawiał z tobą to miał wrażenie jakbyś mu podprowadził rower, a potem wspomniał mi o pożyczce, aby się mógł przejechać. Nie wiem jak to zrobiłeś, – jego rozmówca przyglądał mu się z wyraźnym zainteresowaniem – ale zamiast się śmiertelnie obrazić, to zaliczył cię do ludzi z którymi warto rozmawiać. To bardzo dobrze, że już na wstępie nie zaliczył cię do wrogięgo mu obozu.

Niestety, czasu było za mało, aby mógł wydobyć z Nadira czemu to jest takie dobre. Droga na lotnisko nie zabrała im dużo czasu. Trzy czarne BMW były znane w tym mieście. Zawsze mieli wolną drogę przejazdu i nikt nie protestował przeciwko tym przywilejom jego przyjaciela. Pożegnali się w salonie dla VIP-ów. Odprawa lotniskowa była formalnością. Wszyscy ochoczo mu salutowali i uprzejmie zapraszali do złożenia następnej wizyty.

Na Okęciu na pewno tak nie będzie. – przemknęło mu przez myśl, gdy sadowił się w lotniczym fotelu. Nie chciał, a nawet nie mógł ryzykować, aby przewieźć na czarno sztylet jakim go tu obdarowano. Musiał to oficjalnie zgłosić i znając fantazję urzędników w tym teraz pełną gębą „demokratycznym” kraju przeczuwał kłopoty. Nawet przez myśl mu przeszło jaka niespodzianka czekała go na Okęciu.

Warszawa

Lotnisko Okęcie

- Co ma pan do ocenia? – zapytał z obojętną miną celnik na Okęciu i wziął jego paszport do ręki. – O widzę, że był pan w krajach arabskich!? – podniósł wzrok z kartki jego paszportu, gdzie widniały „robaczki” arabskiego pisma.

Zaraz wezwie brygadę antyterrorystyczną i zamkną mnie na wszelki wypadek jako potencjalnego terrorystę – pomyślał z wisielczym humorem, pomny na niedawne wygłupy tej też niby polskiej prasy, która już tylko z nazwy pozostała polska. Przed jego wyjazdem rozpetano wściekłą kampanię prasową na ten temat i były już pierwsze bogu ducha winne ofiary.

- Tak. – przytaknął temu oczywistemu faktowi. – Mam w związku z tym pewien problem i mam nadzieję, że pomoże mi go pan rozwiązać.

- Zobaczymy. O co chodzi? – celnik patrzył na niego z zaciekawieniem i podejrzliwością.

- Chciałem to zgłosić do ocenia. – wyciągnął kasetkę ze sztyletem i położył na blacie stołu.

Oczy celnika błysnęły. – Ile pan za to zapłacił?

- Nic. Dostałem to. – Marek był trochę spięty bo zdawał sobie sprawę, że zbliża się decydujący moment ich rozmowy.

- Jak to!? – celnik był trochę zdezorientowany. Patrzył na piękny okaz białej broni leżącej na czerwonym aksamicie w ozdobnym pudle, bo właśnie przed chwilą otworzył ozdobne wieko.

- Chce pan powiedzieć, że ktoś dał panu taki prezent?

- Nie określiłbym tego jako prezent. To zostało mi подарowane. – próbował się zastanowić jak to wytłumaczyć w rozsądny i zrozumiały sposób.

Celnik z wyraźnym zaciekawieniem oglądał sztylet trzymany teraz w ręce.

- Piękna, stara robota! To jest warte majątek! – ocenił z nagłym szacunkiem głosem. – Musiał się pan im nieźle zasłużyć skoro panu to podarowali. – patrzył na niego dziwnym wzrokiem, a widząc jego zaskoczenie dodał ni z gruszki ni z pietruszki: - Ja sam amatorsko kolekcjonuję białą broń.

Marek nagle doznał olśnienia. Trafił na człowieka, który miał o tym jakieś pojęcie. Może nie będzie tak źle – pomyślał. Jego szacunek dla celnika wzrósł niepomniernie, gdy usłyszał kolejne słowa.

- Wybacz pan, ale muszę obejrzeć klingę. To mój obowiązek – dodał wyjaśniająco jakby tłumaczył się z tego co ma zamiar zrobić za chwilę i wysunął ostrze z pochwy

Przez chwilę z prawie nabożnym skupieniem kontemplował widok jaki miał przed oczami. Z widocznym żalem wsunął ostrze do pochwy i delikatnie ułożył broń na w pudle. Powoli zamknął wieko i spojrzął na Marka z namysłem. Oczy mu błysnęły jakby podejmował jakąś ważną decyzję

- Myślę, że kopia tego typu broni może kosztować na bazarze około dwa tysiące złotych. Od tej też wartości naliczam panu cło

Marka zamurowało na dobrą chwilę i zaczął dukać: - Nie wiem czy

- Na klindze jest napis: - „Staremu przyjacielowi w dowód przyjaźni” – przerwał jego próby dukania celnik. – Takiego przedmiotu nie daje się tam ot tak sobie. Nie wiem ile osób w tym kraju może się poszczycić czymś takim, ale jest pan na pewno w ścisłej czołówce. To nie powinno podlegać oceniaiu.

Z rozmachem przybił pieczętkę na jego deklaracji celnej.

- Życzę przyjemnego dnia! – z wyraźnym szacunkiem oddał mu paszport.

- Dziękuję! – na tyle było tylko stać w tej chwili Marka.

Idąc do wyjścia powoli dochodził do siebie po tej niespodziance. Myślący urzędnik państwowy i w dodatku znający język arabski. Nadal z niedowierzaniem kręcił głową.

ROZDZIAŁ II

Droga numer 5 Wrocław - Poznań

Czyżby paranoja „szalonej demokracji” z lat 90-tych także dotarła do grona poszukiwaczy skarbów? – taka myśl kołatała w głowie Marka Dąbrowskiego. Zawsze uważał ludzi szukających skarbów za normalnie i racjonalnie myślących osobników. Żeby znaleźć to co ktoś schował, to potrzebne są dwa elementy: trzeba umieć patrzeć i rozumieć co się widzi, a także myśleć i jeszcze raz myśleć. To były podstawowe elementy decydujące o sukcesie. No, oczywiście nie licząc przysłowiowego łutu szczęścia, który był tutaj na wagę ewentualnego złotego znaleziska. Teraz wyglądało na to, że w środowisku poszukiwaczy zachodzą jakieś dziwne zmiany.

Zdecydowanie dodał gazu i jego Skoda Superb skoczyła do przodu. Wyprzedził na krótkim odcinku drogi Mercedesa wlokącego się środkiem drogi. Rasowy okaz typa w kapeluszu na głowie za kierownicą i samochód tej klasy mógł stanowić zagrożenie, które wolał mieć za sobą. Wracał z Wrocławia z mieszanymi odczuciami. Jak co roku pojechał na doroczne zimowe spotkanie poszukiwaczy skarbów organizowane w tym mieście przed rozpoczęciem sezonu. Tak się jakoś złożyło, że te nieformalne kiedyś spotkania przerodziły się obecnie w prawie instytucjonalne spotkania w tym gronie. Można się tam było dowiedzieć co kto robił w poprzednim sezonie i czego nie znalazł. O konkretnych planach poszukiwań można się było dowiedzieć raczej niewiele, bo każdy starał się trzymać te informacje przy orderach.

Niemniej wiele się można było dowiedzieć z szeptanej informacji, która często była ważniejsza niż te oficjalnie głoszone. On sam pojechał tam aby posłuchać tych właśnie szeptanych informacji i pogadać z dwoma ludźmi. Natrafił na ciekawy temat związany z zaginionym niemieckim konwojem. Słowa „Streigh Geheim” i adnotacja o ładunku specjalnego znaczenia jakie widniały na dokumentach, które wpadły mu w ręce wzbudziły jego duże zainteresowanie. Dysponował więc konkretnymi wycinkowymi informacjami na ten temat. Wiedział, że tamta dwójka też kiedyś się tym zajmowała i chciał im zaproponować połączenie sił i środków. Zebranie w całość posiadanych przez nich informacji mogło ułożyć z dotychczasowych puzzli informacji całkiem ciekawy obrazek. Była duża szansa na znalezienie tego zaginionego konwoju. Nieobecność pierwszej z interesujących go osób była w pełni usprawiedliwiona. Był po prostu autentycznie chory. Z drugim sprawa wyglądała trochę inaczej i więcej niż dziwnie. To właśnie on był jednym z inicjatorów tego nieformalnego z początku forum spotkań i nie zdarzyło się do tej pory żeby opuścił któreś z nich. Teraz nie przyjechał i nikt nie wiedział dlaczego. Ta nieobecność i spostrzeżenie jakiego dokonał w trakcie tegorocznego spotkania zmusiły go do zastanowienia się.

Środowisko poszukiwaczy skarbów nie było zbyt wielkie i każda nowa twarz była tu natychmiast widoczna. Toteż jego uwagę zwrócił facet, który pojawił się po raz pierwszy na ich zimowym spotkaniu. Przez głupi przypadek wiedział kim jest. Był kiedyś w Warszawie i pokazano mu go jako typowy przykład faceta robiącego karierę w UOP-ie na bazie „demokratycznych” przemian. Na spotkaniu występował jako poszukiwacz tajemnic związanych z warszawskimi fortami. Na lewo i na prawo opowiadał jakie to tajemnice mogą się z tym wiązać. Efekt był do przewidzenia. Potraktowano go jako nieszkodliwego maniaka i bez weryfikacji przyjęto jako swojego do grona poszukiwaczy.

Marek tknięty jakimś przecuciem zachował swoją wiedzę na jego temat i nie podzielił się nią z pozostałymi poszukiwaczami skarbów. Rzucić na kogoś podejrzenie, że robi wredną robotę jest łatwo. Znacznie trudniej jest później to sprostować. Z ciekawością obserwował co było przedmiotem jego zainteresowania. Skala niesamowitych pomysłów u tych z UOP-u była olbrzymia, ale żeby się interesowali poszukiwaniami skarbów, to było dla niego coś nowego. Tego nie byli w stanie wymyślić sami. Legenda pod którą występował ich człowiek też była zbyt dobra jak na ich możliwości. Ktoś musiał im to podpowiedzieć. Szybko zorientował się, że faceta interesują tylko osoby mające coś do powiedzenia na temat Książa i Lubiąza. Jeśli pracownik UOP-u zjawił się w towarzystwie poszukiwaczy skarbów i to w przededniu przystąpienia Polski do Unii Europejskiej, to musiało to budzić pewne znaki zapytania. Czego szukał wśród ich grona? Dlaczego udawał kogoś innego? Policja polityczna na całym świecie raczej nie interesuje się poszukiwaniami zaginionych skarbów. To nie było normalne. Musiało się za tym kryć coś innego. Coś się działo, a on miał zielonego pojęcia o co chodzi. Nawet jak na warunki tej „szalonej demokracji” po 90 roku było to co najmniej dziwne. Trzeba było to jak najszybciej wyjaśnić. Z takim postanowieniem zaparkował samochód przed swoim domem.

*

Ukrytych skarbów, a szczególnie tych z okresu II wojny szuka i szukało wcale pokaźne grono osób. Nawet nieraz było głośno o tym w prasie i telewizji. Tylko, że nic z tego nie wynika. A jest o czym mówić. Chodzi o miliardy dolarów tkwiące do dzisiaj w zamaskowanych przez hitlerowców skrytkach na terenie Polski. Nikt nie ma żadnych wątpliwości, że mieli co chować. Obrabowali przecież całą Europę i zanim wywiesili białą flagę, zdążyli to zdeponować w „ziemskim banku”. Schowali to na terenach należących przed wojną do nich. Wyszli ze słusznego chyba wtedy założenia, że po paru latach sytuacja się zmieni i będą mogli ten majątek wykorzystać na chwałę kolejnej Rzeszy. Tutaj popełnili jednak poważny błąd. Nie docenili ambicji Stalina, ówczesnego przywódcy Związku Radzieckiego. Wujek Joe, jak nazywali go wówczas Amerykanie nie miał żadnych problemów, żeby w Jałcie i Teheranie przekonać Roosvelta i Churchilla do swojej wizji podziału Europy. Zachodnie granice Polski ustalono na linii Odry i Nysy Łużyckiej. W ten sposób znaczna część hitlerowskich depozytów w „ziemskim banku” znalazła się na terenach niedostępnych dla Niemców.

Gra szła jednak o zbyt wysoką stawkę i Niemcy znaleźli z tego nader skuteczne wyjście. Z nikim i nigdy nie rozmawiali i nie rozmawiają na temat zrabowanych dóbr kultury i wartości materialnych. Musieli uznać, że bez ich pomocy nikt nie jest w stanie znaleźć tego co zostało schowane. Jak na razie wszystko wskazuje na to, że mieli rację, ale może nie tak do końca. Fakt, że z jednakową konsekwencją bronią dostępu do informacji na temat dokumentów dotyczących planów budowy wojennego szpitala w Świdnicy czy laboratorium zajmującym się badaniem antygravitacji powoduje, że każdy z potencjalnych poszukiwaczy staje przed problemem rozwiązania kwadratury koła. Wszystko ma jednakowy glejt tajności i tak do końca nie wiadomo co jest ważne a co nie. Nie pozwala to szukającemu na wytypowanie miejsc najbardziej znaczących i skoncentrowaniu się na nich.

Znalezienie sterty przerdzewiałych hełmów czy archiwum jednostki aprowizacyjnej Wehrmachtu może zniechęcić niejednego poszukiwacza. Tym bardziej jeżeli stracił na to mnóstwo czasu i pieniędzy. I może o to właśnie w tym wszystkim chodzi. Dla nie wtajemniczonych tajemnica ma zostać tajemnicą.

Jest jeszcze jeden aspekt o którym prawie wcale się nie mówi, a jest może jeszcze ważniejszy niż miliardy dolarów zakopane w ziemi. Dotyczy to prac naukowo-badawczych prowadzonych przez Niemców od chwili dojścia Hitlera do władzy aż do ostatnich dni II Wojny Światowej.

Już na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku prowadzili w swoich laboratoriach uniwersyteckich wiele interesujących doświadczeń i badań z zakresu matematyki i fizyki. Środki jakie

wtedy na to przeznaczali nie były oszalałymi, a jednak w niektórych dziedzinach wyprzedzili świat o 30-60 lat. Może wydawać się to niewiarygodne, ale tak właśnie było. Jeśli weźmiemy jeszcze pod uwagę fakt, że dokonało się to metodą szybkiego skoku naprzód i w stosunkowo krótkim czasie, to rodzi się pytanie. Skąd wiedzieli na jakie kierunki postawić? Ówczesne światowe prace akademickie nie mogły im dostarczyć tego typu informacji. Ponadto, już po wojnie okazało się, że ta ich wiedza była w wielu dziedzinach stosunkowo kompletna. Takie osiągnięcia muszą budzić zastanowienie i rodzą pytania.

Co spowodowało, że postawili na te, a nie na inne kierunki badań? Czy wiedzieli coś o czym inni nie mieli pojęcia i korzystali z tego źródła? Nieprawdopodobne!? Wcale nie! Możliwe, że prawdziwa odpowiedź na to pytanie zburzyłaby dotychczasowy utarty porządek świata. Takiego postępu nie tłumaczy bowiem metoda jaką przyjęli i konsekwentnie stosowali w odniesieniu do wszystkich zgłaszanych projektów i pomysłów wynalazczych. Każdy wnioskodawca otrzymywał szansę na sprawdzenie się i udowodnienie swoich racji. Nie miało znaczenia czy pomysł był zgodny z aktualnym stanem wiedzy i czy było to bardziej lub mniej niedorzeczne według obowiązującego wówczas kanonu wiedzy.

Obrazowo mówiąc, to gdyby ktoś przyszedł wtedy z projektem sześciokątnego koła udowadniającym, że jest to lepsze rozwiązanie niż stosowane do tej pory okrągłe, to nie wyrzucono by go na zieloną trawę i nie zamknięto w pomieszczeniu bez klamek. Dostałby tylko mniej lub więcej środków finansowych i szansę na udowodnienie swoich racji. Gdzie indziej na świecie takie podejście do tematu było w tym czasie niemożliwe. Zapewne takie nieortodoksyjne podejście Niemców do nauki miało coś wspólnego z ich niebywałym zainteresowaniem zaginionymi cywilizacjami i technikami jakimi się one posługiwały. Już w 1824 roku przetłumaczyli i wydali u siebie hinduski epos pod tytułem „Mahabharata” i można tam znaleźć wiele ciekawych opisów:

„W blasku światła pojawił się nagle niebiański wóz Indry. Przepędził ciemność i rozświetlił chmury. Nappełnił strony świata rykiem podobnym do grzmotu. Był to cudowny niebiański twór, od patrzenia aż bolały oczy. W tym podobnym Słońcu niebiańskim pojeździe Ardżuna uniósł się w górę. Kiedy zbliżył się do rejonów niedostępnych oczom śmiertelników, zobaczył inne niebiańskie pojazdy w liczbie wielu setek. Tam w górze nie świeci ani Słońce, ani Księżyc, nie lśni blaskiem nawet ogień. Widziane z Ziemi gwiazdy, które wyglądają jak odległe lampy, to w rzeczywistości wielkie ciała niebieskie.”

Prawda jak znajomo brzmi ten opis dzisiaj dla nas? Ktoś siedzi sobie za sterami statku powietrznego z napędem rakietowym lub podobnym i lata sobie po hinduskim niebie. Niby nie ma w tym dla nas nic dziwnego, ale jak sobie uświadomimy, że zostało to napisane ponad 5000 lat temu, to ciśnie się na usta pytanie: Kto zbudował te pojazdy i kto siedział za ich sterami? Pytanie niby retoryczne, ale jakoś nawet w dniu dzisiejszym nikt nie kwapi się z odpowiedzią. Wygląda na to, że tylko Niemcy przy swoim nieortodoksyjnym podejściu do nauki potraktowali to poważnie i wywołali wilka z lasu. Doskonale znali też starożytne dzieło pod tytułem „Vimaanika Shastra”, które opisuje w ponad 6000 wierszy szczegóły budowy pozaziemskich maszyn latających. Jest to monumentalne dzieło poświęcone wyłącznie opisom technicznym maszyn latających znanych pod nazwą „vimany”. Tekst jest zapisany w sanskrycie i zawiera mnóstwo terminów trudnych czy wręcz niemożliwych do jednoznacznego zinterpretowania.

Czy stąd Niemcy zaczerpnęli swoje natchnienie w dziedzinie rozwoju sił powietrznych? Wygląda to trochę nieprawdopodobnie, ale przyjrzyjmy się faktom. Już na początku lat czterdziestych ubiegłego wieku ich rakiety V-1 i V-2 zabijały tysiące ludzi i niszczyły całe kwartały miast. Aliancka obrona przeciwlotnicza nie była w stanie sprostać temu wyzwaniu. Nawet w dniu dzisiejszym majaczy nad nami cień V-2. Groźne do dzisiaj rakiety SCUD, to w rzeczywistości rozwinięcie radzieckiej kopii niemieckiej V-2. Pod koniec 1944 roku na deskach projektowych niemieckich inżynierów znalazły się studialne założenia techniczne dla rakiet mogących dolecieć do Księżyca i wrócić z powrotem. Teraz nas to nie dziwi, ale w tym czasie reszta ludzkości podróżowała na Księżyc tylko w powieściach fantastycznych.

To musi zastanawiać. Trudno przyjąć założenie, że u Niemców nastąpił nagły wysyp genialnych naukowców i wiedzieli oni dokładnie jakie kierunki badań rozwijać. Tym bardziej, że wiemy doskonale, że tak nie było. Na początku lat trzydziestych ubiegłego wieku mieli wspaniałą kadrę naukową, którą po dojściu Hitlera do władzy zniszczyli i rozpędzili na cztery strony świata z Albertem Einsteinem na czele. Tytułem do tych represji było ich żydowskie pochodzenie. Pozostała,

czysto aryjsko kadra naukowa nie reprezentowała poziomu wiedzy, który by tłumaczył ich osiągnięcia w niektórych dziedzinach techniki.

Ot, chociażby ich okręty podwodne typu XXI. Reprezentowały one wtedy wręcz kolosalne wyprzedzenie technologiczne w stosunku do reszty świata. Ich dzisiejszym odpowiednikiem są podwodne okręty z napędem atomowym. Obecnie posiada je pięć państw. W 1945 roku podobną bronią dysponowali tylko Niemcy. Na nasze szczęście typ XXI nie wszedł do masowej produkcji i nie miał znaczącego wpływu na przebieg II Wojny Światowej. Niemniej zasadnym wydaje się pytanie: „Skąd Niemcy wiedzieli jak zbudować taki typ broni?” Wiemy, że teoretycznie nie mieli podstaw aby to osiągnąć. A jednak to zrobili i nie tylko w tym jednym przypadku.

Jak to oceniają współcześni luminarze nauki i polityki? No cóż, nadal lansują tezę, że nasi przodkowie byli mało „kumac” i i „kuda im” do naszych obecnych osiągnięć. Jednak do dzisiaj nie umiemy odczytać i pojąć sensu zapisów z zamierzchłej historii naszego gatunku. Nie mówiąc już o tym, że obecnie skopiowanie i zbudowanie starożytnych piramid jest teoretycznie możliwe, ale logistyka budowy przerasta dzisiejsze możliwości. Luminarze archeologii twierdzą, że winni są budowlańcy, bo nie potrafili budować tak jak kiedyś. Ciekawe podejście. Mamy sprzęt i technikę XXI wieku i mamy problem z budową?! Może warto to wyjaśnić.

Warszawa

Lotnisko Okęcie

Andrzej Dytrzak z pewnym podziwem spoglądał na olbrzymi kadłub Boeinga w barwach LOT-u stojący na płycie międzynarodowego portu lotniczego na Okęciu. Za niecałą godzinę tym właśnie samolotem miał polecieć do Nowego Jorku. Z Poznania przywiózł go samochodem Marek i przed chwilą zakończyli rytuał pożegnania. Odniosł wtedy wrażenie, że jego przyjaciel z czasów studiów celowo znalazł jakąś sprawę do załatwienia w Warszawie, aby dopilnować jego odlotu. Zresztą cały ten jego wyjazd do U.S.A. to była jego robota.

W ubiegłym roku w trakcie poszukiwań zaginionego niemieckiego skarbu z czasów II Wojny Światowej złożył mu propozycję nie do odrzucenia. Załatwi mu stypendium naukowe w Stanach, a w wolnych chwilach poszuka on w tamtejszych archiwach informacji o III Rzeszy interesujących Marka. W końcu zgodził się, a duży wpływ na to miała opinia pozostałej „bandy czworga”. Tak Andrzej nazywał skład ich ekipy poszukiwaczy zaginionych skarbów III Rzeszy. Były też inne argumenty przemawiające za. Zagraniczne stypendium ustawiało go na pozycji lidera do sukcesji po szefie ich katedry na Uniwersytecie Poznańskim. Sam odczuł to na swojej skórze. Zaproszenie ze Stanów przyszło na jego imię i nazwisko. Jak było do przewidzenia Warszawa miała wyraźną ochotę na zmianę zaproszonego. Powiedział o tym Markowi.

Reakcja Amerykanów była natychmiastowa i jednoznaczna. Prawdą było, że ubrane to było w dyplomatyczne słowa, ale sens był jednoznaczny. „Odpierdolicie się od tematu. Beneficjentem zaproszenia jest Andrzej Dytrzak. Nikomu nic do tego.” Zapewne ta odpowiedź spowodowała, że profesor zaczął go ciągać z sobą na różne ważne spotkania z notablami i zwolnił z mało istotnych zajęć w katedrze.

Był też inny poważny powód o którym nie miał prawa wiedzieć nikt postronny. Nawet żona. Wtedy był oburzony tym żądaniem Marka. Teraz był skłonny przyznać mu rację. Wywinęli przecież nieziemski numer i nikt się ich o nic nie czepiał. Były z tego tylko same plusy. Znaleźli skarb wartości prawie 200 milionów dolarów. Znalezione nie kradzione – powiedział wtedy Marek – i morda w kubeł. Za ich zgodą zagospodarował to znalezisko. Przyjechał wtedy ze Szwajcarii notariusz i podsunął im do podpisu plik dokumentów. Podpisali. Od tego momentu jego kłopoty materialne odeszły w niebyt. Co roku miał dostawać legalnie prawie dwa miliony dolarów z tytułu samych odsetek. Fundacja wymyślona przez Marka i zalegalizowana przez szwajcarskiego notariusza zapewniała byt jego rodzinie i jej potomkom na wiele, wiele lat. Jedynym minusem było to, że nie mógł nic opublikować na ten temat. Dalsze rozważania przerwał mu komunikat, że pasażerowie jego lotu są proszeni do odprawy paszportowo-celnej.

Z niesmakiem stwierdził, że wyróżnia się w tłumie zdążającym do odprawy. Prawie wszyscy targali po parę sztuk okazałych waliz, a on miał tylko podręczny bagaż. Gość przed nim tłumaczył właśnie celnikowi, że trzy okazałe sztuki bagażu potrzebne mu są do odbycia wycieczki turystycznej do Stanów. „Jak ci wszyscy ludzie jadą tam w celach turystycznych, to ja jestem chiński cesarz” – przemknęło mu przez myśl. On sam w ostatniej chwili posłuchał rad Marka i zrezygnował z dwóch walizek jakie spakowała mu na wyjazd żona. Była tak zaskoczona jego decyzją, że nie zrobiła mu

nawet żadnej awantury. Prowadyr jego wyjazdu na stypendium naukowe do U.S.A wręczył mu kartę City Banku i powiedział, że resztę potrzebnych rzeczy kupi sobie na miejscu. Ma tylko pamiętać, aby przy zakupach nie przeliczać niczego na złotówki, a karta wytrzyma wszystkie jego fanaberie. Nie będzie się wtedy wyróżniał wśród miejscowych tubylców.

Uwierzył mu, bo nieraz zdawało mu się, że zna go dłużej niż samego siebie i wie co robi. Musiało mu na tym zależeć, ale tak do końca nie dowiedział się dlaczego. Przez skórę czuł, że ma to coś wspólnego z ich przyszłymi poszukiwaniami zaginionych skarbów III Rzeszy. Jego indagacje w tej materii Marek zbył krótko i logicznie: - „Tajemnica jest tajemnicą tak długo jak zna ją tylko jedna osoba. Jak znają ją dwie osoby to już nie jest to tajemnica. Jak zna ją więcej osób, to jest to tylko mniej lub bardziej niedostępna informacja.”

Przyjął to do wiadomości, tak jak i zestaw odpowiedzi jakich miał udzielać na lotniskach przy odprawach, jakie dostał od niego z zaleceniem żeby je dobrze zapamiętał. Nie przyjął tego jako rady wrednego ignoranta i teraz ze zdumieniem stwierdzał, że to działa. Polski celnik uśmiechnął się życzliwie słysząc jego odpowiedzi, a porucznik Straży Granicznej nawet mu zasalutował. „Czyżby macki Marka sięgały aż tutaj?” – przemknęło mu wtedy przez myśl.

Zanim się zdecydował na ten wyjazd to uzyskał od swojego przyjaciela gwarancję, że nie będzie traktowany przez Amerykanów jak potencjalny przestępca. Jak do tej pory nie były to słowa bez pokrycia. Tu musiał uchylić czapkę przed Markiem. W konsulacie amerykańskim w Poznaniu był trzy razy. Za pierwszym razem wypełnił jakieś papiery. Później zadzwonił osobiście konsul i poprosił o dostarczenie paszportu. Później był jeszcze jeden telefon i otrzymał paszport z powrotem z wbity wiza. Zdał sobie wtedy sprawę, że konszachty Marka sięgają znacznie dalej niż posiadana przez niego wiedza o jego dokonaniach w ostatnich latach.

Uświadomił sobie wtedy, że jest traktowany jak VIP*. Na wszelki wypadek nie upublicznił tego faktu, bo Marek wyraźnie dał mu do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Niemniej był przekonany, że Amerykanie nie traktują w taki sposób wszystkich Polaków. Chociaż mogłoby się wydawać, że podobnego traktowania mógł oczekiwać każdy Polak. Było nie było, Polska była przecież obecnie więcej niż wiernym poplecznikiem Waszyngtonu. Jeżeli wszystko było prawdą co mu powiedział na ten temat Marek, to mógł teraz poważnie potraktować jego zapewnienie o komitecie powitalnym w Nowym Jorku. Zapewne nie przespałby całego lotu, gdyby wiedział jaka niespodzianka czeka go na lotnisku po wylądowaniu.

Nowy York

Lotnisko JFK*

Stewardesa delikatnie potrząsnęła jego ramieniem. To przywróciło go do rzeczywistości. „Zaraz lądujemy, proszę zapiąć pasy” – usłyszał. Uśmiechnął się do postawnej blondynki przypominającej mu jego żonę i wykonał zalecaną czynność. Samolot wylądował bez najmniejszego wstrząsu. „Polscy piloci to jednak mistrzowie najwyższej klasy” – pomyślał z dumą. Nie spiesząc się zabrał swój podręczny bagaż i ruszył do wyjścia. Stał w kolejce do immigration officera*. Zażywny grubasek przed nim próbował w łamanym języku angielskim wyjaśnić, że naprawdę przyjechał w celach turystycznych. Potężny Murzyn ubrany w szykowny mundur groźnie łypnął oczami i coś warknął. Jego krajan stracił całą swoją elokwencję i z widocznym przerażeniem patrzył na oficera. Ten powiedział coś do miniaturowego mikrofonu zawieszonoego na lewej stronie munduru i stracił całe zainteresowanie stojącym przed nim Polakiem. Jak z pod ziemi wyrosli dwaj umundurowani strażnicy i zabrali kompletnie zbaraniałego delikwenta.

„No tak, – pomyślał Andrzej – facet nie spodobał się urzędnikowi i zanim wjechał do Stanów, to już wraca z powrotem.” Delikwent mógł poskarżyć się tylko Panu Bogu, bo decyzja urzędnika nie podlegała żadnej apelacji. Wiza wbita w paszport delikwenta nie miała dla niego żadnego znaczenia. On sam osobiście decydował komu udzieli zgody na wjazd. Kryteria jak widać były bardzo różne i to wliczając do tego nawet osobistą niechęć immigration offcera do petenta. Sojusznikami to może byli prezydenci obydwu państw i polscy żołnierze ginący w Iraku, ale nie zwykli Polacy.

„Jak oni nas traktują” – wkurzył się wewnętrznie Andrzej i z pewną obawą podał swój paszport. Oficer otworzył podany mu dokument i zaczął czytać.

Immigration officer (ang.) – urzędnik emigracyjny wydający pozwolenie na wjazd do USA

VIP – Very important person – bardzo ważna osoba

- And... , - zaciął się na moment i zaraz wybrnął z tego. - Andrew Dyt... – po raz drugi napotkał chyba zbyt duży problem językowy jak na jego lingwistyczne możliwości.

Podniósł głowę i białe, prawie błękitne białka jego oczu łypnęły nieprzyjaźnie w jego stronę. „No tak, teraz wezwie dwóch kolejnych fagasów i ciupasem odeślą mnie do domu.” – z wisielczym humorem skonstatował Andrzej.

- Cel przyjazdu? – arogancja w głosie była słyszalna w każdym calu tego pytania.

- Stypendium naukowe – wyrecytował wyuczoną odpowiedź.

- Dobrze, że nie wycieczka turystyczna – usłyszał w odpowiedzi mało grzecznym tonem.

Officer opuścił głowę i dokończył wstukiwanie jego danych do komputera. Popatrzył na monitor i podniósł wzrok na niego. Spojrzał jeszcze raz na paszport i nagle stał się cud. Olśniewające białą zęby błysnęły w uśmiechu. Podniósł się ze swojego krzeselka i w miarę jak wstawał, to zdawał się rosnać i rosnać. Andrzej przyjrzał mu się z podziwem. Sam nie był ułomkiem, ale Murzyn stojący przed nim miał ponad dwa metry wzrostu. W barach był pewnie o połowę szerszy od niego. Gdyby zechciał, to pewnie mógłby wziąć go pod pachę i zabrać na spacer w charakterze maskotki.

- Witamy w Stanach, sir – usłyszał. – Życzę przyjemnego pobytu, sir. Good day, sir.

„O rany, to jestem już sir” – zdumiał się Andrzej i zauważył, że jego rozmówca spojrzał ponad jego prawym ramieniem i skinął komuś głową. Odebrał paszport i usłyszał z tyłu.

- Doktor Andrzej Dyrzak? – zadane po polsku pytanie załatywało wyczuwalnym anglosaskim akcentem.

Odwrócił się i spojrzał na pytającego. Stał przed nim mężczyzna jego wzrostu. Szczupły szatyn, w wieku czterdziestu paru lat. Ubrany w szary, nienagannie skrojony garnitur sprawiający wrażenie munduru. Jeżeli to miał być zapowiedziany przez Marka komitet powitalny, to był bardzo skromny. W widoczny sposób brakowało dużych powitalnych transparentów i dzieci machających na powitanie chorągiewkami. To w jak wielkim był błędzie zaczęło się okazywać już za chwilę.

- Tak. Zgadza się. – odparł spokojnie i wzrokiem zapytał: „Kim jesteś?”

- Jestem John Nowitzki. – przedstawił się jego rozmówca. – Poproszono mnie, abym zaopiekował się panem. Gdzie pana reszta bagażu?

- Mam go z sobą.

Zapewne taka mała ilość bagażu na trzymiesięczny pobyt musiała budzić zastanowienie, ale twarz pytającego nawet nie drgnęła w odruchu zaskoczenia. Skinął głową i poprosił aby szedł za nim. Ruszyli w stronę lady celników. Celnik wyciągnął rękę po paszport Andrzeja i przelotnie spojrzał na jego towarzysza. Zadawane pytania nie odbiegały od tych, które zapisał mu Marek. Jego uprzednio wyuczone odpowiedzi w widoczny sposób satysfakcjonowały pytającego. Celnik oddał mu paszport i powiedział: - „Miłego dnia, sir.” Nie poprosił nawet o otwarcie jego podręcznej torby, mimo że cały bagaż jego towarzyszy podróży był dokładnie bebeszony na długich ladach.

„Nawet jeśli obiecany przez Marka komitet powitalny jest nad wyraz skromny, to jest jednak bardziej niż skuteczny i kompetentny” – przemknęło mu przez myśl. Ruszył za swoim przewodnikiem. Podeszli do małych bocznych drzwi. „Tylko dla personelu” – przeczytał napis. Stojący u drzwi umundurowany strażnik zasalutował i otworzył im drzwi. Wygląda na to, że chyba jest małym „tajnym VIP-em” – skonstatował Andrzej i postanowił nie dziwić się już niczemu co go może spotkać w towarzystwie takiego przewodnika.

Dotarli do szerokiego podjazdu przed budynkiem dworca lotniczego. Ruszyli w kierunku szarego Forda zaparkowanego beczelnie zaraz za zakazem postoju i zatrzymywania się. Stał przy nim policjant w czarnym uniformie i pisał coś w swoim notesie. Podeszli do niego i jego towarzysz wyciągnął jakiś portfelik z wewnętrznej kieszeni marynarki i pokazał go policjantowi. Ten rzucił na niego okiem i nagle stracił całe zainteresowanie źle zaparkowanym samochodem. Zamknął notes, zasalutował i szybko się zmył. „Do cholery, kim jest ten facet?” – zastanowił się Andrzej. Katem oka zauważył symbole widniejące na legitymacji. Wysilał teraz swoje szare komórki, aby przypomnieć sobie co mu Marek klarował na temat służb specjalnych istniejących w U.S.A. Był skłonny postawić na NSA.

*

NATIONAL SECURITY AGENCY – NSA – Narodowa Agencja Bezpieczeństwa.

Dnia 4 listopada 1952 roku o godz. 12.01 prezydent Truman podpisał dyrektywę o utworzeniu agencji. Od chwili powstania do dnia dzisiejszego jest to najbardziej tajemnicza agencja wywiadowcza świata. Jej budżet sięga miliardów dolarów rocznie. Agencja funkcjonuje w „ukrytym”

obszarze działań rządu. Prawo do wiedzy o niej mają tylko ci, którzy byli w stanie wykazać, że „muszą wiedzieć”. Przez pierwsze pięć lat jej istnienia w żadnym dokumencie rządowym nie było wzmianki o niej. Lepiej zorientowane osoby w Waszyngtonie interpretowały akronim tej organizacji jako *No Such Agency* – „Nie ma takiej agencji”

Siedmiostronicowy statut krótko i zwięźle określał jej zadania: miała chronić bezpieczeństwo łączności rządu USA i przechwytywać wiadomości wymieniane przez inne państwa. Taka dwustronna natura obowiązków podzieliła NSA na dwa główne wydziały: *Communication Security* – COMSEC – Bezpieczeństwo Komunikacji i *Communications Intelligence* – COMINT – Wywiad Komunikacyjny. Pierwszy próbował wynaleźć szyfry niemożliwe do złamania. Drugi miał zbierać i dekodować informacje z całego świata. Przechwytywanie i interpretacja danych elektronicznych jest potocznie znana jako wywiad łącznościowy i stąd pochodzi jego angielski akronim SIGNIT.

Dostęp do siedziby agencji w Fort George Meade w stanie Maryland jest poważnie ograniczony. Jednak takie określenie wydaje się nawet i dzisiaj dużym niedopowiedzeniem.

Ponad pięćset anten zainstalowanych na dachu budynku tworzy metalową dżunglę godną opisu z powieści scenic fiction, zaś dwie duże kopuły radiolokatorów przypominają gigantyczne piłki do golfa. Sam budynek jest olbrzymi. Ma ponad dwieście tysięcy metrów kwadratowych i jest prawie dwa razy większy niż siedziba CIA. Wszystkie okna są zamknięte na stałe i mają powierzchnię ponad osiem tysięcy metrów kwadratowych. Wnętrze budynku kryje miliony metrów kabli telefonicznych i światłowodów.

Wydział przechwytywania wiadomości – COMINT – posiada niewyobrażalną liczbę stanowisk nasłuchu, urządzeń podsłuchowych, satelitów i szpiegów, rozmieszczonych na całym świecie. Codziennie COMINT przechwytuje miliony wiadomości, które potem trafiają do analityków NSA w celu ich rozszyfrowania. Informacje przekazywane przez NSA są podstawą podejmowania decyzji przez Departament Stanu, CIA i FBI.

Agencja jest najbardziej zaawansowanym technicznie podglądaczem wszystkiego i wszystkich. Z założenia została stworzona w jednym celu – ma chronić bezpieczeństwo państwa. Inaczej mówiąc ma wyszukiwać zgniłe jabłko. Prawdopodobnie większość obywateli zgodziłaby się do zrezygnowania z części swoich praw do prywatności w zamian za pewność, że można w ten sposób przeciwdziałać knowaniom różnych lajdaków. Wcześniej czy później społeczeństwo będzie musiało komuś zaufać. Wiadomo, że większa część społeczeństwa to uczciwi ludzie, ale trafią się też i zgniłe jabłko. Ktoś musi być w stanie oddzielić jedno od drugiego. To jest właśnie obowiązek i zadanie Agencji. Czy nam się podoba czy nie, to demokrację od anarchii dzieli bardzo wąska linia. NSA ma pilnować, aby nikt jej nie przekraczał.

*

Quis custodiet ipsos custodes? – Kto ma pilnować tych co pilnują? – Zastanowił się Andrzej. Uznał, że pytanie jest w pełni zasadne. Jeśli agencja pilnuje społeczeństwa, to kto ją będzie pilnował i sprawdzał czy sama nie staje się zagrożeniem dla wszystkich. Doszedł do wniosku, że na razie nikt nie umie na to odpowiedzieć. „Zresztą ki diabeł?” – zastanowił się – „Co ma NSA do naszych poszukiwanych zaginionych skarbów III Rzeszy?” Wrzucił swoją torbę na tylne siedzenie i usadowił się wygodnie na przednim. Spojrzał na swojego przewodnika z zainteresowaniem i pewną dozą ostrożności.

- Coś nie tak? – zapytał ten przekręcając kluczyk w stacyjce.

Teraz Andrzej nie miał już żadnych wątpliwości. Facet na pewno był pracownikiem służb specjalnych. Za szybko zorientował się w jego intencjach. Postanowił to sprawdzić.

- Nie takiego powitania oczekiwałem.

Jego osobisty teraz kierowca, bez wątpienia agent służb specjalnych przyglądał mu się z zastanowieniem. Silnik delikatnie mruczał pod maską, ale na razie jeszcze nie ruszyli.

- Pan jest w Stanach pierwszy raz – było to stwierdzenie faktu, a nie pytanie. – Pan Nash Tonner – tu zwrócił jego uwagę szacunek jaki zabrzmiał przy wypowiedzianym nazwisku - rozmawiał w pana sprawie z szefem naszej Agencji. Skoro zdecydowano, że taka ma być forma powitania, to tak widocznie ma być.

„Toner jest używany do drukarek atramentowych i laserowych.” – chciał się pochwalić swoją wiedzą techniczną, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Nie był pewien czy w zacytowanym nazwisku usłyszał jedno czy dwa „n”. Powiedział coś zupełnie innego.

- Nic mi to nazwisko nie mówi.

Zanim skończył mówić już tego żałował. Uświadomił sobie, że ledwo postawił stopę na amerykańskiej ziemi, to już okłamał agenta służb specjalnych. „Zupełnie nieźle jak na początek, – pomyślał z wisielczym humorem – ciekawe do czego dojdę w dniu wyjazdu.” Musiał to szybko naprawić.

- No może nie tak do końca. Pan Nash Tonner jest ... – zawahał się przez chwilę, bo w tej materii nie dostał żadnych wytycznych od Marka i postanowił powiedzieć znaną mu prawdę –wspólnikiem w interesach mojego przyjaciela, Marka Dąbrowskiego.

- Nie miałem zaszczytu osobiście poznać obydwu, ale znam ich z widzenia. – agent przyglądał mu się z widocznym zainteresowaniem.

Nie ma zaszczytu ich znać osobiście, ale zna ich z widzenia? O co tu do cholery chodzi? – zastanowił się Andrzej. – Przecież Marek nawet przez moment nie zająknął się w jego towarzystwie, że bywał w USA. Przyznał się tylko do posiadania wspólnika w Stanach. Poznał jego genialne zdolności do manipulowania ludźmi jeszcze w czasach ich wspólnej pracy w Spółdzielni Akademik. Było to w czasie ich studiów, ale teraz zaczynał się czuć jak wydymany idiota. Przyjechał tu przecież w ściśle określonym celu. Miał zebrać materiały do swojej kolejnej pracy naukowej i bez zwracania uwagi zebrać informacje na temat zaginionych skarbów III Rzeszy. W tej ostatniej sprawie Marek kazał mu zapamiętać jakie tematy go interesują, ale nie pozwolił na robienie żadnych notatek w tej materii. To miało zostać między nimi. Poczul się trochę zagubiony. Miał to robić w tajemnicy, a tu na dzień dobry wita go agent służb specjalnych. Musiał szybko coś wymyślić.

- W Polsce pracuję dla pana Dąbrowskiego. – zaryzykował z pokerowym wyrazem na twarzy.

- Rozumiem – jego rozmówca skinał głową i mrugnął porozumiewawczo.

No tak. Teraz jesteśmy kumplami. Tak to odczytał Andrzej. On pracuje w Agencji, a jego szef z wyraźną atencją traktuje życzenia pana Tonnera. Ja pracuję dla Dąbrowskiego. W sumie obaj pracujemy dla jednej sitwy. Wcale nie rozbawiło go to podsumowanie. Oczywiście, jeśli było prawdziwe. Musiał to sprawdzić.

- Słusznie pan zauważył, że jestem pierwszy raz w Stanach – zauważył ostrożnie Andrzej. – Jako historyk z Europy nie znam tutejszych koligacji i powiązań personalnych.

- To zrozumiałe – usłyszał od swojego już chyba kumpla. – W końcu zajmuje się pan historią gospodarczą XX wieku w Europie ze szczególnym uwzględnieniem okresu II Wojny Światowej.

Andrzej poczuł mrówki wędrujące mu po kręgosłupie. „Czyżby prześwietlili mnie głębiej niż sięga dno oceanu?” – przemknęło mu przez myśl. Znajomość z Markiem zawsze obfitowała w różne niespodzianki, ale co za dużo to niezdrowo.

- Rodzina Tonnerów, – ciągnął dalej jego rozmówca – to najbardziej wpływowa grupa interesów u nas w kraju. Nic nie dzieje się u nas bez ich wiedzy i zgody. Żaden nasz prezydent nie odmówi spotkanie z przedstawicielem ich rodziny. Nie ma znaczenia czy u władzy są republikanie czy demokraci.

„Obedrę Marka żywcem ze skóry” – postanowił w myślach Andrzej. – „Ten poganiacz białych niewolników zna takich ludzi, ale nie raczył o tym wspomnieć swojemu najlepszemu przyjacielowi.”

Gdyby znał powody takiego zachowania Marka zapewne nie byłby tak radykalny w swoich poglądach. O tym miał się dopiero dowiedzieć znacznie później i to w okolicznościach o jakich mu się nawet nie śniło. Zdarzenie to zaś zbliżało się milowymi krokami.

- Mam panu zaproponować dwie możliwości stałego lokum na okres trzech miesięcy – jego rozmówca nie zauważył jego chwilowej rozterki. – Mieszkanie prawie w centrum city lub mały domek w Meeddford. To jest miłe przemieście miasta – wyjaśnił widząc jego pytający wzrok. – Niecała godzina jazdy do centrum.

Andrzej zastanowił się. Zamierzał solidnie wykorzystać podarowane mu trzy miesiące stypendium naukowego. Pięć dni pracy w archiwach w ciągu tygodnia, to dosyć siedzenia w zamkniętych pomieszczeniach. Domek miał zapewne jakiś kawałek ogródka i weekend na świeżym powietrzu będzie wskazanym przerywnikiem. Zresztą nie on miał płacić za te fanaberie.

- Domek. – zdecydował.

Silnik Forda mruknął głośniejszy i płynnie włączyli się do ruchu. Prawie godzinę zajęło im dotarcie do jego przyszłego lokum. Wjechali na podjazd do garażu przed domkiem nie różniącym się niczym szczególnym od innych stojących przy ulicy. Andrzej wysiadł i wzdrygnął się.

„Zimno jak na Syberii” – pomyślał i miał rację. Początek stycznia nie jest najcieplejszym miesiącem w Nowym Jorku. Ruszył za swoim przewodnikiem. Weszli do środka. Trzy pokoje,

łazienka, duża kuchnia i oszklona weranda z tyłu domu. „Zupełnie nieźle jak na kwatere dla mało znanego doktora z Polski” – skonstatował z zadowoleniem.

Powiedział to na głos. W odpowiedzi otrzymał życzliwy uśmiech i został zaprowadzony do garażu. Niebieski Ford podobny do tego którym przyjechali błyszczał prawie świeżym lakierem. „Co to, to nie” – zjeżył się Andrzej. Widział te potoki samochodów i szalony ruch na drodze, gdy jechali tutaj. Był już w wieku w którym człowiek zaczyna sobie zdawać sprawę z pewnych swoich ułomności. Bezsprzecznie należało do nich brak jakichkolwiek umiejętności politechnicznych. Już samo wbicie prosto gwoźdźnia w deskę stanowiło dla niego poważne zadanie techniczne. Mimo starannych i wszechstronnych przygotowań nie zawsze kończyło się to sukcesem. Stał widocznie w innej kolejce jak Bozia rozdawała te umiejętności. Z niesmakiem, ale i z pełną świadomością zaliczał do tego również mniej niż średnie swoje umiejętności w kierowaniu samochodem. Na dostosowanie się do tutejszych warunków potrzebowałby pewnie więcej niż trzy miesiące. Na taką stratę czasu nie mógł sobie pozwolić. Nie przyjechał przecież tutaj uczyć się jeździć.

- Nie sądzę, aby był mi potrzebny samochód – wyraził swoją zdanie.

- Jak pan uważa – jego wątpliwość została przyjęta bez zdziwienia. – Stąd jest dobre połączenie komunikacją miejską do centrum. W kuchni na lodówce wisi rozkład połączeń.

Wrócili do domu i odbył przyspieszony kurs obsługi urządzeń znajdujących się na wyposażeniu. Było tego sporo.

- Jezus Maria! – wyrwało mu się przy maszynie do produkcji kostek lodu – Jak ja to mam zapamiętać?

- Nie jest tak źle – usłyszał. – Poradzi pan sobie. Wszystkie instrukcje po polsku są w tej plastikowej teczce na lodówce.

O co chodzi z tą lodówką? – zastanowił się. - Jakieś zboczenie informacyjne? Ważne informacje na sprzeczne do którego w swoim domu nie przywiązywał specjalnej wagi. – A może to taki miejscowy folklor? Do diabła z tym – zdecydował. – Przecież nie to chodzi.

Lodówka była dziewiczo pusta, a on przecież nie będzie żył powietrzem.

- Myślę, że warto by było uzupełnić zapasy. – zasugerował.

- Oczywiście! – agent spojrzał na jego podręczny bagaż leżący na kanapie w salonie, gdzie się teraz znajdowali. – Zaraz panu pokażę gdzie jest tutejsze centrum handlowe.

Wyszli i wsiedli do samochodu. Przejechali może z 500 metrów i znaleźli się na parkingu centrum handlowego. Wzięli po wózek i weszli do środka. Andrzej z zadowoleniem stwierdził, że ten jego daje się sterować zupełnie lekko. Mało tego. Jechał w tym kierunku, który on wybierał. Nie to co te w podziemiach zamku Lutzow, które zachowywały się jak znarowione kobyły. Tam, musiał wysłuchać rad Marka, aby w końcu wózek ze złotymi sztabami podążał w pożądanym przez niego kierunku. To było miłe wspomnienie, ale teraz musiał się zająć sprawami doczesnymi. Nie zamierzał głodować w swojej nowej kwaterze.

Szybko się zorientował, że opisy na opakowaniach amerykańskich produktów są na poziomie średnio uzdolnionego debila. Każdy idiota na ich podstawie mógł sobie wyobrazić co znajdzie w środku. No, przynajmniej co powinno tam być. Posłuchał przedwyjazdowych rad Marka i zrobił sobie zapas na tydzień. Żona nie stała mu nad głową, więc wybierał te produkty, które lubił najbardziej. Może nie zawsze najzdrowsze i zgodne z jej wegetariańskimi zapędami, ale dzisiaj mógł decydować sam. Z pewnym zdziwieniem stwierdził, że zaspokojenie jego przyszłych żądz kulinarnych prawie w całości wypełniło jego wózek. Spojrzał na pusty wózek swojego przewodnika i błysk zrozumienia zaświtał w jego głowie. Musiano go wcześniej uprzedzić, że jego pierwsze zakupy będą większych rozmiarów.

„Ciekawe czy zna również numer mojego buta i kołnierzyka koszuli” – przemknęło mu przez myśl. Znał! Dowiedział się o tym jak tylko znaleźli się w dziale odzieżowym. Był ciemny jak tabaka w rogu jeśli chodzi o tutejszą numerację, ale jego kompan bezbłędnie wybierał rozmiary pasujące na niego. Czuł się trochę nieswojo, ale wiedział komu „serdecznie” podziękuje przy najbliższym spotkaniu po powrocie ze Stanów. Ta myśl w zdecydowany sposób poprawiła mu humor. Spojrzał na listę zakupów przygotowaną jeszcze w Polsce. Chyba miał już wszystko, a może nawet trochę więcej. Obydwa wózki były więcej niż pełne.

- Chyba starczy na dzisiaj tego szaleństwa w zakupach! – zakomunikował swoją małą odkrywczą myśl.

- Jak na pierwszy raz to zupełnie nieźle – usłyszał w odpowiedzi.

Ruszyli w stronę kasy. Na wyświetlaczu kasy pojawiła się kwota na prawie 3000 dolarów. Jego karta bez problemu przełknęła sumę zakupów. - „Ciekawe czy te wydatki są wliczone w koszty przyszłych poszukiwań czy też bulę za to z własnych” – przyszło mu na myśl. Chociaż to teraz też nie miało żadnego znaczenia. Jego „działka” z ostatniego wspólnego poszukiwania zaginionych skarbów III Rzeszy mogła znieść nie takie wydatki.

Na parkingu zrozumiał czemu amerykańskie bagażniki w samochodach są takie duże. Całość zakupów weszła bez żadnego problemu i jeszcze zostało sporo miejsca. Tu wszystko było wielkie. I zakupy i bagażniki samochodów. Wiadomo, co kraj to inny obyczaj. Jednego jeszcze nie załapał. Wszyscy tubylcy mówili po angielsku jakby mieli gluta w gębie. Przed wyjazdem intensywnie podciągnął się w języku, ale niewiele rozumiał z tego co do niego mówiono. Pewne zasady grzeczności powstrzymały go jednak przed zadaniem pytania w tej materii. Pomoc przy wnoszeniu góry zakupów do swojego nowego lokum przyjął z wdzięcznością. Za dobrą monetę przyjął również radę, aby jutrzejszy dzień poświęcił na odpoczynek i spanie. Miało mu to pomóc w aklimatyzacji. Żegnali się, gdy zadzwoniła komórka jego opiekuna. Ten odebrał, parę razy potaknął i spojrzał dziwnie w jego stronę.

- Dzwonił asystent pana Tonnera. Jest pan zaproszony do jego domu w Teksasie na najbliższy weekend. Samolot będzie na pana czekał w piątek o godzinie 14. Ja przyjadę o 13 i zawiozę pana na lotnisko – usłyszał.

Agent pożegnał go z pewną ostrożnością i widocznym szacunkiem.

- „Widocznie nie każdy parweniusz dostępuje zaszczytu skorzystania z gościny w Teksasie.” – pomyślał ściskając podaną mu dłoń na pożegnanie – „I pewnie nie mam już „kumpla” w tutejszych służbach specjalnych”.

Rozsiadł się wygodnie w fotelu ze szklaneczką Burbona w ręce i spojrzał na zegarek. 22.00. Sięgnął po słuchawkę telefonu i wykręcił numer do Marka. Po czwartym sygnale słuchawka została podniesiona.

- Słucham – usłyszał nieco osowiały głos Marka.

- Melduję, że dojechałem cało i zdrowo. Degustuję teraz tutejszy wyrób spirytusowy - zażartował.

- Z „małpami się giglałeś” czy Bozia ci rozum odebrała? Nie wiesz ówoku, że u nas jest teraz środek nocy?

Andrzej niepewnie poprawił się na fotelu i pociągnął duży łyk Burbona. Tak po prawdzie to zupełnie zapomniał o różnicy czasowej. Żeby go jednak posądzać, że w pierwszym dniu pójdzie na „balety z małpami” to była już jednak lekka przesada. Dezaprobata jego rozmówcy była aż nadto wyczuwalna za pobudkę w środku nocy.

- A do żony już dzwoniłeś? – usłyszał jakby pewny ton nadziei przy ostatnim pytaniu.

- Na baletach nie byłem, a do żony jeszcze nie dzwoniłem – oświadczył z widoczną ulgą i pewną dozą satysfakcji.

Głupi przypadek zdecydował, że pierwszy telefon wykonał do Marka. Jego numer był przed tym do jego żony. Wolał sobie nie wyobrażać co by było gdyby zastosował inną kolejność.

- Jak zwykle! Każdy głupi ma szczęście – komentarz był na zwykłym poziomie ich przyjacielskiej złośliwości i wypowiedziany normalnym tonem.

Andrzej lekko zaniepokoił się. Znał to z czasów ich studenckiej znajomości. Marek w widoczny sposób doszedł do siebie i zaczął myśleć. A pomysły miał różne i niekiedy dziwne. Sam nieraz przekonał się o tym na własnej skórze. Jeśli myślał teraz o rewanzu za pobudkę w środku nocy, to mogło być niedobrze. Musiał szybko odwrócić ten ewentualny trend.

- Dostałem zaproszenie na weekend do Texasu.

- To dobrze – cisza w słuchawce przedłużała się.

- Opiekuje się mną agent z NSA.

- To dobrze – cisza znowu zaczęła się wydłużać.

- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? – Andrzej z lekka się wkurzył.

- Hm... , zawsze wydawało mi się, że jesteś dostatecznie inteligentny, by równocześnie chodzić i żuć gumę. Trzymaj się tego co przerabialiśmy przed wyjazdem, a wszystko będzie dobrze. Jak będziesz wracał z weekendu, to zadzwoń gdzieś po drodze z budki. Tam może być lepsza słyszalność. Do usłyszenia - w słuchawce buczał sygnał przerwonego połączenia.

Andrzej odłożył powoli słuchawkę na widelki. „Z budki jest lepsza słyszalność” – to zdania usłyszał w trakcie ich ubiegłorocznych poszukiwań na terenie zamku Lutzow. Wtedy Marek specjalnie pojechał do budki telefonicznej w mieście, aby uniknąć ewentualnego podsłuchu jego rozmowy w wiadomej tylko im sprawie. Za ogrodnika go nie uważał, ale teraz to chyba przesadził. Po co ktoś miałby podsłuchiwać rozmowy mało znanego doktora historii z Polski. Chyba, że było jeszcze coś o czym on nie wiedział, a Markowi zapomniało się o tym powiedzieć. To zaś było mało prawdopodobne. Mylił się i to bardzo, a szczególnie jeśli chodzi o sprawę podsłuchu. O tym miał się przekonać dopiero po powrocie do kraju.

*

Andrzej posłuchał rady swojego opiekuna z dnia wczorajszego i poświęcił czwartek na byczenie się. No, może nie tak do końca. Odprasował zakupione ciuchy. Odbył krótki spacer po okolicy. Zadzwoił do żony o normalnej porze. Przetestował też działanie niektórych urządzeń w domu. O dziwo, uruchamiany sprzęt zdawał się znać zasady zapisane w instrukcjach obsługi. Wykazał dużą ochotę do spełniania jego poleceń. To znacznie poprawiło jego pewność siebie w obcym przecież domu. Pamiętał, jak niedawno u siebie w domu wyprał sobie skarpetki i trochę bielizny osobistej. Po wyciągnięciu z prali stwierdził ze zdumieniem, że ich wielkość radykalnie się zmniejszyła. Nadawały się do noszenia, gdy był pewnie w wieku niemowlęcym. Nie był to udany eksperyment, co dobitnie wytłumaczyła mu wtedy żona. Wyglądało na to, że tutejszy sprzęt chwilowo nie zamierzał mu sprawiać tego typu niespodzianek.

W piątek spakował torbę z rzeczami jakie będą mu potrzebne w czasie weekendu i wbił się w świeżo zakupiony garnitur. Za kwadrans pierwsza zjawił się agent i pojechali na lotnisko. Szybko zorientował się, że jadą w zupełnie innym kierunku niż wtedy, gdy wieziono go po przylocie z Polski. Przestał się interesować mijaną okolicą, gdy podjechali do dużej metalowej bramy. Teren wokół ogrodzony był wysokim na ponad dwa metry płotem z siatki. Górę ogrodzenia zwieńczał drut kolczasty. Jego kierowca opuścił boczną szybę po swojej stronie i czekał. Po drugiej stronie bramy z niedużej, oszklonej od połowy wysokości budki przyglądało się im uważnie dwóch strażników. Jeden wyszedł, przeszedł przez niedużą furtkę z boku bramy, która zaraz potem zamknęła się za nim. Ubrany był w stalowo szary uniform podobny do munduru. W lewej ręce trzymał plastikową podkładkę z metalowym klipsem spinającym jakieś kartki papieru. U pasa wisiał mu imponujących rozmiarów pistolet. Stał przy opuszczonej szybie. Prawą ręką nadal znajdowała się w pobliżu kabury z bronią.

- Dzień dobry! – przyjrzał się im z dociekliwością naukowca badającego jakiś interesujący preparat pod mikroskopem.

- Pasażer na lot do Teksasu samolotem pana Nasha Tonnera. – agent otworzył uprzednio przygotowaną legitymację i okazał ją strażnikowi.

Andrzej przyglądał się temu ze zdziwieniem. Dwa dni temu jego opiekun wykorzystał dość bezceremonialnie władzę jaką dawała mu posiadana legitymacja i bez skrupułów spławił umundurowanego policjanta chcącego wlepić mandat za źle zaparkowany samochód. Dzisiaj grzecznie poddawał się procedurze w wykonaniu prywatnej ochrony też prywatnego lotniska. Napis nad bramą był jednoznaczny – „Teren prywatny. Lotnisko New Point”.

Legitymacja jego kierowcy musiała jednak mieć jakieś znaczenie, bo ochroniarz przestał się bawić w podejrzliwego badacza. Prawa ręka nie była już zaparkowana w pobliżu broni. Jej wskazujący palec wędrował po kartce przypiętej na plastikowej podkładce. Po chwili zatrzymał się i ochroniarz skinął głową.

- Zgadza się. Stanowisko numer 7.

Powiedział coś do mikrofonu przypiętego po lewej stronie swojego uniformu i brama zaczęła się otwierać. Powoli ruszyli do przodu. Mijali bramę, gdy Andrzej zauważył jak strażnik w budce podnosi słuchawkę telefonu. Ktoś został poinformowany o ich przybyciu. Samochód powoli toczył się po asfaltowej drodze. Limit prędkości wyznaczony na 30 kilometrów na godzinę był skrupulatnie przestrzegany. Po chwili podjechali do niewielkiego samolotu. Jego przednie koło prawie dotykało wymalowanej na betonowej płycie białą farbą siódemki. Na samolotach się nie znał, ale dwa czarne otwory wlotowe silników przy kadłubie uświadomiły mu, że ma czynienie z „kieszonkowym” odrzutowcem. Od śnieżno-białego kadłuba samolotu wyraźnie odbijała sylwetka mężczyzny ubranego na granatowo, stojącego przy otwartym luku wejściowym. Śniada cera jednoznacznie wskazywała na jego latynoskie pochodzenie. Wysiedli z samochodu i Andrzej wyciągnął swoją torbę z bagażnika. Mężczyzna błyskawicznie pojawił się przy nim.

- Wezmę pański bagaż, sir.

Jego czysta, szkolna angielszczyzna była dla niego całkowicie zrozumiała. Ucieszył się, że nareszcie ktoś mówi normalnie.

- Jestem już duży. Dam sobie radę sam. Potrafię nawet sam zawiązać sobie buty – zażartował. Ten błyskotliwy dowcip jakoś nie trafił do adresata.

- Wezmę pański bagaż, sir – powtórzył i wyciągnął rękę.

„Jeszcze chwila i zabierze mi go siłą” – zaniepokoił się Andrzej i spojrzał na towarzyszącego mu agenta. Ten uśmiechnął się z rozbawieniem i powiedział.

- Lepiej niech go pan mu odda. Jest pan osobistym gościem pana Tonnera. Musi się pan do tego przyzwyczaić. Życzę miłego weekendu – wyciągnął rękę na pożegnanie.

„Bagażowy” z wyraźnym zadowoleniem odebrał mu torbę i wskazał na otwarty luk samolotu – Proszę do środka, sir.

Nie była to jednak pierwsza i ostatnia niespodzianka, która miała go czekać jeszcze w tym dniu. O tym miał się dopiero przekonać znacznie później.

*

Teksas

Prywatne lotnisko rodziny Tonnerów

Wylądowali na totalnym zadupiu. Tak przynajmniej w pierwszej chwili sądził Andrzej. Pilot pożegnał go eleganckim salutem i podziękowaniem za możliwość odbycia wspólnego lotu. Pomału zaczynał się przyzwyczajać do roli VIP-a. Było to może miłe, ale nadal czuł się trochę zażenowany. „Na szacunek trzeba sobie zasłużyć” – ta stara prawda była mu doskonale znana. Tu okazywano mu go w nadmiarze i to budziło jego niepokój. Nie zrobił przecież nic, aby na to zasłużyć. Wziął udział w poszukiwaniach zaginionego skarbu z czasów II Wojny Światowej. Zorganizował to Marek i zaproponował mu udział w tym przedsięwzięciu. Miał niewątpliwe zasługi w odnalezieniu zaginionego w ostatnich dniach wojny transportu 10 ton złota. Znacząco udoskonalił swoje umiejętności politechniczne. Łopata do kopania w ziemi stała się sprawnym narzędziem w jego rękach, a wbicie prosto gwoźdźcia w drewno trzema uderzeniami nie stanowiło już dla niego poważnego problemu politechnicznego. To było rok temu. Teraz przyleciał poznać jego amerykańskiego współnika. Nie wydawało mu się, aby to wszystko mogło stanowić podstawę do uznania go za VIP-a na amerykańskiej ziemi. No cóż, jak każdy zwykły śmiertelnik miał prawo do popełnienia błędu na tym padole. Wbrew jego obiekcjom wszystko to miało jednak ścisły związek z Markiem i poszukiwaniami w jakich brał udział. O tym zaś miał się dowiedzieć niebawem.

Miarowym krokiem podążał za swoim „bagażowym” w stronę imponującej budowli. Zadupie zadupiem, ale ten budynek budził jego podziw. Był niewiele mniejszy od stadionu piłkarskiego. Wyglądało to tak, jakby wspaniały i okazały budynek w stylu wiktoriańskim został w pewnym momencie żywcem przeniesiony ze Starej Anglii. Jego pierwsze odczucie zostało później potwierdzone przez obecnego jej właściciela. Jeden nie z tak odległych protoplastów rodu Tonnerów kupił ten budynek w Anglii, kazał go rozebrać i ponownie złożyć w tym miejscu. Miał taką fantazję i stać go było na to. Od tej pory była to siedziba rodzinna Tonnerów. Rodziny, którą w Polsce określono by mianem – „klanu trzymającego władzę”. Pozostałe zabudowania były równie okazałe, ale nosiły wyraźne piętno architektury XX wieku. W cieniu kamiennego portalu nad drzwiami wejściowymi czekał wysoki mężczyzna. Ubrany w niebieskie znoszone dżinsy i szaro-brązowy pulower. Na ramionach miał marynarkę z miękkiej, ciemnobrązowej irchy. Tyle zdążył zauważyć Andrzej zanim do niego podeszli.

- Sir, pański gość – zaanonsował go „bagażowy” z jego torbą na ramieniu.

- Guten Tag, Herr Professor – gospodarz wyciągnął rękę na powitanie.

Andrzej z lekka zbaraniał. Powitanie wygłoszono w czystym berlińskim placie. Do niedawna był VIP-em, a teraz awansował na profesora. Jego ego zostało mile polectane, ale było tego zbyt dużo jak na trzy dni pobytu na amerykańskiej ziemi. Postanowił zacząć to prostować.

- Nie jestem profesorem – zaczął z pewnym zakłopotaniem.

- Czyżby? – w niebieskich oczach gospodarza zapaliły się iskierki uśmiechu. – Marek powiedział, że niedługo pan otrzyma ten tytuł i nie widzę powodu, aby nie miał racji.

Zdumienie na chwilę odjęło mu mowę. W czwartek poszperał trochę w Internecie i pomału zaczął sobie zdawać sprawę kim jest współnik Marka. WASP. Ten skrót był mu znany i Tonner był wysoko na tej liście. White, Anglo-Saxon Protestant – czyli biały protestant o pochodzeniu

anglosaskim. Tak nazywano wąską grupę ludzi, którzy pierwsi postawili stopę na amerykańskiej ziemi i ją skolonizowali, a później powołali do życia Stany Zjednoczone Ameryki. Do dzisiaj ich potomkowie rządzą Stanami. Teraz zaś amerykański WASP w którymś tam pokoleniu traktował słowo Marka jak prawdę objawioną. Coś niesamowitego. Był kompletnie skołowany.

Cały ten wyjazd do Stanów zaczął mu przypominać konkurs na najlepszy rzut tortem do którego przystąpił w dobrej wierze, ale bez kompletnej znajomości obowiązujących zasad. Możliwości manewru były niewielkie. Mógł trzymać język za zębami i milczeć, albo spróbować wyjaśnić o co tu faktycznie chodzi. Wybrał to ostatnie.

Przyjrzał się uważnie swojemu gospodarzowi. Wysoki. Wiek około pięćdziesiątki. Krzepkiej budowy ciała. Jasna karnacja i gęste blond włosy ścięte niemal na wojskową modłę. Kurze łapki wokół oczu zdradzały, że ich właściciel często się uśmiecha. Teraz też na jego ustach widniał życzliwy uśmiech. Gestem zaprosił do środka domu. Pośrodku dużego holu oczekiwał dystyngowany mężczyzna w stroju pingwina. Frak nigdy nie był ulubionym strojem Andrzeja, ale ten leżał idealnie na jego właścicielu. Lokajstwo było i jest cenionym zawodem dopóki nie wejdzie w konszachty z polityką.

- Pokój gościnny w zachodnim skrzydle – padła dyspozycja.
- Tak, sir – prawa brew majordomusa lekko się uniosła.
- Jak się pan odświeży to zapraszam na obiad – to było już do niego.
- Dziękuję – Andrzej lekko skłonił głowę.

Posłusznie ruszył za dostojnym przewodnikiem. Zaczął mu się podobać taki socjalistyczny podział pracy. Jeden osobnik robił za przewodnika, a drugi targał jego skromny bagaż. Weszli do zadysponowanego pokoju i teraz zrozumiał to uniesienie brwi lokaja. To nie był pokój gościnny, a luksusowy apartament. Nadzorca miejscowej służby nie uznał go za godnego takiego luksusu, ale uszanował decyzję swojego pryncypała.

„Ten fagas zainstalowałby mnie w pokojach gościnnych nad stajnią” – pomyślał z przekąsem i zaraz przestał go lubić. Jak spod ziemi zjawiła się pokojówka i zabrała się za wypakowanie jego rzeczy. Nie żałował teraz, że posłuchał rady Marka i ubrał się tutaj od stóp do głowy nie patrząc na metki z cenami.

- „To na razie wszystko, Janie” – rzucił modulowanym głosem po polsku.
- Obawiam się, że nie rozumiem, ... sir. – to ostanie padło po ledwo wyczuwalnej pauzie. Andrzej powtórzył to samo po niemiecku i z zainteresowaniem czekał na reakcję.
- Z przykrością stwierdzam, że nie rozumiem, sir. - pauza przed „sir” zniknęła.

„I o to właśnie chodzi fagacie” – ucieszył się w duchu Andrzej i dokończył ten mentalny pojedynek. - To na razie wszystko – starannie wymawiał angielskie słowa jak nauczyciel chcący by nawet nader tępy uczeń był w stanie zrozumieć jego intencję.

- Rozumiem, sir.

W oczach jego rozmówcy błysnął cień zainteresowania i chyba coś jeszcze. Jednym ruchem dłoni wygonił pozostały personel. Skłonił głowę i Andrzej został sam.

*

Obiad też był ciekawym doznaniem. Talerz był wielkości koła od samochodu, a befsztyk na nim zajmował jego większą część. Zauważył, że lokaj uważnie obserwuje go spod oka. Czyżby czekał na jego spektakularną wpadkę przy „biesiadnym” stole? Spojrzał na bogaty arsenał zastawy na stole i niemalą ilość sztuców. Było tego sporo, ale znał podstawową zasadę. Sztućce należy używać w kolejności od zewnątrz w stronę talerza stojącego przed delikwentem. Gorzej gdy się opuści jakieś danie. Wtedy można niechcący zostać z małą chochelką do deseru kończącego obiad. Nie sądził aby groziło mu takie niebezpieczeństwo, ale na wszelki wypadek postanowił uważnie patrzeć na ręce gospodarza. To radykalnie zmniejszyło ryzyko wpadki.

Delikatnie przytrzymał widelcem befsztyk i odkroił pierwszy kawałek. Kątem oka złowił błysk uznania w oczach lokaja. Miliony parweniuszy na świecie wbijają najpierw widelec w mięso, a potem dopiero zaczynają go kroić. On zrobił to zgodnie z regułami obowiązującymi w tajemnym świecie dyplomacji i arystokratów. Wyglądało na to, że zaczął zbierać pierwsze punkty w tym świecie znanym mu dotąd tylko z opisów w książkach. Bogaty zestaw surówek i dobre czerwone wino pozwoliło mu się uporać z tutejszym daniem regionalnym. Na kawę i koniak został zaproszony do prywatnego gabinetu gospodarza.

*

Od chwili postawienia stopy na amerykańskiej ziemi miał uczucie jakby ciągle ktoś go obserwował. To wrażenie spotęgowało się szczególnie tutaj, ale nie aż tak aby podnosiły mu się włosy na głowie. Przez skórę czuł, że zdaje jakiś egzamin. Weszli do okazałego pokoju. Zdażył go sobie obejrzeć zanim zajął miejsce we wskazanym mu przez gospodarza wygodnym, skórzanym fotelu. Odruchowo porównał pokój do tego znanego mu z domu Marka. Tam wszystkie ściany obstawione były regałami na książki. Tutaj było podobnie. Z jednym wyjątkiem. Na krótszej ścianie gabinetu ustawione były gabloty podobne do tych jakie widuje się w muzeach dla ekspozycji szczególnie wartościowych eksponatów. Tutaj też coś się w nich znajdowało. Pewien dysonans stanowił jakiś dziwny model szybowca zawieszony w narożniku. Podwieszono go tak, że wydawał się nurkować w kierunku środka pokoju. Na długich, białych i wąskich skrzydłach wyraźnie widoczne były ciemnofioletowe litery i cyfry – SP-962. Coś mu to przypominało, ale chwilowo nie mógł odszukać w pamięci potrzebnej informacji.

- Cygaro? – gospodarz otwierał piękne mahoniowe pudełko.

- Dziękuję. Jeszcze się na nauczyłem – grzecznie odmówił.

Przy stoliku zmaterializował się kamerdyner. Sprawnie rozstawił przyniesioną zastawę i zabrała się do nalewania kawy i koniaku. Andrzej patrzył z rozpaczą na wlewy mu brązowy płyn do filiżanki. To była jakaś kolejna wersja rozpuszczalnej kawy. Może i najlepszej jakości, ale on jej nie znosił. Był uznanym smakoszem herbaty, a z kawy tolerował tylko tą ręcznie mieloną i parzoną w tradycyjny sposób własnoręcznie przez Marka. Ta zawsze spełniała wszystkie wymogi pierwszych jej arabskich koneserów. Była gorąca jak piekło, czarna jak diabeł, czysta jak anioł i słodka jak miłość. Tu było inaczej. Nikt go nie uprzedził, że tutejsi wynalazcy przerobili całą prawdziwą kawę na to rozpuszczalne gówno. Dowiedział się o tym od wybałuszających oczy sprzedawców, gdy wczoraj próbował kupić paczkę kawy ziarnistej do ręcznego zmielenia. Miał ochotę na filiżankę herbaty, ale tej brunatnej lury musiał się w jakiś sposób pozbyć. I to najlepiej tak, aby nie urazić gościnności gospodarza i nie narazić się temu fagasowi w stroju pingwina. Jego rozterka została zauważona.

- Coś nie tak? – spytał Tonner..

- Chętnie wypiłbym filiżankę... – zaczął z wahaniem.

Kamerdyner spojrział w jego kierunku, jak gdyby stanowił element umeblowania, który raptem przemówił ludzkim głosem. W dodatku zupełnie nie w porę.

- „*Mea culpa*” – Moja wina. - zaczął się sumitować gospodarz. - Bardzo pana przepraszam, profesorze. Zupełnie mi wyleciało z pamięci, że za napój godny bogów uważa pan tylko herbatę. Zaraz sobie z tym poradzimy – podniósł wzrok na lokaja.

Facet w stroju pingwina przyglądał mu się z nie ukrywanym zainteresowaniem. Odwrócił wzrok w stronę swojego pryncypała i z pewnym namysłem zaproponował:

- Myślę, że mieszanka Georga byłaby dobrym rozwiązaniem.

Tonner spojrział na niego, dziwnie się uśmiechnął, ale potaknął skinieniem głowy. Kiedy za wychodzącym zamknęły się drzwi – powiedział: - Widzi pan, profesorze, „Nasz” Konrad ma specyficzne poczucie wartości. Wszystkich traktuje jak śmieci, a jedyny wyjątek robi dla członków naszej rodziny.

Andrzej miał już na końcu języka gorące potwierdzenie tej diagnozy, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. „Więcej poufałości niż znajomości” – tak mogłoby to być odczytane, a tego przecież nie chciał. Już od pewnej chwili kręcił się niespokojnie w fotelu. Może nie tak jakby ktoś wsadził mu szyszkę w dupę, ale czuł się trochę nieswojo. Zanim usiadł w fotelu zauważył w środkowej gablocie jakby model czaszki. Kątem oka widział ją ze swojego miejsca i miał wrażenie, że ona na niego patrzy. Odczucie było wybitnie irracjonalne, ale tak właśnie czuł. Te jego ukradkowe spojrzenia w tamtym kierunku zauważył gospodarz.

- Widzę, że zainteresowały pana moje zbiory. Nie jest to okres historyczny, który jest przedmiotem pana studiów, ale chętnie je panu pokażę.

Ruszyli w tamtą stronę, a Andrzej przyciągany jakimś fluidem stanął przed interesującym go obiektem. Teraz widział to dokładnie. Była to naturalnej wielkości kopia ludzkiej czaszki. Wykonana z jakiegoś przezroczystego materiału. Światło odbijało się niesamowitymi refleksami od wypolerowanej powierzchni. Wewnątrz zdawały się latać jakieś iskielki niebieskawej poświaty. Mimowolnie skupił wzrok na pustych oczodołach. Poczł mrówki wędrujące mu po krzyżu. W głowie wybuchł mu przeraźliwie jasny obraz jakiegoś dużego kamiennego miasta. Patrzył na to cudzymi oczami. Zdał sobie z tego sprawę i przeraził się. Mimowolnie zadrżał i z wysiłkiem oderwał wzrok od bezdennie

czarnych oczodołów czaszki. Przez chwilę śmiertelny strach paraliżował jego całe ciało. Było to trwające moment przeżycie, którego nie sposób ani zapomnieć, ani opisać komuś, kto tego nie doświadczył. Zaciśnął zęby. Czuł zimny pot na czole i na dłoniach. Odruchowo otarł czoło i wytarł rękę o spodnie. Nie dbał teraz o żadne konwenanse.

- To jest niesamowite – wyjąkał nieco drżącym głosem.

Gospodarz zdawał się nie widzieć co się z nim dzieje. Spokojnie mówił co wie na jej temat.

*

„Pierwsza czaszka została odkopana w Ameryce Środkowej w ruinach miasta Majów, Lubaantun. Było to w 1927 roku. Dokonała tego Anna Mitchell-Hedges. Adoptowana córka znanego podróżnika i badacza Mitchella-Hedgesa. Miejsce i okoliczności odkrycia nie są kwestionowane.

Została wykonana z jednego kawałka kryształu górskiego czyli kwarcu. Ma 12,7 cm wysokości, 17,8 cm długości i 12,7 cm szerokości. Szczegóły anatomiczne odtworzono z wielką starannością. Czaszka ma wewnętrzne żyłki i otwory. Dolną szczękę wykonano oddzielnie i jest ona ruchoma. Łuki jarzmowe prowadzące od oczodołów do tyłu w kierunku podstawy czaszki są wewnętrznie wydrążone i służą do kierowania wiązek światła. To powoduje, że oczodoły błyszczą światłem rozproszonym. Podstawa czaszki jest pocięta i tworzy pryzmat. Wszystko to powoduje, że po jej oświetleniu widoczne są niesamowite efekty optyczne. Podobno nieraz otacza ją świetlista aureola i niektórym ludziom ukazują się różne obrazy w jej wnętrzu. Prawdopodobnie przedmiot ten potrafi wpływać na ludzkie myśli, uczucia i nastroje. Wykonano ją chyba ręcznie. Pod mikroskopem nie widać żadnych śladów skrawania czy użycia metalowych narzędzi. Całość jest wypolerowana na gładko i to chyba przy użyciu piasku. Jeśli tak jest, to jej wykonanie musiało by zająć około 150 lat.

Oznacza to żmudną pracę kilku pokoleń jej wykonawców. Nie można określić wieku jej powstania. Trudno powiedzieć kiedy to zrobiono. Tysiąc czy dwa tysiące lat temu, a może znacznie wcześniej. Współczesne metody datowania nie pozwalają na jednoznaczne ocenienie wieku kawałka kryształu w latach absolutnych. Czaszka przedstawia sobą poziom sztuki i techniki znacznie wyższy niż inne indiańskie artefakty.

Nasuwa się więc uzasadnione pytanie: kto, kiedy i w jakim celu stworzył to dzieło. Tym bardziej, że nawet dzisiaj przy wykorzystaniu lasera i najnowszej techniki z dziedziny podboju Kosmosu nie byłoby łatwo wyprodukować coś takiego. Jak dotąd nikt nie chce się podjąć takiego zadania, a archeologowie najchętniej zwaliliby istnienie tej rzeczy na barki siły wyższej lub ingerencji Pana Boga. Chwilowo zrobili wszystko, aby świat o tym zapomniał.

My z Markiem mamy swoją koncepcję. Uważamy, że takich identycznych czaszek jest dwanaście plus jedna i mają one związek z dwunastoma punktami energetycznymi jakie znajdują się na Ziemi. Jeden z takich punktów znajduje się w Krakowie na Wawelu. Ustawiając czaszki w tych punktach powinniśmy otrzymać jakąś projekcję informacji. Możliwe, że pozwoli to na wyjaśnienie nieznanych kart naszej cywilizacji, a może i nie tylko naszej. Ze zrozumiałych względów możemy się ekscytować tą teorią tylko w wąskim gronie. Jako naukowiec zapewne rozumie pan o co chodzi. Na poparcie naszej teorii mamy na razie tylko jeden fakt i parę strzępków starożytnej informacji. Jak dotąd znaleźliśmy dwie takie czaszki. Jedną w świątyni Miksteków i tą ma swojej kolekcji Marek. Ta która znajduje się w tej gablocie została znaleziona w piramidzie Azteków. Musieliśmy nawet rozebrać część tej piramidy, aby ją wydobyć. Ta z 1927 roku znajduje się w jednym z muzeów. W najbliższym czasie zamierzamy znaleźć te pozostałe.

*

Andrzej już ochłonął z poprzedniego doznania. Palcami prawej ręki spokojnie skubał krótko przystrzyżoną brodę i kiwał ze zrozumieniem głową. Zdanie o rozbieraniu piramidy coś mu przypomniało. Gdzieś w połowie lat dziewięćdziesiątych prasa na całym świecie rozpisywała się o zniknięciu kamiennej piramidy. Stała sobie w dzikiej głuszy może z tysiąc lat i nagle zniknęła. Pusty, nie zarośnięty prostokąt w dżungli był jedynym dowodem, że kiedyś coś tutaj stało. Rząd Peru czy też Boliwii oskarżycielsko wskazał na Amerykanów. Ci stanowczo zaprzeczyli. Całą sprawą wyglądała zresztą dosyć dziwnie.

Do tej pory kradziono zazwyczaj jakiś konkretny artefakt lub część znaleziska. Średniej wielkości kamienna piramida nie była zabytkiem klasy zerowej. Trudno też było sobie wyobrazić, że posłużyła za źródło budulca do jakiejś współczesnej budowli. Ten kto tego dokonał musiał dysponować niezłym zapleczem logistycznym, wysoce specjalistycznym sprzętem i dużymi środkami finansowymi. Brak jakichkolwiek śladów na miejscu zdarzenia świadczył, że było to zaplanowane i

celowe działanie. Nigdy nie wyjaśniono kto za tym stał i sprawa umarła śmiercią naturalną. Szalona teoria, że stali za tym przybysze z Kosmosu została zgodnie wyśmiana przez wszystkich.

Spokojnie zastanowił się nad tym wszystkim. Marek znał chyba dłużej niż stoją piramidy w Egipcie. Jego niesamowite pomysły i zdolności też nie były mu obce. Bez dwóch zdań Marek i Tonner „grzebali” wspólnie w temacie zaginionych cywilizacji. Już po krótkiej chwili znajomości z Tonnerem miał wrażenie, że ma do czynienia z drugim Markiem. Wydało mu się, że są jak zbiornik z benzyną i zapalniczka. Kiedy jeden zapala zapalniczkę, to drugi natychmiast wybucha. To mogło skutkować naprawdę dziwnymi zdarzeniami.

Podejrzliwie spojrzął na Tonnera. Jego przodek zrobił przecież podobny numer z domem w którym teraz się znajdował. Jeżeli to wpadło im do głowy, to mogli to przecież zrobić. Fantazji by im wystarczyło, a środki na to na pewno mieli. Tonner kontynuował by tylko rodzinną tradycję, a Marek zapewne chętnie by wtrącił do tego swoje trzy grosze. Postanowił to sprawdzić.

- Przypomniał mi się pewien artykuł prasowy na temat zaginionej piramidy.

Oczy gospodarza dziwnie błysnęły i skłonił on głowę, aby ukryć niewyraźny uśmiech jaki zagościł na jego ustach. Widział to doskonale w odbiciu szyby gabloty. „Jezu! Oni rzeczywiście rąbnęli tę piramidę” – przemknęło mu przez myśl. – „Ale po co?”

Stuk otwieranych drzwi pozbawił go możliwości zadania decydującego pytania, a gospodarzowi pozwolił uniknąć niewygodnej być może odpowiedzi na nie. Kamerdyner przyniósł jego herbatę. Podeszli do stolika. Zauważył zaskoczenia na twarzy Tonnera na widok tego w czym przyniesiono mu jego napój. Wyglądało to na naprawdę starą chińską porcelanę. Delikatnie wziął w obie ręce bogato inkrustowaną czarkę. Przymknął na chwilę oczy. W rękach czuł ciepło promieniujące z naczynia i aromat napoju unoszący się w powietrzu. Zielona herbata była na pewno głównym składnikiem tego napoju, a co do reszty ... Nie był w stanie tego określić. Otworzył oczy i pokręcił odmownie głową na uprzejmie podsuwany mu cukier. Tego napoju nie można było zepsuć pospolitym słodzeniem. Błask w oczach kamerdynera potwierdził, że jego decyzja została przyjęta z uznaniem. Wypił pierwszy łyk.

- Coś niesamowitego – wyrwało mu się mimowolnie po polsku. – Nigdy nie piłem czegoś takiego. – dodał po angielsku.

Kamerdyner spojrzął z satysfakcją na gospodarza. Skinął mu głową. Odwrócił się w jego stronę i on też otrzymał lekkie skinienie. Po chwili już go nie było.

No, no! – Tonner z wyraźnym zaciekawieniem patrzył na niego. – Nie wiem jak pan to zrobił, profesorze, ale jest pan jednym z nielicznych, który za pierwszym podejściem potrafił oswoić Konrada. Nawet Markowi zajęło to trochę więcej czasu.

- Tak jakoś wyszło – trochę bezradnie wzruszył ramionami.

Nie bardzo podobało mu się porównywanie jego osoby z osobą Marka. Uważał go za swojego najlepszego przyjaciela i wiedział, że jest to odwzajemnione uczucie. Znał starą prawdę, że istnieją trzy rodzaje przyjaciół. Tych którzy nas kochają, przyjaciół którzy się nami nie przejmują i przyjaciół, którzy nas nienawidzą. Marka i siebie zaliczał do tej pierwszej kategorii. Doskonale znał jego mocne i słabe strony. Do tych pierwszych należał zmysł organizacyjny, opanowanie, odwaga i wysoce rozwinięty zmysł analitycznego myślenia. Do tych drugich szczerść i umiejętność współczucia, skłonność do zamordyzmu w stosunku do głębszych od siebie i dobrze rozwinięta pamięć do tego, kto i kiedy zrobił mu jakieś wredne świństwo.

Teraz ktoś uzurpował sobie prawo do weryfikacji ich relacji. „Cholera, ja chyba jestem zazdrosny o ich znajomość” – uświadomił sobie z zaskoczeniem. Miał przecież w zasięgu wzroku namacalny dowód, że łączy ich coś więcej niż robienie wspólnego biznesu. W galotach było sporo różnego rodzaju eksponatów, a nic tak nie łączy dwóch ludzi jak wspólna pasja i zainteresowanie. To, że było to szczególnego rodzaju zainteresowanie nie miało tu nic do rzeczy. W końcu wielu ludzi próbowało już zgłębić tajemnice zaginionych cywilizacji i technik jakimi one dysponowały. Z różnym zresztą skutkiem, ale tej dwójce chyba się więcej niż poszczęściło.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że rozumna ciekawość jest tak samo ważna dla ludzkiego gatunku jak umiejętność logicznego myślenia i wyciągania wniosków. Gdyby nie ta ciekawość, to ludzkość do dzisiaj byłaby na etapie kamienia łupanego i nie wymyśliła by żadnej „siły przewodniej” w kolorze czarnym czy też czerwonym. Jego ciekawość też została rozbudzona prezentacją czaszki. Chętnie usłyszałby coś więcej na temat pozostałych eksponatów, a przy okazji uzupełnił swoją wiedzę na temat Marka w okresie gdy chwilowo nie mieli kontaktu. Uważał, że ma do tego prawo.

Należał przecież do rodziny poszukiwaczy skarbów. Własnoręcznie przepakował ponad 10 ton złota w czasie ostatniej eksploracji z Markiem. Nie każdy poszukiwacz mógł się pochwalić czymś takim i to go właśnie bolało najbardziej. Zalecenie Marka w tej materii było proste – „Morda w kubek jak chcesz dożyć późnej starości.” Niechętnie, ale się z tym zgodził. Poszukiwania skarbów mogły stanowić miłą rozrywkę w obecnym zwariowanym życiu, ale znalezienie znaczącego skarbu to już zupełnie coś innego.

Miał nadzieję, że podobne zasady nie obowiązują przy poszukiwaniach zaginionych cywilizacji, bo miał zamiar dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. Zaczął sobie układać strategię pytań do Tonnera, gdy wytrącił go z tego brzęczyk telefonu na biurku stojącym w końcu pokoju pod oknem. Gospodarz przeprosił i podszedł do telefonu. Zagulgotał w miejscowym „narzeczu”. Nie zrozumiał z tego prawie nic. Teraz dopiero Andrzej docenił jego starania gdy rozmawiał z nim w zrozumiałym dla niego języku angielskim. Odłożył słuchawkę i grzecznie przeprosił, że na chwilę musi go opuścić. Gdyby wiedział, że idzie spławić senatora, który przyjechał z niezapowiedzianą wizytą, to jego ego byłoby mile polechtane. Miał się o tym dowiedzieć dopiero po powrocie do kraju.

Zostawiony samopas w pokoju oglądał go teraz dokładniej bez żadnej żenady. Zainteresowały go zdjęcia w ramach wiszące na kawałku wolnej ściany przy biurku. Amerykańskim zwyczajem gospodarz powiesił tam te, które uznał za ważne dla siebie. Wziął kieliszek z koniakiem i poszedł je obejrzeć. Mógł się z nich wiele dowiedzieć. Jego gospodarz znał wielu ludzi znanych mu ze zdjęć w prasie zagranicznej, albo oni znali jego. Przy kolejnym znieruchomiał.

Jak byk widniał na nim Marek. Przyjrzał się uważniej. Prezydent Clinton najwyraźniej coś mu wręczał, a obok radośnie szczyrzył zęby Tonner. Widoczny w tle amerykański orzeł i napis pod nim – „White House” nie pozostawiał żadnych wątpliwości, gdzie zostało zrobione to zdjęcie. Marek był w Białym domu i „macał się” z prezydentem USA, a on nic o tym nie wiedział. Pokręcił z niedowierzaniem głową i oglądał dalej.

Nie zdziwił się gdy znalazł kolejne na którym widniała ta sama trójka. Siedzieli w fotelach przy stoliku i coś popijali. Wyglądało mu to znajomo. Spojrzał na stolik gdzie stała jego herbata i porównał. Po chwili nie miał żadnych wątpliwości. „A niech to” – prawie się zachnął. To zdjęcie zrobiono w tym pokoju, a on siedział w tym fotelu, który kiedyś zajmował prezydent Clinton.

Zastanowił się przez moment. Clinton był prezydentem przez dwie kadencje w latach 1993-2001. To by się mogło zgadzać. Był to okres kiedy jego kontakty z Markiem uległy wybitnemu ograniczeniu i mógł nie mieć okazji, aby mu o tym powiedzieć. Tym bardziej, że nie należał on do zbyt gadatliwych. Wyciągnąć coś z niego było równie łatwo jak rwać zęby bez znieczulenia. Na widok kolejnego zdjęcia uśmiechnął się z satysfakcją. Marek i Tonner stali w roboczych ciuchach przed fragmentem kamiennego muru.

Zajmował się najnowszą historią, ale tu bez żadnych wątpliwości rozpoznał fragment kamiennej piramidy schodkowej. Zielone pnącza widniejące na kamiennych blokach mówiły mu, że było to jeszcze przed tym zanim piramida zmieniła miejsce swojego postoju. Pokręcił z podziwem głową. Wykręcili taki numer i uszło im to na sucho. Zanotował w pamięci, aby dokładnie odpytać Marka na tą okoliczność. Znalazł jeszcze jedno ich wspólne zdjęcie. Stali przy czymś co wyglądało na samolot, ale pewnie nim nie było. To, że miało śmigło z przodu było dla niego zrozumiałe, ale to drugie widoczne z tyłu wpędziło go w zakłopotanie. Wymiary też się nie zgadzały. Na prawdziwy samolot było za małe, a na model za duże. Do takiego wniosku prowadziło porównanie wzrostu tam stojących do tego co stało na ziemi. Widoczne na kadłubie czarne litery – U.S. NAVY – sugerowały, że nie była to też duża zabawka. Wyjaśnienie usłyszał od Tonnera, który właśnie wrócił i podszedł do niego.

- To był nasz pierwszy szlagier. Jest to bezzałogowy samolot rozpoznawczy z napędem elektrycznym. Robi w powietrzu tyle hałasu co lecący ptak. Żaden znany obecnie radar nie jest w stanie go wykryć.

- Samolot z napędem elektrycznym? – Andrzej nie potrafił ukryć zdumienia.

- Tak. Zresztą Marek miał jeszcze parę innych pomysłów i namówił mnie do ich wdrożenia w życie. Teraz nasza wspólna firma jest potentatem w tej branży. Głównym odbiorcą naszej produkcji jest nasze ministerstwo obrony i państwa, które uzyskały zgodę naszego rządu na ich zakup.

Wyjaśnienie było proste, ale dosyć enigmatyczne. Zapewne kryło się za tym coś więcej. Andrzej zastanowił się. Znał możliwości Marka. Ten ze swoim talentem wymieniłby szczerzą dupę na złoty sygnet i nikt by nie zauważył tej zamiany. Miał też małego „hopla” na punkcie lotnictwa. Nie

było więc nic dziwnego, że znalazł odpowiedniego „fajera” i namówił go do realizacji swoich pomysłów. Niemnie coś mu się jednak nie zgadzało.

Zapewne nie produkowali wojskowych samolotów znanych mu z ekranu kinowego, ale miało to coś wspólnego z wojskiem. Żadne państwo nie zgodzi się na to, żeby w pobliżu czegoś takiego plątał się cudzoziemiec. Tym bardziej, że przecież nie tak dawno Polska była drugą potęgą militarną po Związku Radzieckim w obozie socjalistycznym. I to potęgą, która mogła samodzielnie dotrzeć na wybrzeże Kanału La Manche. Nie bardzo chciało mu się wierzyć, żeby kowboje z oceanu tak od razu bezgranicznym zaufaniem obdarzyli Polaka. Nawet jakby wziąć po uwagę casus pułkownika Kuklińskiego. Tego uważał za agenta, któremu dobrze zapłacono za wykonaną robotę. Dorzucono nawet obywatelstwo i jakieś odznaczenie. Tu musiało chodzić o coś innego. Ciekawość domagała się zaspokojenia. Zapytać wprost nie można. Gdyby jednak spróbować z lewej mańki? Spróbował.

-Nie każdy cudzoziemiec może brać w czymś takim udział.

-Oczywiście, że nie – zbyt łatwo zgodził się Tonner.

Andrzej spojrział pytająco i doczekał się dalszego ciągu.

-Rzeczywiście w pewnym momencie wystąpił ten problem, ale znaleźliśmy się wtedy już na tyle dobrze, że mogłem wystąpić z wnioskiem o przyznanie mu obywatelstwa.

Akurat! – pomyślał w duchu – Twój wniosek to było polecenie, które wszyscy zależni od ciebie ludzie wykonali z należytytym szacunkiem i pośpiechem. Czyżby zatrudnił do tego aż samego prezydenta? Nie zawadzi sprawdzić. Trzeba wykorzystać informację ze zdjęć.

- To pewnie Marek był wniebowzięty jak zakomunikował mu to sam prezydent.

- To było już znacznie później – pobłażliwy uśmiech na twarzy gospodarza trochę go zdeprymował. – Marek miał pewien pomysł, który później okazał się tak istotny dla naszego państwa, że prezydent uznał za stosowne odznaczyć go Medalem Wolności.

Andrzejowi opadły zupełnie piórka. Może nie byłby tak zdołowany, gdyby wiedział, że jego gospodarz też wtedy otrzymał takie odznaczenie. Miał prawo nie znać procedury przyznawania obywatelstwa w U.S.A., ale pobłażliwy uśmiech gospodarza mówił coś jeszcze: - „Jesteś przyjacielem Marka, a nie wiesz co robił tutaj?”. To było wybitnie frustrujące odczucie. Nie bardzo wiedział jak sobie z tym poradzić. Czuł się jak kaczką która jak nie umie pływać, to mówi, że woda jest za rzadka. Czuł jak rośnie w nim poziom adrenaliny i pretensji do Marka. Rzucił go na głęboką wodę, ale zapomniał mu powiedzieć po co to robi.

-Może nie wszystkie zdarzenia uznał za tak ważne aby je upubliczniać i część zachował tylko dla siebie – rzucił mu koło ratunkowe gospodarz.

-Tak – z pewną dozą zamyślenia powiedział Andrzej. – On często stawia tak wysoko poprzeczkę, że nie zawsze zdołam ją przeskoczyć.

-Taki już jest, – uśmiech zrozumienia zagościł na twarzy Tonnera. -. ale zapewne to miłe uczucie, że jest po tej samej stronie.

- *Sum cuique* – Każdemu to, co mu się należy - mruknął z pewnym zamyśleniem –

Oczami wyobraźni widział jak tą maksymę Marka zastosuje osobiście w stosunku do jego osoby za te wszystkie niespodzianki jakich tu doznawał. Nie tylko obedrze go ze skóry, ale wrzuci dodatkowo do kotła z wrzącym olejem i będzie patrzył jak sobie w nim wesoło podryguje.

- Dostyc ciekawa zasada dla przyjaciół i niebezpieczna dla wrogów. – zgodził się gospodarz i zaproponował: - Może obejrzymy resztę eksponatów?

Andrzej skinął głową na znak zgody. Chwilowo miał dosyć niespodzianek jakie niosły z sobą fotografie. Zaś gospodarzowi nawet się śniło, że za chwilę w znaczący sposób pogłębi jego frustrację. Andrzeja zainteresował teraz przedmiot wykonany bez wątplenia z czystego złota. W końcu jak się widziało blask ton złota, to można teraz bez pudła określić co jest złotem a co nie. Eksponat spoczywał na małej poduszce wykonanej z czerwonego aksamitu.

- Ile lat ma ten złoty model samolotu?

- Ponad trzy tysiące lat. Według oficjalnych orzeczeń archeologów jest to ozdoba związana z wierzeniami religijnymi Majów.

Kpina czy żart – zastanowił się Andrzej. Nie był fanem lotnictwa, ale to co widziały jego oczy nie pozostawiało żadnych wątpliwości. To był model samolotu typu delta. Ukośne płaty nośne o charakterystycznym kształcie trójkąta i dwa stateczniki poziome w tylnej części kadłuba nie pozostawiały co do tego żadnych wątpliwości. Zgrubienie w środkowej części kadłuba wskazywały na napęd odrzutowy z wykorzystaniem dwóch silników. Konstrukcja stosowana współcześnie,

szczególnie przez Francuzów w ich najlepszym wielozadaniowym samolocie znanym jako Mirage. O tym i nie tylko dowiedział się z polskiej prasy. Nie tak dawno dosyć szczegółowo omawiano wady i zalety samolotów z których jeden miał wejść na wyposażenie polskiego lotnictwa.

- Pan w to wierzy? – patrzył z ciekawością na Tonnera.

- Nie muszę, ja wiem. Żyję w wolnym i demokratycznym kraju.

„No pewnie” – przemknęło mu przez myśl. – „Z taką górą szmalu jak ty, to każdy czułby się demokratą i wolnym człowiekiem”.

- Dałem ten model do sprawdzenia ekspertom z NASA. Ocenili, że samolot zbudowany na podstawie tego modelu latałby z prędkością trzykrotnie większą niż szybkość dźwięku. Nawet dzisiaj niewiele samolotów lata z taką prędkością.

*

Podczas prac archeologicznych w Ameryce Południowej znaleziono wiele takich eksponatów. Wiele z nich znajduje się w państwowych i prywatnych zbiorach muzealnych w różnych częściach świata. W muzeum kairskim jest eksponat oznaczony numerem 6347. Wykonany jest z drewna morwowego. Jest to model samolotu jednopłatowego. Skrzydła wykonane są z jednego kawałka drewna, a ich rozpiętość wynosi 18 cm. Najgrubsze są przy kadłubie i im dalej od niego, to są coraz węższe. Ich kształt, forma i aerodynamika odpowiada obrysom współczesnych skrzydeł samolotów. Kadłub ma 14 cm. długości i jest doskonale wymodelowany pod względem aerodynamicznym. Dziób samolotu ma kształt piramidy. Po prawej stronie namalowane jest oko. Możliwe, że symbolizuje to funkcje radaru. W górnej części kadłuba, w jego najgrubszym miejscu znajduje się prostokątne wycięcie. Jest to miejsce mocowania skrzydeł. Połączenie skrzydeł i kadłuba tworzą jedną gładką powierzchnię. Charakterystycznym elementem modelu jest jego ogon. Jest to prosty statecznik pionowy o wymiarach 3 na 4 centymetry. Dolny, wyłamany róg jest miejscem gdzie były umieszczone stateczniki poziome. Za twórcę tego modelu samolotu uważa się człowieka o imieniu Pa-Di-Men, który żył prawdopodobnie u schyłku „epoki nauki” czyli około 300-250 lat p.n.e w Egipcie.

Nie tylko ten jeden eksponat z Egiptu wpędza w zakłopotanie archeologów. Starożytni Egipcjanie bez żadnych wątpliwości znali bumerang, mający formę skrzydła z zagięciem umożliwiającym powrót do rzucającego. W piśmie staroegipskim istnieją różne słowa i symbole oznaczające latanie. Każde z nich oznaczone jest symbolem skrzydła lub ptaka. Słowo „kema” oznacza rzucony pręt lub bumerang i przedstawione jest jako fruująca kaczka. Stworzenie takiego przedmiotu jak bumerang wymaga pewnej wiedzy. Fizycznej, matematycznej i dobrej znajomości praw obowiązujących w aerodynamice. Do tego potrzebny jest dobrej klasy komputer z właściwym oprogramowaniem, aby połączyć to wszystko w sensowną całość, jaką jest w tym przypadku bumerang.

Może się wydawać, że takie spostrzeżenie jest dostępne dla średnio wykształconego idioty. Nic bardziej mylnego. Uczni archeologowie uznali, że bumerang został wynaleziony przez Buszmenów z Australii. Uważają, że nie tak dawno, mało rozgarnięty Buszmen rzucił zakrzywionym patykiem. Ten upadł w pobliżu niego. Osobnik ten wymodelował odpowiednio rzucony patyk i uzyskał w ten sposób bezgłośną broń do polowania na małe zwierzęta. No cóż, można i ten sposób. Nie trzeba odpowiadać wtedy na pytanie: kto, kiedy, jak i po co stworzył taką zabawkę lub broń.

*

Andrzej był trochę zły na siebie. To była dla niego „*Terra incognita*” - „**Nieznany ląd**” – jak mawiali starożytni Rzymianie. Żałował, że tak mało uwagi zwracał do tej pory na to, co Marek mówił nieraz w jego towarzystwie na ten temat. Jego wąska specjalizacja akademicka nie pozwalała mu na podjęcie merytorycznej dyskusji. Zdawał sobie sprawę, że jest odpytywany z różnych dziedzin.

Zaistniała sytuacja obudziła w nim pewne wątpliwości. Co takiego wiedział Marek, o czym on nie miał bladego pojęcia? Skąd to wiedział? Czemu jemu kazał sprawdzić pewne informacje dotyczące zaginionych skarbów z czasów II Wojny Światowej? Przecież w świetle obecnej swojej wiedzy miał prawie pewność, że mógł on osobiście sięgnąć do tych informacji. O co w tym wszystkim chodzi? Andrzej pomyślał ponuro, że Marek chciał, aby okazał się sprytny. Co gorsza, chciał zapewne, aby ludzie ujrzeni go jako szacownego naukowca. Mógł się tylko modlić, aby nie okazał się zamiast tego spektakularnie głupi. Był przecież zapewne jakiś poziom głupoty, którego nie należało przekraczać. Wydało mu się, że może podreperować swoją reputację. W sąsiedniej gablocie leżał jakiś mechanizm. Zębate koła lśniły nowością metalu.

- To zapewne współczesne urządzenie – zaryzykował.

- I tak i nie – padła niezbyt jasna odpowiedź, a za chwilę wszystko było już jasne.

Tonner zachował się jak dobrze zaprogramowany komputer. Wciśnięty odpowiedni klawisz uruchomił właściwą odpowiedź. Ekspонат w gablocie był wierną kopią jedyne go egzemplarza jaki istnieje na świecie. Gospodarz kazał go wykonać na wszelki wypadek, gdyby oryginał zaginął w „przypadkowy” sposób. Zbyt wiele znalezisk nie pasujących do obecnej cywilizacji spotkał taki dziwny „przypadek”.

*

W 1900 roku grupa greckich poławiaczy pereł odkryła wrak starożytnego statku w pobliżu niewielkiej wyspy Antikythery. Leży ona w połowie drogi między Grecją kontynentalną a Kretą. Podwodne wyprawy archeologiczne wydobyły trochę naczyń ceramicznych, kilka posążków i parę skorodowanych przedmiotów z metalu. Zgodnie oceniono, że znalezisko ma ponad dwa tysiące lat.

W 1902 roku, archeolog, Valerios Stais, zatrudniony w Muzeum Narodowym w Atenach zbadał dokładnie to znalezisko. Jego zainteresowanie wzbudził metalowy przedmiot, który od tej pory stał się znany jako mechanizm z Antikythery. Było to metalowe pudełko z gałkami i zewnętrznymi wskaźnikami. Środek wypełniony był zbiorem przekładni zawierających przynajmniej dwadzieścia kół zębatach. Całą powierzchnię urządzenia pokrywały greckie inskrypcje. Na podstawie odnalezionych we wraku przedmiotów i ceramiki oceniono, że statek zatonął w 65 roku przed naszą erą. Analiza greckich liter inskrypcji wykazała, że litery pochodzą z pierwszego wieku przed naszą erą. Uzyskano też całkowitą pewność, że nie powstały one po narodzeniu Chrystusa.

Język używany w napisach i informacje astronomiczne tam zawarte były zgodne z wiedzą starożytnych Greków. Największa odcyfrowana inskrypcja jest częścią kalendarza astronomicznego, który jest uderzająco podobny do odnalezionego wcześniej dzieła napisanego z całą pewnością w 77 roku przed naszą erą.

Derek J. De Solla Price z Uniwersytetu Yale ma największe zasługi przy rekonstrukcji i restauracji tego urządzenia. Na początku lat pięćdziesiątych XX wieku rozpoczął renowację tego urządzenia. Następnie przetłumaczył wszystkie możliwe do odczytania inskrypcje. W 1972 roku przy użyciu promieni Roentgena i gamma ustalił zasady konstrukcji i działania przyrządu. Zaprojektowano go na bazie centralnej osi. Kiedy oś się obracała, to uruchamiała skomplikowany system przekładni, lewarów, kół zębatach i wałów korbowych. To powodowało, że wokół zestawu skał poruszały się z różną szybkością liczne wskazówki. Nie wszystkie skały udało się odczytać. Jedno jest wiadome na pewno. Przednia i największa skała pokazuje ruch Słońca w zodiaku oraz wschody i zachody ważniejszych gwiazd i konstelacji. Skały z tyłu urządzenia są bardziej złożone i trudniejsze do odczytania. Prawdopodobnie związane są z ruchem planet i zjawiskami księżycowymi. Price uważa, że przednia skała jest „jedynym pochodzącym ze starożytności znanym kompletnym i skomplikowanym okazem w pełni naukowo wyskalowanego instrumentu”.

„Najbardziej spektakularnym mechanicznym elementem mechanizmu z Antikythery” – tak twierdzi Price – jest przekładnia różnicowa działająca na zasadzie obrotnicy. Taki mechanizm skonstruowano dopiero w XVI wieku w Europie. Toteż nic dziwnego, że „Scientific American” z kwietnia 1974 roku zgodził się z Price`em, że odkrycie tego mechanizmu powinno być podstawą do rewizji istniejących ocen stanu technologii w okresie hellenistycznym. Do tej pory uważano, że Grecy znali zasadę koła zębatego, ale wykorzystywali je w prymitywnych i niezbyt skomplikowanych urządzeniach.

Obecnie uważa się, że mechanizm z Antikythery jest swoistym astronomicznym komputerem. W zmechanizowanej formie przedstawia on cykliczne relacje i wydarzenia zachodzące w Układzie Słonecznym i układzie gwiazd. Przed jego odkryciem nie odnaleziono ani nie opisano żadnego porównywalnego obiektu czy urządzenia. Istniejąca do dzisiaj wiedza o stanie technologii hellenistycznej nie dopuszcza możliwości, aby w owym okresie mógł powstać taki przedmiot.

Jest jeszcze jedna dziwna rzecz i nie zostało to wyjaśnione do dzisiaj. Wszystkie elementy urządzenia zostały wykonane z brązu i wycięto je każdorazowo z jednej płyty metalu. To nie budzi zdziwienia i zastanowienia. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że nacięcia na trybach i kołach zębatach zostały zrobione maszynowo. To spostrzeżenie podniosło poprzeczkę wyjaśnienia tak wysoko, że do tej pory nikt jej nie przeskoczył. Do wykonania maszynowych nacięć potrzebny jest odpowiedni park maszynowy. Tokarki, obrabiarki czy frezarki są znane dzisiejszemu rodzajowi ludzkiemu niecałe dwieście lat. Skoro starożytni Grecy nie mogli być twórcami tego urządzenia, – tak przecież uważają zgodnie uznane sławy naukowe naszych czasów – a my znamy dopiero niecałe

dwieście lat maszyny, które zastosowano do obróbki metalowych elementów znalezionej urzędnicy, to takie urządzenie nie ma prawa fizycznie istnieć. Jednak istnieje.

Czy ktoś odważy się wyjaśnić kto, kiedy i dla kogo wykonał to urządzenie? Bardzo wątpliwe. Prawdziwa odpowiedź mogłaby zburzyć dotychczasowy porządek świata i zachwiać obowiązującymi kanonami wiary. Możliwe, że trzeba by napisać historię ludzkości od nowa.

*

Andrzej należał do „regularnych” katolików. Ochrzczony w wieku gdy na chleb nie mówił jeszcze „pyp”, chodził regularnie do Kościoła. Dwa razy do roku. Na Boże Narodzenie i w Wielkanoc. Należał obecnie do najliczniejszej grupy w tym kraju nad Wisłą. Teraz było tam 90% katolików i 10% niedowiarków. Tak twierdziły przynajmniej dzisiejsze media i sam Kościół. Przed 1989 rokiem było w Polsce 90% komunistów i 10% katolików. Ot, takie historyczne wahnięcia statystyczne.

Mimo tych obecnych 90% jego wiara w cuda była jednak nieco ograniczona. Analityczny umysł historyka mówił mu jednoznacznie: - „Cudów nie ma. Są tylko matactwa.” Mimo przeżycia prawie pół wieku na tym padole płaczu nie dane mu było osobiście zobaczyć chociaż jeden z cudów o jakich mówili faceci w czarnych sukienkach. Teraz widział rzecz, która nie miała prawa istnieć. Jednak istniała i mógł jej dotknąć. Ewidentny cud.

Widział, że Tonner czeka na jego reakcję. Mógł powiedzieć: - „Nie wierzę.” Jednak Święty Mikołaj przychodzi co roku. „W prawdę jedyną i objawioną” nie wierzył z zasady. Słowa i ludzie, którzy je głosili podlegali u niego weryfikacji. Z jednym wyjątkiem. Może to zaskoczył niejednego, ale tym wyjątkiem była jego żona. Złożyło się na to wiele przyczyn i pewnie wyszłaby z tego niezła opowiadka. Dylemat, który miał do rozwiązania istniał teraz i trzeba było go rozwiązać od ręki. „Lepiej trzymać się prawdy i faktów” – zdecydował. – „Tak też przecież można.”

Zanim zdążył wprowadzić w czyn swoją decyzję z opresji wybawił go kamerdyner. Obwieścił, że podano kolację. Nawet nie zauważył jak minęło te parę godzin od czasu obiadu. Nogi pracowały mu szybciej niż mózg, gdy opuszczali gabinet Tonnera. „Taktyczna” zmiana miejsca, gdzie mogła być obnażona jego ignorancja w pewnych dziedzinach wiedzy wydawała się być darem losu. Nie maszerowały tak ochoczo, gdyby wiedział, że pewne decyzje co do jego osoby już zapadły. Gospodarzowi wystarczyło tych parę godzin, aby je podjąć. Nie stosował on natychmiastowej intuicyjnej metody oceniania rozmówcy z jakiej znany był Marek, ale nie była ona tak znacząco różna. O tym, Andrzej miał się jednak przekonać dopiero w momencie swojego wyjazdu.

Kolacja nie kryła żadnych pułapek. Zaproponowana później partyjka bilardu była miłym urozmaiceniem. Pierwszą wygrał w cuglach. W kolejnych gospodarz walił w niego jak w bęben. Zapewne grał również w szachy i znane mu były zasady tam obowiązujące. Pierwszą partię gospodarz oddaje zaproszonemu gościowi, ale później nie ma zmiłuj się. W sumie Andrzej nie żałował tej totalnej klęski, gdy był tylko statystą obserwującym bile wpadające do łuz po precyzyjnych uderzeniach gospodarza. Przegrał, ale poznał przynajmniej losy znajomości Marka i Nasha. Na zakończenie wieczoru gospodarz obiecał, że jutro po śniadaniu pokaże mu okolicę.

„Co można oglądać na tym zadupiu?” – pomyślał, ale zaproszenie przyjął z „dyplomatycznym” zadowoleniem. A nuż program zwiedzania będzie obejmował również pokazanie zaginionej pewnie. Miałby wtedy o czym opowiadać. Nie było w tym żadnej jego winy, ale pomylił się po raz kolejny w tym dniu. Piramidę miał zobaczyć w zupełnie innych okolicznościach.

*

Leżał w szerokim, wygodnym łóżku i robił w myślach podsumowanie minionego dnia. Wrażen było aż nadto i należało to uporządkować. Wyjaśniło się czemu model szybowca wiszący na eksponowanym miejscu w gabinecie Tonnera wydał mu się znajomy i dlaczego tam wisiał. Był trochę zły na siebie, że oznaczenia SP-962 widniejące na skrzydłach modelu nie uruchomiły w jego pamięci potrzebnej mu informacji. Porzekadło – „Starość nie radość” – nie wydało mu się wystarczającym usprawiedliwieniem. Powinien przecież pamiętać.

Było to pod koniec sesji na drugim roku. Wtedy to Marek wyciągnął go na lotnisko w charakterze pomocnika do pomocy przy oblatywaniu nowej konstrukcji swojego modelu szybowca w klasie F1A. Jakimś cudem dał się przekonać, że jego pomoc ma istotne znaczenie dla zamierzonej przez niego próby bicia rekordu. Posłusznie aportował model wypuszczany z holu o długości 50 metrów. Policzył, że w to popołudnie zrobił ponad 30 kilometrów umiarkowanym galopem, gdy dostarczał model z powrotem na miejsce startu. Chodził jak połamany przez trzy dni. Marek mógł namówić Eskimosa żeby kupił u niego lody waniliowe na biegunie, ale on nie dał się więcej

zmanipulować. Już nigdy nie dał się namówić na podobną imprezę. Późniejsze słowa Marka, że podjął próbę bicia potrójnego rekordu świata puścił mimo uszu. Teraz w Stanach dowiedział się jak to się odbyło.

Marek na jednych z Mistrzostw Polski Modeli Latających zgłosił oficjalną próbę bicia potrójnego rekordu świata w klasie F1A – wysokości, długości i czasu lotu. Moment był wybrany dobrze, bo pogoda była taka, że nawet cegła mogła sama pofrunąć. Pierwszy model tak szybko zniknął na tle błękitnego nieba, że helikopter mający potwierdzić wysokość lotu nie zdążył nawet wystartować. Dla wszystkich tam zgromadzony jasnym się stało, że rekord wysokości jest do pobicia. Helikopter czekał już w powietrzu, gdy Marek zwolnił z holu drugi model zgłoszony do bicia rekordu. Na wysokości ponad 1500 metrów pilot helikoptera zrezygnował z pogoni za szybko wznoszącym się modelem. Po prostu nie był w stanie za nim nadążyć. Jeden rekord został pobity, ale Marek musiał się obejść smakiem. Przepisy Federation Aeronautique Internationale były tu jednoznaczne. Ostemplowany pieczęciami komisji model musi do niej wrócić z nienaruszonymi pieczęciami. Dopiero wtedy komisja może wydać swój werdykt. W tym przypadku nie było modelu ani pieczęci. Markowi została wątpliwa satysfakcja w postaci kopii protokołu komisji, że próbował bić rekordy. Mógł się tylko modlić, żeby ktoś znalazł jeden z wypuszczonych modeli i poinformował o tym Aeroklub Polski. Taka prośba zamieszczona była na kadłubach modeli.

Jeden model przepadł na wieki. Drugi odnalazł się w Teksasie na ranchu ojca Nasha Tonnera. Jeden z ich pracowników znalazł go na początku sierpnia niedaleko od rodowej posiadłości i przywiózł ten dziwoląg swojemu pryncypałowi. Nash miał wtedy przerwę wakacyjną i był na miejscu. Był przy oględzinach i zaanektował znalezisko do swojej dyspozycji. Postanowił odpisać na podany adres do nieznanego mu kraju w Europie. Zrobił to dopiero w październiku, gdy rozpoczął studia. Upłynął jeszcze ponad miesiąc czasu zanim ta wiadomość pokonała biurokratyczne szczeble w Polskim Aeroklubie i trafiła w ręce Marka. Ten ucieszył się jakby złapał Pana Boga za nogi i spróbował uzyskać oficjalne potwierdzenie zaistniałego faktu.

Samo oświadczenie Nasha i zdjęcie jakie mu przysłał w następnej korespondencji nie wystarczały. Próby uzyskania potwierdzenia od oficjalnego czynnika urzędowego w Stanach spęły na niczym. Zresztą nie było w tym nic dziwnego. W najlepsze trwała „zimna wojna” między Wschodem i Zachodem i Amerykanie nie zamierzali potwierdzić sukcesu młodego konstruktora z komunistycznej Polski jak ją wtedy nazywali. Niedwuznacznie zasugerowali nawet, że w tak długim okresie od momentu wypuszczenia modelu w powietrze, a jego znalezieniem, to można go było dowieźć w każde inne miejsce na Ziemi. Młodzieńcze oburzenie Nasha i Marka na taką insynuację nie miało tu żadnego znaczenia.

Po pewnym czasie Marek zorientował się, że łatwiej mu będzie nosić sitkiem wodę, niż udowodnić swoją rację. Z żalem, ale zrezygnował z tłuczenia głową w ścianę. Nie miał na to czasu. Nauka, sport i praca w Zrzeszeniu Studentów Polskich pochłaniała go bez reszty. Nieraz Marek przedstawiał mu dosyć szaleńcze wizje na przedłużenie doby, aby starczyło czasu na dorobienie paru groszy i skorzystania z innych uciech studenckiego życia. Już wtedy miał dziwne pomysły, które ku jego zdumieniu jakoś wpasowywały się w rzeczywistość i często przynosiły zamierzony skutek. Te niekonwencjonalne pomysły pomogły mu zresztą zrobić szybką karierę w ZSP. Najpierw na uczelni, później w kraju i międzynarodowym ruchu studenckim.

Tam też ponownie zetknął się z Nashem. Najpierw na zjeździe w Pradze. Później był Budapeszt i Londyn. Musieli sobie przypaść do gustu, skoro w 1990 roku Marek zaproponował mu zrobienie wspólnego interesu. I zrobili to. Marek miał w ręce koncesję na import metali kolorowych z Rosji. Płacił Rosjanom w cenach „socjalistycznych”, a Nash sprzedawał to z „kapitalistycznym” narzutem. Tak zarobili pierwsze miliony „zielonych”. Później już mieli z górki. Wspólne zainteresowanie zaginionymi cywilizacjami i technikami jakimi się one posługiwały scementowało ich znajomość. Znajomość czy przyjaźń? Tego Andrzej nie był pewien. Zbyt wiele niespodzianek go tu spotkało i zdawał sobie sprawę, że dopiero zaczyna odkrywać nieznaną kartę z życia swojego przyjaciela z czasów studiów. W jednym zgadzał się całkowicie z Nashem – „To miłe uczucie, że jest się po tej samej stronie co Marek”.

Z historycznego punktu widzenia można przyjąć, że wypuszczenie w powietrze modelu mającego pobić potrójny rekord świata było początkiem znajomości dwóch młodych gniewnych ludzi. Jeden miał wstrząsnąć posadami tego świata. Drugi też miał do odegrania swoją rolę jaką mu gotował

los, ale to już inna bajka jak mawiał Kipling. Tego nie wiedział ani Andrzej, gdy Morfeusz ukołysał go do snu, ani dwójka ludzi o których myślał.

*

Śniadanie przebiegło w przyjemnej atmosferze. Talerz Andrzeja miał już wymiary mniejsze niż koło od „malucha”. Bekon na jajecznicę czy jajecznica na bekonie były wyśmienite. Dziwna proporcja pół na pół nie przeszkodziły mu w spałaszowaniu potężnej porcji. Grzanki, marmolada ze śliwek, masło i miód były miłym dodatkiem. Herbata była ta sama co wczoraj i bez żadnych skrupułów opił się nią jak mała norka.

Wyszli przed dom. Andrzej z ciekawością rozejrzał się dookoła. Wczoraj miał okazję przyjrzeć się tylko staremu wiktoriańskiemu budynkowi. Jego uwagę przykuł długi prostokątny blaszany budynek wyglądający na magazyn. Właśnie zaczęły się otwierać pierwsze z brzegu duże blaszane wrota. Po chwili dwóch ludzi wytoczyło mały samolot. Śnieżnobiała awionetka z błękitnymi pasami na skrzydłach i kadłubie przyciągała wzrok.

- Zapraszam na małą przejażdżkę, profesorze – powiedział Nash i ruszył w tamtą stronę.

Andrzej o mało nie sapnął z wrażenia. Wczorajsza zapowiedź małej wycieczki po okolicy skojarzyła mu się ze zwiedzaniem zza szyb samochodu. Teraz dopiero w pełni dotarła do niego przestroga Marka, żeby w Stanach nie przykładał do wszystkiego polskiej miarki. Ze szkolnej geografii pamiętał, że stan Teksas liczy 692 tysiące kilometrów kwadratowych. To tak jakby połączyć razem dwie Polski, a w stanie Alaska, Polska zmieściłaby się prawie pięć razy. Tutaj samolot był po prostu środkiem komunikacji ułatwiającym życie na tak dużych przestrzeniach. Prywatny samolot w Polsce był wyrazem wątpliwej nobilitacji „biznesmenów”, którzy dorobili się na złodziejskiej prywatyzacji. „Co kraj to zwyczaj – przemknęło mu przez myśl – ale warto na to zwrócić uwagę, aby nie wyjść na głupka.”

Mechanik zameldował gotowość maszyny do lotu i zaszalutował do gołej głowy. Zajęli miejsce w kabinie. Zapięli pasy. Andrzej z zaskoczeniem stwierdził, że wnętrze kabiny jest o wiele większe i wygodniejsze niż się to wydawało z zewnątrz. Nash uruchomił silnik i jego palce zaczęły biegać po różnych przyciskach i przełącznikach. Te pewne i profesjonalne ruchy znacznie zmniejszyły jego pewne wątpliwości co do umiejętności gospodarza w tej materii. Jak do tej pory spotkał tylko jednego człowieka, który mógł występować jako cała orkiestra. Uważał Marka za wszechstronnego dytanta na pograniczu genialności. Obecnie dochodził do wniosku, że ma do czynienia z drugim takim egzemplarzem. Umiejętności, zainteresowania i wiedza Tonnera bardzo mu go przypominały. Obydwaj zdawali się dostrzegać rzeczy, których nie jest w stanie zobaczyć zwykły człowiek.

- Startujemy! – zakomunikował Tonner zakładając na nos lustrzane okulary przeciwsłoneczne.

Zwiększył obroty silnika i samolot posłusznie ruszył wolno naprzód. Spojrzał w prawo na wysoki maszt gdzie na szczycie powiewał pasiasty biało-czarny rękaw. Maszyna lekko skrzyła w lewo i silnik radośnie zamruczał na wysokich obrotach. Krótki rozbieg i już gładko płynęli w powietrzu. Andrzej dziękował Bogu, że nie wyrwał się z pytaniem po co ktoś powiesił do suszenia na wysokim maszcie taką „nietypową skarpetę”. Chciał o to zapytać już wcześniej. Teraz domyślił się, że to coś powiewające tam w górze wskazuje po prostu kierunek wiatru. Lecieli na wysokości 300 metrów. Z zaciekawieniem obserwował krajobraz przesuwający się w dół. Tonner mógłby spokojnie pracować jako wykwalifikowany przewodnik. Mówił barwnie i ciekawie. Widać było, że zna dokładnie ten teren i jego historię.

Andrzej cały czas zastanawiał się co kryło się za tym dzisiejszym zaproszeniem. Zdawał sobie doskonale sprawę, że tacy ludzie jak Tonner robią wszystko z jakimś celem. Inaczej nie doszliby do tego co mają. Ten miał władzę i pieniądze, a osobiście obwoził nieznanego mu doktora z Polski po niebie Teksasu. Coś się musiało za tym kryć. Dolatywali do pasma niewielkich wzgórz leżących na osi północ-południe, gdy padły słowa:

- Na wschód od tych wzgórz zaczynają się nasze tereny.

Andrzej zastrzygł uszami. Czyżby to był powód ich dzisiejszej wycieczki? Już dawno rozszyfrował metodę prowadzenia konwersacji jaką stosował Tonner. Przypominało to ruchy skoczka na szachownicy, gdy zmieniał temat rozmowy. W takich zmaganiach miał dużą wprawę. Ekspertem w tej dziedzinie został, gdy poznał Marka. On też często rozmawiał w podobny sposób. Gdy rozmówca nie nadążał za jego tokiem rozumowania, to w widoczny sposób tracił zainteresowanie taką osobą. Pomału zaczęło do niego docierać dlaczego Marek i Nash pasowali do siebie jak para rękawiczek. Może nie mieli takich osiągnięć jak ci dwaj co próbowali ukraść Księżyc, ale wszystko było jeszcze

przed nimi. W końcu zwinęli przecież prawie 30 metrową kamienną piramidę i nikt ich nie złapał za rękę. Niezły prognostyk do przyszłych dokonań. Chyba wiedział jak zareagować, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

- Niezłe miejsce na rekonstrukcję starożytnych artefaktów – zaryzykował.
- Nie wszystko złoto co się świeci – uśmiech pojawił się na ustach Tonnera.
- Lepiej z mądrym zgubić niż z głupim znaleźć – zręcznie odparował.

Tonner pokiwał głową i przez chwilę się zastanawiał. On zaś cierpliwie milczał. Opłacało się. Długo nie trwało, gdy dowiedział się o co chodziło z tym terenem nad którym teraz lecieli.

*

Marek namówił Tonnera do realizacji szalonego z pozoru pomysłu. Chciał hodować dziką zwierzynę łowną i odtwarzać jej niektóre populacje. Każdy zdrowo myślący człowiek słysząc taką propozycję nakreśliłby tylko stosownej wielkości kółko na czole. Jak można hodować dziką zwierzynę? To jest przecież nielogiczne. Tonner jednak tego nie zrobił. Znał już na tyle Marka, że dokładnie zapoznał się z jego projektem. W końcu zarobili już wspólnie sporo pieniędzy i maczali palce w paru innych bardziej fantastycznych dokonaniach. Szybko zorientował się, że po pięciu latach, to przedsięwzięcie typu „non profit” zaczęłoby przynosić całkiem wymierne korzyści materialne. Kupił ten pomysł i założyli kolejną wspólną firmę, aby to zrealizować. Od władz stanowych i federalnych nabyli 23 tysiące kilometrów kwadratowych nieużytków. Urzędnikom wszystkich szczebli bardzo spodobał się ten pomysł. Obiecywali nawet spore dotacje do jego realizacji. Nie było w tym nic dziwnego. Gdyby udało się to zrealizować, byłby to ewenement na skalę światową. Pod amerykańską flagą. Efekt propagandowy nieprzeliczalny na żywą gotówkę.

Przy takim hurtowym zakupie ziemi trafiły się im też dwa niechciane „rodzynki”. Na tych terenach znajdowały się dwa olbrzymie wojskowe poligony nieczynne od wielu lat. Wojskowi nigdy nie przykładali specjalnej wagi do ekologii i Marek zarządził dokładne zbadanie tych terenów. Chciał wiedzieć z jakimi rodzajami skażeń mogą mieć do czynienia. Otrzymane wyniki przeszły ich najczarniejsze oczekiwania. Projekt można było wyrzucić do kosza.

Tonner chwilowo przestał się produkować. Skupił się na pilotażu samolotu. Zatoczył krąg nad kolejną metalową konstrukcją, których parę minęli już poprzednio. Przy tej pracowało paru ludzi. Zatoczyli jeszcze jeden krąg i wylądowali w jej pobliżu. Andrzej z przyjemnością rozprostował kości. Na razie nic nie rozumiał z dotychczasowych wyjaśnień, ale spokojnie czekał na dalszy ciąg. Podążał za Tonnerem w kierunku stalowej konstrukcji. Przyjrzał się jej uważnie. Już wiedział na co patrzy.

Miał przed sobą wieżę do próbnych wierceń geologicznych. Podmuchał wiatru z tamtej strony podrażnił jego nos ostrą wonią. Zapach jakby znajomy, ale nie potrafił go jednoznacznie zidentyfikować. Na spotkanie wyszedł im krępy mężczyzna w czerwonym kombinezonie. Przyłożył rękę do niebieskiego kasku, ale z wyciągnięciem ręki poczekał, aż pierwszy uczyni to Tonner. Od razu widać było kto tu jest szefem. On otrzymał krótkie, uprzejme skinienie głową i uważne spojrzenie. Nie zdziwiło go to. Pasował tutaj jak kwiatek do kożucha. Rano wbił się w garnitur i założył krawat. Później nie było już czasu, aby zmienić strój na sportowy w jakim paradował Tonner. Przez chwilę próbował zrozumieć miejscowy żargon w jakim była prowadzona rozmowa, ale szybko dał sobie spokój. Rozumiał piąte przez dziesiąte. Z ulgą powitał zakończenie rozmowy. Ruszyli do samolotu i po chwili byli z powrotem w powietrzu. Do tej pory mieli zawsze słońce z przodu samolotu. Teraz znalazło się ono za nimi. Domyślił się, że lecą w stronę domu.

*

Tonner wydawał się być radosny jak skowronek.

- Wie pan, profesorze, jak wygląda gruszka? – dwa ciemne oczodoły ciemnych lustrzanek okularów groźnie na niego spojrzały.

Andrzej lekko zbaraniał. Przeskok w konwersacji był zbyt duży jak jego możliwości. Niepewnie skinął głową. Szeroki uśmiech na twarzy gospodarza wlał trochę otuchy do jego serca.

- Widział pan przed chwilą przyszyły, centralny punkt wydobywania ropy naftowej firmy Viking Oil Company. Marek chciał hodować zwierzynę, a znalazł największe pokłady ropy naftowej w Stanach. Ostrożne szacunki mówią, że zaspokoją one nasze całe krajowe zapotrzebowanie na ten surowiec na okres 30 lat lub więcej. Dostęp do tych złóż jest możliwy tylko z naszego terenu. Jutro będzie wiedział o tym cały świat. Komunikat o tym ukaże się w rannych wiadomościach.

Andrzej próbował podskoczyć na swoim fotelu. Zapięte pasy skutecznie mu to udaremniły. Różne myśli kłębiły mu się w głowie. Po co mu to powiedziano? Ile to jest warte? Skąd ta nazwa

„Viking”? W Polsce firma o tej nazwie służyła im za przykrywkę do poszukiwania skarbów III Rzeszy. Co takiego wymyślił pokrętny umysł Marka i starym zwyczajem zapomniał mu o tym powiedzieć? Jaka jest w tym wszystkim rola Tonnera? Co on tu właściwie robi? Miał wrażenie, że jego myśli zagłuszają miarowy warkot silnika samolotu. Jego nadzieje, że zachował kamienną twarz rozwiły się gdy usłyszał:

- Profesorze, niech pan nie próbuje liczyć w pamięci. To jest warte setki miliardów dolarów, a może i więcej.

- Nic o tym nie wiedziałem – przyznał się szczerze.

- To żadna ujma na honorze. Nic w tym dziwnego – usłyszał na pocieszenie. – Do tej pory wiedziało o tym tylko paru ludzi. Jutro będzie huczał o tym cały świat.

Nagła błyskawica zrozumienia oświetliła jego umysł. Poczul się jakby ktoś wprawnie uderzył go w głowę wcale niemałą maczugą. Jedno już rozumiał. Marek chciał hodować zwierzynę. Zamiast tego znalazł ropę. Amerykanie dali mu obywatelstwo i medal. Też logiczne. Współwłaściciela takiego bogactwa trzeba skaptować na swoją stronę. To, że nic o tym nie wiedział też było zrozumiałe. Marek miał zwyczaj trzymać karty przy medalach i nigdy nie był zbyt wylewny. Wszystko niby cacy, tylko co on tu robi i jaka jest w tym wszystkim rola Tonnera? Jak to wszystko ma się do ich poszukiwań zaginionych skarbów III Rzeszy? Czy aby na pewno tylko o to w tym wszystkim chodzi? Co takiego wymyślił znowuż Marek i zapomniał o tym powiedzieć przymusowym uczestnikom tej gry? Jego stypendium naukowe zaczęło wyglądać dziwnie, żeby nie powiedzieć, że podejrzanie. Pytania i wątpliwości mnożyły się w zastraszającym tempie od chwili gdy postawił stopę na amerykańskiej ziemi. Chłodny umysł naukowca podpowiadał, że należy to uporządkować. Postanowił zacząć od sprawy ropy. To było aktualnie na tapecie.

- Taka inwestycja sporo kosztuje – rzucił na wabia.

- Oczywiście, ale nie potrzebujemy na to własnych pieniędzy. Od jutra kolejka chętnych chcących nam dać na to pieniądze będzie sięgała horyzontu.

Andrzej ze zrozumieniem skinął głową. To mógł przyjąć za prawdę objawioną. Rzeczywiście, jeszcze nie zaczęli wydobywać ropy, a już byli nieprzyzwoicie bogaci. Nie licząc tego co zarobili razem do tej pory. Coś musiało być w tym ludowym przysłowiu, że bogatemu, to nawet diabeł kołysze dzieci do snu. Podchodzili do lądowania przy domu Tonnera. Ta podniebna rozmowa dobiegła końca. Nadal czuł się jak metafizyk – ślepiec szukający w ciemnym pokoju czarnego kapelusza, którego tam nie ma. Spojrzał na zegarek. Minęły prawie cztery godziny od chwili startu. Czekał go jeszcze obiad i najdziwniejsza wizyta w jego życiu dobiegnie końca.

*

Andrzej poprawił się na wygodnym skórzanym siedzeniu w kabinie „kieszonkowego” odrzutowca Tonnera. Tak jak poprzednio był jedynym pasażerem na pokładzie. Procedurę pożegnania miał za sobą. Gospodarz odprowadził go do samego trapu wejściowego samolotu. Na pożegnanie wręczył mu swoją wizytówkę. Gdyby napotkał jakieś problemy miał dzwonić bezpośrednio do niego. Wyciągnął wizytówkę z górnej kieszeni marynarki, gdzie ją włożył poprzednio. Już w chwili jak ją otrzymał wzbudziła jego zainteresowanie. Nie wypadało jednak oglądać jej w obecności ofiarodawcy. Przyjrzał się jej uważnie. Na białym kartoniku widniało imię i nazwisko oraz numer telefonu komórkowego. W poprzek nabazgrany był własnoręczny podpis Tonnera. Żadnego tytułu i nazwy firmy. Dziwne. Nie przypominał sobie aby w swojej kolekcji wizytówek miał coś podobnego. Włożył ją z powrotem do kieszonki marynarki. Gdyby wiedział, że ten niepozorny kartonik ma siłę rażenia małej bomby atomowej, to zapewne obchodziłby się z nim bardziej pieczołowicie.

Rozdział III

Kopacz

Siedziba firmy Viking

Michał ze zdumieniem patrzył na dwóch mężczyzn, którzy prawie siłą wdarli się do jego gabinetu. Młodszy i niższy z ulizanymi włosami był profanacją mafiosa z gangsterskiego filmu. Drugi, o byczym karku wyglądał jak goryl wypuszczony przez pomyłkę z ogrodu zoologicznego. W oczach brakowało mu tylko błysku inteligencji tak charakterystycznej dla tego zwierzęcia. Czuł jak zalewa go jasna krew. Te dwie szumowiny w jednoznaczny sposób pogwałciły wszystkie znane mu zasady dobrego wychowania. Błada i przerażona twarz sekretarki stojącej za ich plecami w otwartych drzwiach dodatkowo podniosła mu poziom adrenaliny. Odczuł to jako osobistą zniewagę. Takich rzeczy nie puszczał płazem nikomu i nigdy.

Miał siły i środki, aby to zrobić od ręki. Firmowa służba ochrony była naprawdę na dobrym poziomie. Przyznał to nawet z pewną zazdrością komendant miejscowej policji. Konsultował z nim metody szkolenia i wyposażenia dla ludzi tam zatrudnionych. Wystarczyłby jeden sygnał, a dwójka bandziorów gorzko by żałowała, że nie zapukała do drzwi przed wejściem.

Było jednak pewne „ale”. Marek uczulił go na pewną rzecz. Miał zwracać szczególną uwagę na osoby i zdarzenia, które odbiegają od normalnego rytmu życia w Kopaczu. Mogły mieć coś wspólnego z ich poszukiwaniami i nie można było tego przegapić ani zlekceważyć. Skutecznie dbał, aby o tym nie zapominał. Właśnie to zastrzeżenie uruchomiło w jego umyśle projekcję zdarzeń, które miały miejsce w ubiegłym roku.

*

Faktycznie znaleźli prawdziwy skarb, ale nie tylko. Laboratorium w podziemiach zamku Lutzow stanowiło dla nich zagadkę. Prowadzone tam przez Niemców badania naukowe nadal skrywał mrok tajemnicy. Doskonale pamiętał niesamowite zdarzenia, które temu towarzyszyły. Sam miał przecież w tym niemały udział. Znalezione tam urządzenia i dokumentacja techniczna w znaczący sposób przekraczała jego zakres wiedzy technicznej. Ten temat sobie odpuścił. Nie chciał się znaleźć w sytuacji przedszkolaka, który w czasie poobiedniej drzemki próbuje zgłębić tajemnice fizyki kwantowej.

Członkowie „bandy czworga”, jak Andrzej ochrzcił ich grupę poszukiwaczy, miała różne zdania na ten temat. W końcu przeważyły argumenty wytoczone przez Marka. Zdecydowano szukać dalej i wyjaśnić jedną z zagadek II Wojny Światowej. Wiele za tym przemawiało. Niewyobrażalny stopień utajnienia obiektu. Tysiące ludzi, którzy zostali tam zamordowani, aby te działania nie ujrzały światła dziennego. To musiało budzić zastanowienie. Tym bardziej, że Niemcy badania prowadzili do ostatnich dni wojny. Dosłownie pod nosem Rosjan stojących na linii Odry. Musiało to być dla nich cholernie ważne skoro poszli na takie ryzyko. Czy broń nad którą wtedy pracowali mogła odmienić losy wojny? Tego nie można było wykluczyć. Sprawa niemieckich badań nad nowymi technologiami i bronią nowej generacji była dla niego mało znanym tematem. Skutecznie uzupełniały te braki informacje i wiadomości jakie usłyszał w trakcie poszukiwań z ust Marka. Niektóre były tak dziwne i niesamowite, że z trudem przyjmował je do wiadomości. Był zmuszony spojrzeć innym okiem na znaną mu z oficjalnych źródeł historię II Wojny Światowej i zastanowić się nad niektórymi jej aspektami.

Dlaczego do dzisiaj unika się tematu prowadzonych przez Niemców prac naukowo-badawczych? Dlaczego pomija milczeniem losy olbrzymiego majątku zagrabionego przez nich na terenie całej Europy? Mowa tu o dziesiątkach jeśli nie o setkach miliardów dolarów. Coś z tego zostało odnalezione i zwrócone prawowitym właścicielom, ale znaczną część nadal spowija mrok tajemnicy. Czy aby na pewno? Może ktoś korzysta z tej olbrzymiej fortuny zdobytej na krzywdzie i śmierci wielu milionów ludzi? Może warto uchylić rąbka tajemnicy i powiedzieć o tym całemu światu?

Możliwe, że Marek ma rację i niemieckie badania mogą mieć znaczenie nawet w dniu dzisiejszym. Ostatecznie w nauce liczy się pomysł i sama idea rozwiązania problemu. Bez wątpienia ciekawym przypadkiem byli tu Niemcy. Niemiecki casus rozwoju technologicznego z lat II Wojny Światowej musiało budzić poważne wątpliwości. Warto było się zastanowić skąd się to wszystko wzięło. Zupełnie inna sprawa było to, czy jest to bezpieczne zajęcie.

*

Opisanie słowami myśli kłębiących się w głowie Michała zabrałoby pewnie więcej czasu niż trwało to w rzeczywistości. Jemu zaś w znacznym stopniu ułatwiło to podjęcie decyzji. Obecna sytuacja nie należała do normalnych. Podpadała pod kategorię „ale”. W myśl zasady: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże” należało zorientować się o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. Wyrównanie rachunków za jego urażone ego i naukę dobrych manier należało odłożyć na później.

- Niech pani wraca do siebie – to było skierowane do sekretarki - Jak będę coś potrzebował, to dam znać – gestem ręki poprosił o zamknięcie drzwi.

- Panowie siadają! – gest ręki Michała proszącego sekretarkę o za mknienie drzwi przeszedł w namiastkę uprzejmego zaproszenia do zajęcia miejsc przy łączniku stojącym prostopadle do jego biurka. – Po „maluszk” na dobry początek? – zaproponował nieproszonym gościom. – Panowie siadają! – ponowił zaproszenie głosem wypranym z wszelkiej emocji, bo wydawało się, że nie zrozumieli jego poprzednich słów.

Osilek niepewnie spojrział na swojego kompana. Ten miał też nieszczególną minę. Nie byli przyzwyczajeni do podobnego traktowania. Ich potencjalne ofiary nigdy nie zachowywały się w podobny sposób. Albo stulały potulnie uszy, albo próbowały się stawiać. Z tymi ostatnimi mieli dodatkowy ubaw. Szybko uświadamiali opornemu, że oni mogą mu zrobić więcej. Tu mieli do czynienia z zupełnie nie znaną im sytuacją. To przekraczało poziom ich percepcji. Nie bardzo wiedzieli jak zareagować. Wiedzieli jednak jedno. Darmowej gorzały się nie lekceważy. Z pewną ostrożnością skinęli głowami i zajęli wskazane miejsca. Uważnie obserwowali poczynania Michała.

Ten wyćwiczonym ruchem sięgnął do drzwiczek po prawej stronie biurka, gdzie miał podręczny barek. Firma prowadziła ożywioną działalność inwestycyjną i miał do czynienia z różnymi kontrahentami. Życiowa konieczność wymusiła na nim zainstalowanie małego podręcznego składu alkoholu. Był to przydatny argument przy niektórych rozmowach. Sam był abstynentem z przekonania, ale wiedział do czego służą napoje wyskokowe. W podbramkowej sytuacji mógł wypić więcej niż niejedyn klient zaprawiony w bojach z niszczeniem morza alkoholu. Wprawnie napełnił trzy literatki i zostawił butelkę Finlandii na blacie biurka. Kolejne trzy literatki zostały napełnione sokiem pomarańczowym. Swoją zestaw do degustacji ustawił przy butelce, a pozostałe literatki trafiły na małą metalową tackę. Zakręcił nią na blacie i popchnął w kierunku siedzących. Zatrzymała się na środku łącznika. Dokładnie w miejscu, gdzie siedzieli nieproszeni goście. Ani jedna kropla nie spadła na tackę. Osilek z niemym uznaniem spojrział na Michała, a ten uśmiechnął się w duchu. To była niezła sztuczka. Zobaczył to na jakimś filmie i w wolnych chwilach wytrenował ten trik na własny użytek. Nieraz się przydawało. Na niektórych kontrahentach robiło odpowiednie wrażenie. Tak jak teraz.

- Zdrówko! – uniósł swoją literatkę do góry i opróżnił jednym haustem. Nawet się nie skrzywił. Powąchał sok w drugiej literatce i odstawił ją na bok.

- Na drugą nóżkę!? – zaproponował.

- No pewnie! – osilek przyglądał mu się z pewnymi oznakami szacunku.

Zanim w butelce pokazało się dno, Michał wiedział pewnie więcej niż goście zamierzali mu powiedzieć. Pożegnanie było bardziej kordialne niż by tego sobie życzył, ale czego się nie robi dla dobrej sprawy. Dziwnym przypadkiem zapomniał ich odprowadzić do drzwi. Skoro sami znaleźli tu drogę, to zapewne mogli też sami trafić do wyjścia. Z grzecznością nieraz nie można przesadzać. Ci ludzie mogli to odczytać jako oznakę słabości. Byłoby w tym więcej poufałości niż znajomości, a na tym wcale mu nie zależało. Podeszedł do okna wychodzącego na firmowy parking. Patrzył jak w miarę pewnym krokiem zdążają do czarnego BMW. W środku widział kierowcę i jeszcze jednego mężczyznę. Wrócił do biurka i z zastanowieniem popatrzył na leżący tam kawałek papieru. Faktura za ochronę. Wystawiona na firmę Viking. Wszystkie dane były wypisane prawidłowo. Przyszli z „gotowcem”. To nie mógł być przypadek. Ktoś im te dane dostarczył wcześniej. Miał już pewne pomysły jak rozwiązać problem, ale uznał że wymaga to jeszcze drobnej konsultacji. Podniósł słuchawkę telefonu i wystukał doskonale mu znany numer.

Poznań

Gabinet prezesa spółki Hubertus.

Marek oddawał się błogiemu lenistwu nic nie robienia. Przed chwilą oddał sekretarce ostatnie podpisane dokumenty do wysłania i w nagrodę dostał drugą kawę w tym dniu. Od pewnego czasu usiłował rozwiązać pewną zagadkę. Od czasu jak lekarz zalecił mu ograniczenie konsumpcji tej używki, dwie kobiety skutecznie nad tym czuwały. Jego żona i sekretarka. Dzisiaj trochę zasnął i w domu nie pił kawy. Pewnie dlatego dostał teraz drugą filiżankę. Nie chciało mu się wierzyć, że dzwonią do siebie w tej sprawie, ale zawsze były na bieżąco poinformowane ile już zdążył wypić. Zmowa była tak skuteczna, że do dzisiaj nie mógł wpaść na czym to polega. Oczywiście, mógł kazać sobie w pracy podać kolejną kawę, ale nie byłoby to właściwe rozwiązanie. Zepsułby tylko zabawę jaką było dbanie o jego ponoć zagrożone zdrowie. Spojrzał z niechęcią na dzwoniący telefon, który przerwał mu coraz bardziej fantastyczne spekulacje jak to wszystko działa.

- Cześć stary rżęchu – usłyszał i od razu się zaniepokoił.

Za długo znał Michała, żeby nie wyczuć w tym powitaniu zaczątku poważnych kłopotów. Do ekipy poszukiwaczy wybrał go z uwagi na rozliczne zalety. Nie było wśród nich talentów towarzyskich i nienagannego wychowania. Prawdę mówiąc, obie te cechy posiadał w stopniu zaledwie podstawowym.

- Co się stało?

- „Dresiarze” złożyli mi wizytę.

- Lubię jak się łysi ciągną się za włosy – zażartował.

- Nie ucz ojca dzieci robić. Wiem jak się robi sałatkę z buraków. Najlepiej wrzucić granat do BMW, ale jak chcesz ożywienia dyskusji, to... – Michał zawiesił głos.

- Co przez to rozumiesz? Jak dotąd nie było żadnych kłopotów.

- Tak samo gadał pewien facet, który wypadł z okna. Nawet wtedy, gdy miał jeszcze dziesięć pięter do chodnika.

- Naprawdę? Skąd wiesz?

- Na pewno nie z autopsji – wymruczał Michał.

- Wygląda więc na to, że nie mamy na co czekać i lepiej będzie jak poradzimy sobie sami. W myśl zasady, że Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają.

- Jakieś propozycje? – Michał był bardzo konkretny.

- Pozwól, że sam się tym zajmę.

- Ty!?

- Tak. Przecież jesteśmy współnikami. Bozia podobno kazała się dzielić przyjemnościami.

- Hm... - słychać było, że Michał się zastanawia. – Znam twoją maksymę: *”Suum cuique”* – czyli, każdemu według zasług, jeśli dobrze pamiętam. Uważasz, że to najlepszy sposób?

- Uważam, że to jedyny sposób. Chcesz się pozbyć problemu czy zaognić sytuację?

- Jesteś dżentelmenem, więc nie powiem ci jak chciałbym się pozbyć problemu.

- Możesz być spokojny. Wszystko zostanie w rodzinie. Jutro w południe będę u ciebie.

- Dobrze, czekam. Na razie – w słuchawce zabuczał sygnał przerwanej połączenia.

Marek powoli odłożył słuchawkę i wrócił myślą do nie tak dalekiej przeszłości. Rok temu namówił Michała, Andrzeja i Wieśka do udziału w poszukiwaniach zaginionego skarbu III Rzeszy. Poszukiwania miał maskować projekt budowy wyciągu narciarskiego pod szyldem firmy „Viking”. Ku jego pewnemu zaskoczeniu obydwie rzeczy zakończyły się pełnym sukcesem. Znaleźli złoto i jeszcze coś, a ośrodek sportów zimowych został zbudowany i święcił pierwsze triumfy na narciarskiej mapie Polski pod kierownictwem Michała. W trakcie poszukiwań tylko raz próbowano zablokować im możliwości penetracji terenu zamku Lutzow. Później już nic się nie działo. Do dzisiaj. Żaden rodzaj rozgłosu nie był rzeczą za którą by szczególnie przepadał. ”Trzeba to mądrze i skutecznie załatwić”. – z tą myślą podniósł słuchawkę telefonu i przeprowadził parę dziwnych rozmów.

*

Kopacz

Siedziba firmy Viking

Marek przyjechał do Kopacza szybciej niż myślał. Droga była sucha i samochód sam pędził jak na spotkanie z ukochaną. Podjechał do siedziby firmy „Viking”. Wszedł do pokoju prezesa, jak to obwieszczała wszem i wobec mosiężna tabliczka na drzwiach. Przywitał się z Michałem. Dostał ulubioną kawę i wysłuchał relacji z próby wymuszenia haraczu.

Z namysłem patrzył na fakturę, którą trzymał w ręce. Jako wystawca figurowała jakaś spółka „zoologiczna” z Katowic z siedzibą przy ulicy Jana Pawła II numer 69. „Chłopcy” przedstawili Michałowi dwie formy płacenia za „ochronę”. Co tydzień po 1000 złotych do rąk ich kasjera lub co miesiąc 5000 złotych płatne przelewem na konto ich firmy. To nie byli zwykli pajace od bejsbola. Śmierdziało z daleka zorganizowaną grupą przestępczą. Zapewne warto by było wiedzieć z kim ze świecznika jest powiązana ta grupa, ale to można było wyjaśnić później. Tym bardziej, że Michał przebierał już nogami. Chciał znać jego zdanie w tej materii.

- Zdesperowani ludzie robią desperackie rzeczy – obwieścił Marek.
- Co zamierzasz więc zrobić? – Michał domagał się jasnej odpowiedzi.
- Tylko bandyta może schwytać bandytę.
- Że jak? – Michał wytrzeszczył na niego oczy.
- Trzeba ich przestraszyć na śmierć. To będzie łatwe jak napad na ślepego.
- Piłeś już coś dzisiaj? – Michał podejrzliwie patrzył na niego.
- Jeszcze nie, ale cały wieczór przed nami – Marek uśmiechał się pogodnie.
- Przecież to wymaga kupy przygotowań – spojrzał mu w oczy. – A... ,jadę z drewnem do lasu – domyślił się.
- Tak jakby.– piwne oczy Marka trochę ściemniały, a Michał poczuł mrówki wędrujące mu po krzyżu. Już raz widział to spojrzenie, gdy próbowano im przeszkodzić w poszukiwaniach. Próbujący to zrobić poparzyli sobie wtedy chyba coś więcej niż same palce.
- Z niechęcią, ale zgadzam się z tobą – wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Co mam robić?
- Nic. Kiedy mają przyjechać po odpowiedź?
- W sobotę
- Poczekam – łaskawie zgodził się Marek i zgłosił dodatkowe zapotrzebowanie. – W piątek każ podstawić na parking przed biurem firmowego blaszanego busa i Reno Cango.

Załatwione – Michał nawet nie próbował pytać po co. Wiedział, że jak przyjdzie czas i pora, to dowie się wszystkiego co powinien wiedzieć. Ważne było tylko to, że Marek miał już plan i problem można było uznać za załatwiony.

- A co z tymi znalezionymi obrazami co mieliśmy je zwrócić naszemu dziedzictwu kulturalnemu? – zmienił temat.

„No właśnie!” - Marek zamyślił się na chwilę. - „Jak tu zρέcznie przyznać się do swojej porażki w tej sprawie. Zanim dokopali się do złota w podziemiach zamku Lutzow znaleźli inne bardzo wartościowe rzeczy. Wśród nich były trzy obrazy mające istotne znaczenie dla polskiej kultury.”

„Rafał” był olejnym obrazem namalowanym na desce parkietowej o wymiarach 75 na 59 centymetrów przez samego Rafaela Santi. Został zrabowany przez Niemców w 1940 roku ze Zbioru Książąt Czartoryskich w Krakowie. Drugi, to „Śniadanie” Willema van Aelsta. Olej, płótno o wymiarach 54,5 na 41,7 centymetra. Zarekwirowane przez Niemców ze zbiorów księcia Janusza Radziwiłłwa w Nieborowie. Trzeci był - „Czas obnaża piękność”. Pejzaż alegoryczny Pari Bardone. Olej, płótno o wymiarach 126 na 177 centymetrów. Wywieziony przez hitlerowców z pałacu Branickich w Wilanowie.

Cała czwórka jednogłośnie postanowiła wtedy, że dzieła te muszą wrócić w ręce prawowitych właścicieli. Zbyt pochopnie przyjął wtedy na siebie obowiązek, że znajdzie sposób na zwrócenie tych dzieł bez zbędnego szumu. Sprawa nie była taka prosta, jak to się z początku mu wydawało. Oczywistym było, że należy to zwrócić w taki sposób, żeby nie wyszło na jaw ich uczestnictwo w tym odkryciu. Obrazy były powszechnie znane i do dzisiaj figurowały w katalogu zaginionych w czasie II Wojny Światowej dzieł sztuki dziedzictwa narodowego. Chcieli je oddać, a jednocześnie nie mogli się przyznać, że oni to znaleźli.

Przepisy prawa w tym „demokratycznym” kraju były tak skonstruowane, że nagrodą mógł być uścisk dłoni ministra kultury i honorowy dyplom uznania za głupotę, że to zgłosili. Później oglądaliby świat zza więziennych krat przez wiele lat. Takie rozwiązanie oczywiście nie mogło wchodzić w grę. Tym bardziej, że nie mieli żadnej ochoty tłumaczyć się co zrobili z pozostałą częścią znalezionego skarbu. Dwa podejścia Marka w tym kierunku zakończyły się totalnym niewypałem. W pierwszym przypadku wysoki rangą urzędnik z ministerstwa kultury okazał się pospolitym złodziejem. Dwa obrazy chciał oddać, ale trzeci zamierzał sprzedać prywatnie, aby podreperować swoje prywatne finanse. W drugim przypadku, szacowny poseł z sejmowej komisji kultury chciał na tym odkryciu wskoczyć na stołek ministra. Jego propozycje zostały ucięte we właściwy sposób i na razie był spokój.

Niemniej jednak sprawa powinna być załatwiona i nie dziwił się, że Michał o to zapytał. Miał jeszcze jedną koncepcję, ale o tym dopiero chciał porozmawiać tutaj na miejscu w Kopaczu.

- Jak na razie to... – zamilkł na chwilę, aby poszukać właściwego sformułowania.
- Daleś po prostu dupy – Michał był naprawdę bezpośredni w swoich ocenach.
- Można to tak określić – Marek uśmiechnął się z rozbawieniem. – Ale mam nowy pomysł i muszę pogadać z miejscowym proboszczem.

- Mógłbyś wymyślić lepszy pretekst, aby się napić jego wiśniówki. – powiedział Michał z pewną dozą zazdrości.

O wiśniowej nalewce na spirytusie robionej przez księdza proboszcza w Kopaczu chodziły legendy. Miał na to swój patent. Każdy kto tylko raz spróbował tego boskiego napoju, miał cichą nadzieję, że pokosztuje tego eliksiru jeszcze raz. Marek przez głupi przypadek został dopuszczony do wąskiej grupy osób, która bez specjalnych problemów miała dostęp do tego specjału. Jeszcze zanim zaczęli na poważnie szukać skarbów na terenie Kopacza zaliczył spektakularną wpadkę na uroczystym zebraniu w gminie. Wrobił go w to niechcąc Michał i tak to wtedy ocenił. Byli jednak tacy, którzy widzieli to inaczej. Wtedy to, ksiądz zaprosił go na wieczornego brydża. Tak zaczęła się ta dziwna znajomość. Katolickiego księdza i świeckiego niedowiarka z komunistycznym rodowodem, jak by to określiła obecna prawicowa nomenklatura. Nigdy nie miał zaufania do facetów chodzących w sukienkach, ale przyjął to zaproszenie powodowany ciekawością. Do tej pory nie żałował tej decyzji. To był prawdziwy mężczyzna i normalny człowiek.

- Spróbuję ci załatwić butelkę tego nektaru – obiecał bez specjalnego przekonania.
- Czekaj tatka latka – Michał bardzo pesymistycznie ocenił jego obietnicę. – A może załatwisz mi zaproszenie na wasze wieczorne spotkania? – wypalił z błyskiem w oku.

- Przecież nie nauczyłeś się jeszcze grać w brydża – zdumiał się Marek.
- No to co! – Michał zastanowił się przez moment. – Ale mógłbym pójść z tobą i udawać barmana.

- Marek zaczął się śmiać. – Dobrze! Zobaczą co się da zrobić!
- Michał przyglądał mu się wzrokiem syna, któremu ojciec obiecuje gruszki na wierzbie.
- Lepiej żeby to była prawda – powiedział ze śmiertelną powagą.
- Słowo harcerza sprzed 1989 roku – Marek podniósł do góry dwa palce prawej ręki.
- Niech ci będzie moja krzywda – zgodził się łaskawie Michał.
- Myślałeś trochę nad tymi dokumentami, co je znaleźliśmy w podziemiach zamku Lutzow? – teraz Marek zmienił temat rozmowy.

- Tak. Myślę, że warto by było poszperać jeszcze w okolicy Kopacza. Pogadamy o tym w naszym domu firmowym. Teraz jedź i umów się z księdzem – Michał w widoczny sposób nie tracił nadziei na otrzymanie obiecanej butelki.

- Tak jest panie prezesie – Marek zasalutował do gołej głowy i wyszedł.

*

Michał widział z okna swojego gabinetu jak Marek wsiada do swojego samochodu i odjeżdża. Znał go już tyle lat, ale tego nie mógł zrozumieć. Stać go było na najnowszego mercedesa, a jeździł Skodą Superb. Nadmiar skromności? Nie, chyba nie o to tu chodziło. Zresztą ten samochód tylko z pozoru wyglądał tak niepozornie. Miał zainstalowane wszystkie znane systemy podnoszące bezpieczeństwo jazdy, które w taki zestawieniu trudno było nawet spotkać w najnowszych renomowanych markach. Silnik zapewne wyszedł jako seryjna produkcja, ale musiał go dotykać niezły magik od techniki. Przekonał się o tym sam na własnej skórze jak chciał kiedyś przestawić Skodę na podjeździe ich domu firmowego. Nieostrożnie nadepnął pedał gazu i poczuł się jak za sterami rakiety próbującej wystartować bez zgody kierującego. Ledwo wtedy wyhamował przed metalowym ogrodzeniem. Miał zresztą niejasne wrażenie, że wewnątrz tego wozu kryje jeszcze inne niespodzianki. Jednak do kompletu bajerów brakowało pewnych istotnych elementów, tak ulubionych przez obecnych nowobogackich. W widoczny sposób brakowało złotych klamek oraz mahoniowej boazerii z barkiem wewnątrz i fortepianu z wodotryskiem. Uśmiechnął się pod nosem. Na to zapewne nikt by nie zdołałby namówić Marka.

Wrócił myślą do efektów ich poszukiwań na terenie zamku Lutzow. Skarby skarbami, ale miał coraz większą pewność, że Marek szukał czegoś więcej. Pewnie swoim zwyczajem zapomniał im o tym powiedzieć. Chociaż, czasem człowiek woli milczeć i umrzeć, niż wyjść na durnia. To uczucie było mu znane i wcale nie dziwił się Markowi. Jego niektóre teorie mogły przyprawić o zawrót głowy.

Ba, mogłyby zburzyć nawet ten porządek świata, gdyby okazały się prawdziwe. Tym bardziej, że to co znaleźli w podziemiach zamku zmuszało do poważnego zastanowienia się. Co było takiego ważnego w tych dwóch podziemnych laboratoriach, że Niemcy byli gotowi poświęcić 10 ton złota, aby nikt tam nie dotarł. Zabezpieczenia broniące do nich dostępu rosły prawie w postępie geometrycznym, gdy udało się sforsować pierwsze z nich. Śmierć miała być jedyną nagrodą dla każdego niewtajemniczonego chcącego się tam dostać.

Niemcy nie przewidzieli jednak wszystkiego. Tereny te uważali za swoje i zapewne zamierzali tam wrócić, gdy uspokoi się powojenna zawierucha po ich klęsce. Stało się jednak inaczej. Tereny te wróciły do Polski i stracili do nich dostęp. Nie przewidzieli też, jaki sprzęt do poszukiwań znajdzie się w ich rękach. No i udziału Andrzeja w ich ekipie poszukiwaczy. Historyka zajmującego się dziejami II Wojny Światowej i kompletnego ignoranta w sprawach politechnicznych. To jego „niekonwencjonalne” podejście do techniki i nietypowe uwagi znacznie przyczyniły się do znalezienia tajnych laboratoriów.

Pierwsze laboratorium do dzisiaj stanowiło dla nich zagadkę. Zbudowane pod drugą kondygnacją podziemi zamku sięgało jeszcze 23 metry w głąb ziemi. Ze znalezionych dokumentów wiedzieli, że do jego budowy zużyto tysiące ton stali i betonu. Robotnicy którzy to zbudowali, rozpląnęli się w mrokach tajemnic II Wojny Światowej. Dzięki Andrzejowi wiedzieli jak to się odbyło.

Niemcy ściągnęli w to miejsce prawie tysiąc wysokokwalifikowanych specjalistów z branży budowlanej. Wybrali ich z obozów koncentracyjnych i obozów pracy. Wszyscy zostali wysłani do specjalnego komando budowlanego. Pewnego dnia komando zostało rozwiązane, a ludzie tam delegowani zostali skreśleni z ewidencji obozów, które ich tam wysłało. Sprawa była oczywista. Zrobili swoje i zostali zlikwidowani. Niemcu nie mogli dopuścić, żeby ktoś się dowiedział gdzie byli i co robili. Tajemnica musiała być chroniona za wszelką cenę. I była. Niemcy nie wahali się popełniać jeszcze większych zbrodni, aby ukryć swoje poczynania przed przypadkowym ujawnieniem. Można było odnieść wrażenie, że mieli niezłego hopla na punkcie utrzymania swoich niektórych poczynąń w tajemnicy. Dziesiątki lat, jakie minęły od 1945 roku, pokazały jak skuteczne były te działania.

Do dzisiaj, niektóre z ich prac badawczych z okresu II wojny są okryte mgłą tajemnicy. Tak, jak to laboratorium, które znaleźli w podziemiach zamku. Ich pierwsze podejrzenie, że mają do czynienia z prototypem reaktora atomowego było błędne. Zmierzyli i dokładnie opisali swoje znalezisko. Żaden z indagowanych specjalistów nie umiał powiedzieć do czego to może służyć. Wykorzystanie tego obiektu do prac badawczych nad techniką jądrową zostało jednak całkowicie wykluczone.

Zainstalowane tam przegrody z bloków czystego grafitu, ołowiane osłony i inne zabezpieczenia przed różnym formami promieniowania zmuszały jednak do zastanowienia. Żelbetonowe ściany miały w najcieńszym miejscu trzy metry grubości i potęgowały jeszcze to wrażenie. Wyglądało to tak, jakby przyszli użytkownicy tego miejsca nie byli tak do końca pewni, z jakim rodzajem promieniowania będą mieć do czynienia w trakcie prowadzonych badań. Dodatkowy mętlik wprowadzały znalezione tam precyzyjnie wykonane elementy z czystej platyny i jej stopów. Były przygotowane do zamontowania w laboratorium. Wyczytali to z metryczek technicznych, jakie znaleźli przy niektórych elementach. Zważyli znalezione detale i wyszło im 2560 kilogramów. Platyna zużyta do ich wykonania warta była już wtedy kupę pieniędzy, a dzisiaj stanowiła małą fortunę. Nie zdecydowali się jednak, żeby to zamienić na miliony dolarów. Odłożyli wszystko na bok i schowali w bezpiecznym miejscu.

Wydawało się, że jest to jedyne rozsądne rozwiązanie, jeżeli w przyszłości chcieliby wyjaśnić tajemnicę tej budowli. Mieli taki szczerzy zamiar, ale dobrymi chęciami dno piekła jest wybrukowane. Chociaż mogli mieć tu rację, że to się może udać.

Obiekt został przecież zbudowany według precyzyjnych planów. To, że nie natrafili na żaden ślad dokumentacji technicznej budowy nie miał tu specjalnego znaczenia. Gdzieś to musiało być schowane, a skoro człowiek schował to i człowiek może znaleźć. Stan wykończenia laboratorium jednoznacznie sugerował, że wszystkie prace budowlane i pomocnicze zostały wykonane do końca. Należało tylko zamontować odpowiednie wyposażenie techniczne i można było przystąpić do prac badawczych. Z jakiegoś nieznanego im powodu, ten sprzęt nigdy nie dotarł na miejsce. To, że leży sobie gdzieś martwym bykiem i czeka na swojego odkrywcę nie podlegało żadnej dyskusji. Nawet najbardziej szalony Führer nie poświęci dziesięciu ton złota i nie każe zbudować kosmicznego

systemu zabezpieczeń przed niepowołanymi osobami dla samej tylko zabawy. Tak chroni się tylko najważniejsze tajemnice państwowe.

Znalezione platynowe elementy wyposażenia też wskazywały na to, że Niemcy sprawę traktowali bardzo poważnie. Nic więc dziwnego, że każdy chętnie by się dowiedział o co w tym wszystkim chodzi. Tylko, że chcieć, a móc, to dwie zupełnie różne sprawy. Nie wszyscy potrafią zdać sobie sprawę, że nieraz dzieli je przepaść nie do przebycia. A szkoda. Dotyczy to szczególnie polskich polityków, których specjalnością jest wielokrotne urodzenie się do wielkich ról. Zawsze w wyniku niepokalanego poczucia. Na szczęście ten syndrom nie dotknął żadnego z czterech poszukiwaczy. Była więc duża szansa, że prawidłowa ocena sił do zamiarów, pozwoli im odkryć tajemnicę obiektu.

Drugie laboratorium było mniej tajemnicze. Chociaż, jak to bywa w życiu – pozory często mylą. Pracowano tam nad uzyskaniem pewnego stopu metalu. Tego byli pewni. Mieli w rękach gotowe elementy z tego wykonane i widzieli konstrukcje z tego zrobione. Było tylko jedno „ale”. Wszystko wskazywało na to, że Niemcy nie wytworzyli tego sami. Musieli gdzieś to znaleźć i przywieźli wszystko do podziemi zamku. Znaleziony przez nich w kasie pancernej laboratorium manuskrypt w sanskrycie i jego tłumaczenie na niemiecki jednoznacznie na to wskazywało. Chociaż ten niemiecki przekład był trochę dziwny.

Tłumacz może i znał biegle sanskryt, ale wiedza techniczna była mu chyba całkowicie obca. Można było odnieść wrażenie, że kompresję nosił w wiadrach, a energię elektryczną waży w kilogramach. Cel ich badań nie pozostawiał jednak żadnych wątpliwości. Chcieli opanować technologię wytwarzania takiego stopu. Oni też byli ciekawi co to właściwie jest i dali stop do zbadania. Wyniki ekspertyz były szokujące. Oczywiście nie zrobiły im się wielkie jak spodki, ale mieli o czym myśleć. Taki stop nie miał prawa istnieć! Lżejszy od aluminium i twardszy niż tytan czy diament. Nie ulegający korozji. Miał też i inne właściwości, które nie wszyscy eksperci zauważyli. Jedni to potrafili wykryć, a drudzy nie. To też było zastanawiające. Końcowa ocena była jednak zawsze taka sama. Technologia XXI wieku nie była w stanie stworzyć czegoś takiego.

Jeśli się wzięło pod uwagę, że Niemcy pracowali nad tym w czasie II Wojny Światowej, to było się nad czym zastanawiać. Implikacje wynikające z posiadania technologii wytwarzania takiego stopu były oszałamiające. Pocisk karabinowy wykonany z niego wchodziłby jak w masło w pancierz czołgowy i rozprużyłby każdy samolot. Czołg i samolot wykonany z niego byłby prawie niezniszczalny dla broni znanej w czasie II Wojny Światowej. Niemcy podbili by nie tylko Europę.

Nawet dzisiaj taka technologia zapewniałaby jego posiadaczowi hegemonię w całym świecie. Nawet jeśli wykluczymy aspekt militarny. Oznacza to rewolucję w całym przemyśle metalurgicznym na świecie i w dziedzinie podboju Kosmosu. Milionów ton stali i żelaza nie będzie zżerała corocznie korozja. Ręce ludzkie stworzą urządzenia i konstrukcje o jakich nawet w tej chwili nie marzymy. Super wytrzymałe kadłuby statków kosmicznych i stacji orbitalnych pozwolą ludzkości zgłębić tajemnice Kosmosu. Kolonizacja Księżyca i Marsa może stać się rzeczywistością.

Nic więc dziwnego, że czwórka poszukiwaczy była żywotnie zainteresowana wyjaśnieniem tej tajemnicy i dalszymi poszukiwaniami. Pomysłami i hipotezami Marka można było swobodnie obdzielić legion zwykłych ludzi. Andrzej doskonale wiedział jak się poruszać w tajemniczych labiryntach archiwów. Pozostała dwójka, Michał i Wiesiek, też nie wypadła sroce spod ogona. Los dał im w ręce szansę i chcieli ją wykorzystać. Jak to zwykle bywa na początku było więcej pytań niż odpowiedzi. Mieli jednak pewien trop. Manuskrypt w sanskrycie wskazał im kierunek poszukiwań. Wnioski jakie z tego płynęły wprawiły ich jednak w pewne zakłopotanie. Były zbyt fantastyczne nawet jak na ich otwarte umysły poszukiwaczy skarbów. Musieli się z tym oswoić aby ruszyć do dalszych poszukiwań w tym kierunku i nawet nie przypuszczali jakie niespodzianki gotuje im los na tej drodze.

*

Już na początku lat trzydziestych XX wieku Niemcy prowadzili w swoich laboratoriach uniwersyteckich wiele interesujących prac teoretycznych i doświadczeń z zakresu matematyki i fizyki. Środki finansowe jakie na to przeznaczali nie były oszałamiające. Jednak w wielu dziedzinach wyprzedzili świat o 30-50 lat. Już samo to jest niewiarygodne. Tym bardziej, że dokonało się to skokowo i w stosunkowo krótkim czasie. Rodzi to zasadnicze pytanie. Skąd wiedzieli na jakie kierunki postawić? Ówczesny świat akademicki nie mógł im dostarczyć tego typu informacji. Ponadto, już po wojnie okazało się, że wiedza ta była w wielu dziedzinach stosunkowo kompletna. Do

1939 roku wiele nagród Nobla w dziedzinie matematyki, fizyki i pozostałych nauk ścisłych przypadło obywatelom III Rzeszy.

Przypadek czy nagły wysyp geniuszy? Można w to poważnie wątpić. Odnosi się raczej wrażenie, że wiedzieli gdzie i czego szukać. Jakie kierunki nauki należy rozwijać, aby III Rzesza rosła w siłę i potęgę. Trzeba też pamiętać, że był to okres, gdy wielu wybitnych niemieckich naukowców pochodzenia żydowskiego na czele z Albertem Einsteinem musiało uciekać z hitlerowskich Niemiec, aby po prostu ratować swoje życie. Źródłem tych sukcesów musiało być więc coś innego, a ich trop prowadził do ... Tybetu.

Niemcy organizowali systematyczne wyprawy do Tybetu w latach 1934-1943. Były one doskonale przygotowane i zorganizowane. Odnosi się nieodparte wrażenie, że były one poprzedzone intensywnymi przygotowaniem i badaniami interesujących Niemców zagadnień. Oni wiedzieli dokładnie czego szukają. Realizatorzy filmu „Tajemnice Trzeciej Rzeszy” sugerują, że inspiracją do tych poszukiwań był kontakt medialny z wysoko rozwiniętą cywilizacją z układu planetarnego Aldebarana i stąd miała też pochodzić ich częściowa wiedza. Możliwe, że tak było. Trudno jednak sobie wyobrazić, że zostanie to teraz potwierdzone przez niezależne i możliwe do zweryfikowania źródła.

Niemieckie ekspedycje do Tybetu i Indii były osobiście popierane przez samego Heinricha Himmlera, a i sam Hitler patrzył na to przychylnym okiem. Kierował nimi dr Ernst Schafer z „Deutsche Ahnenerbe”, członek SS od 1933 roku. Był on nie tylko wysokiej rangą oficerem SS, ale także członkiem osobistego sztabu Himmlera. Wiedział więc o rzeczach i sprawach do których nie miało dostępu wielu prominentów III Rzeszy. Przed końcem wojny zniknął w równie tajemniczy sposób jak tajemnicze były sprawy którymi się zajmował. Dowództwo SS opłaciło anons w berlińskiej gazecie o jego śmierci w bliżej nie sprecyzowanym wypadku. Doprawdy, dziwny to sposób poinformowania świata, że oficer do specjalnych zadań zszedł z tego świata. Co prawda, naiwnych nie sieją, sami się rodzą, ale tu chyba Niemcy trochę przesadzili. Ewidentnie dodali o jeden grzybek do barszczu za dużo. Tym bardziej, że osobnik ten w cudowny sposób zmartwychwstał pod innym nazwiskiem i dożył późnej starości. W 1978 roku ktoś wypił za dużo wódki i sprawa się wydała. Różnie można o tym myśleć, ale taki kamuflaż musi budzić zastanowienie. Czemu ten człowiek był tak ważny dla Niemców? Jakie tajemnice znał i czego był świadkiem? Może jest to gdzieś zapisane i kiedyś ujrzy światło dzienne?

Jako oficjalny cel i powód organizowania ekspedycji do Tybetu podawano poszukiwania źródeł pochodzenia rasy aryjskiej. Możemy to spokojnie potraktować jako typowy kamuflaż skrywający właściwe cele. Nawet dzisiaj nikt nie uwierzy, że organizowano tak kosztowne i niebezpieczne wyprawy na wrogi Niemcom kontynent i to w czasie wojny w tym właśnie celu. Powstaje więc pytanie. Jakie cele były warte takiego wysiłku i ryzyka? Wszystkich odpowiedzi zapewne nigdy nie poznamy. Niemniej, o dwóch możemy z pewnością powiedzieć, że mimo zręcznego kamuflażu i wielu stopni utajnienia są nam znane.

Chodzi tu o poszukiwania tajnych starożytnych bibliotek oraz legendarnych miejsc znanych jako Shangri-La lub Shambala. Jeszcze niedawno duża część świata pukała się w czoło jak słyszała te nazwy. Obecnie nikt już nie podważa i nie neguje istnienia w Tybecie miejsc chronionych przed oczami niepowołanych osób. Znajdują się tam księgozbiory o ogromnej wartości historycznej i materialnej. Dotyczą także konkretnej wiedzy politechnicznej[technicznej] traktującej o rozwiązaniach technicznych do jakich ludzkość dopiero dochodzi obecnie.

Niesamowita sprawa, a jednak prawdziwa! Są to chyba jedyne miejsca na świecie do których nie sięgnęła „oświecona” ręka chrześcijańskiej Inkwizycji i innych wizjonerów podobnego typu. Jest więc zupełnie możliwe, że wiedza tam spoczywająca może zburzyć dotychczasowy porządek świata i napisać historię ludzkości na nowo. Tylko kto z trzymających obecnie władzę się na to zgodzi? – oto jest pytanie.

Informacje o takich zbiorach pojawiają się w literaturze międzywojennej i wcześniejszej. Te „zamknięte” skarbnice pradawnej wiedzy znajdują się w tybetańskich i hinduskich klasztorach. Tylko w nielicznych przypadkach pozwolono naukowcom zaglądnąć do niektórych z nich. Właśnie! – zaglądnąć, a nie dogłębnie je przestudiować. Zresztą i tak olbrzymia ich większość nie została do dzisiaj udostępniona nawet do wglądu zainteresowanym badaczom. Czy Niemcy znaleźli tam coś ważnego? Zapewne wielu się zdziwi, ale udzielona odpowiedź musi być twierdząca.

Oficjalnie wiadomo, że Niemcy weszli w posiadanie tzw. „Kangschur”. Jest to bogaty zbiór pism tybetańskich zawarty w 108 tomach. Informacja o tym wyciekła na zewnątrz i Niemcy zostali zmuszeni do jej potwierdzenia. O innych ich konkretnych odkryciach nie wiemy do dzisiaj nic. Czy mogły tam być informacje stanowiące wartość niemal strategiczną? Nie tylko mogły być, ale na pewno były. Jest tajemnicą poliszynela, że weszli w posiadanie informacji dotyczących budowy napędu antygravitacyjnego, które znajdują się w starych pismach tybetańskich i hinduskich. Wielu wzruszy ramionami słysząc takie „herezje”. Oczywiście, że może się to wydać rzeczą wręcz niemożliwą. Przecież nasza nauka XXI wieku dopiero przymierza się do tego problemu. Fakty są jednak inne. Określone informacje w tej dziedzinie znane już były w Europie w połowie XIX wieku. Kto i gdzie je opublikował? Chyba nietrudno zgadnąć. Niemcy! W 1824 roku przetłumaczyli i opublikowali hinduskie dzieło pod tytułem „Mahabharata”.

„W blasku światła pojawił się nagle niebiański wóz Indry. Przepędził ciemność i rozświetlił chmury. Nappełnił strony świata rykiem podobnym do grzmotu. Był to cudowny niebiański twór, od patrzenia aż bolały oczy. W tym podobnym Słońcu niebiańskim pojeździe Ardżuna uniósł się w górę. Kiedy zbliżył się do rejonów niedostępnych oczom śmiertelników, zobaczył inne niebiańskie pojazdy w liczbie wielu setek. Tam w górze nie świeci ani Słońce, ani Księżyc, nie lśni blaskiem nawet ogień. Widziane z Ziemi gwiazdy, które wyglądają jak odległe lampy, to w rzeczywistości wielkie ciała niebieskie.” –cytat - „MAHABHARATA”, wydanie polskie - MAYAPUR

Te słowa napisano parę tysięcy lat temu w sanskrycie. Dla nas nie ma w tym opisie nic niezwykłego. Jakiś tam kosmonauta wszedł sobie do statku kosmicznego i wybrał się na małą przejażdżkę w Kosmosie. Później wrócił na hinduską ziemię i opowiedział paru znajomym co tam zobaczył i ktoś to zapisał. Opowiastka jak setki innych. Problem pojawia się, gdy sobie uświadomimy jak dawno to było. Nie było wtedy Stanów Zjednoczonych Ameryki, Warszawy i całego znanego nam obecnie świata. O papieżu z Watykanu i Jezusie nikt wtedy jeszcze nie słyszał.

To kto zbudował te pojazdy i kto siedział za ich sterami? Pytanie niby retoryczne, ale ci co mogliby na nie odpowiedzieć, milczą. To jest tak jak z budową piramid. Archeolodzy wiedzą o niej wszystko, ale jak by im kazano postawić samodzielnie chociaż jedną, to się okaże nie mają zielonego pojęcia jak to zrobić przy obecnym stanie techniki. Uważają, że starożytni stali na niższym poziomie rozwoju i nic nie jest w stanie ich przekonać, że było inaczej. Nasi współcześni mędrcy i uczeni udają, że tematu nie ma. Oficjalna doktryna mówi tylko o przewodniej i oświeconej roli chrześcijańskiej Europy. Nasi poprzednicy byli ponoć za głupi, aby wymyślić więcej od nas. Nowe fakty wychodzą na światło dzienne, ale ludzi i organizacji trzymających władzę to nie interesuje. Ciekawe, że jedynie Niemcy sprytnie podłączyli swoje aryjskie pochodzenie do nieznanym nam przodków i dwa razy próbowali już zawładnąć światem. Czyżby ktoś dał im „cynk”, że warto skorzystać z zaginionej wiedzy? Kto to wie? Fakty są zastanawiające.

Od chwili przetłumaczenia „Mahabharaty” w 1924 roku mają dosyć nieortodoksyjne podejście do nauki. Doskonale znają starożytne dzieło pod tytułem „Vimaanika Shastra”. Opisano tu w ponad 6000 wierszach szczegóły budowy pozaziemskich maszyn latających. Jest to monumentalne dzieło poświęcone wyłącznie opisom technicznym maszyn latających znanych pod nazwą „vimany”. Tekst jest zapisany w sanskrycie i zawiera mnóstwo terminów trudnych czy wręcz niemożliwych do jednoznacznego zinterpretowania. O sensownym przetłumaczeniu nie ma więc mowy. Może to i dobrze. Skóra bowiem cierpnie jak się pomyśli, co by było, gdyby taka technologia dostała się w ręce szaleńca. Niemniej, do dzisiaj nie wiemy co tak naprawdę udało się Niemcom przywieźć z ich wypraw do Tybetu.

Może i świat kreśli z rozbawieniem kółko na czole jak słyszy o zaginionych cywilizacjach i ich technologiach, ale to też nie jest tak całkowicie do końca prawdą. Niemieckie działania w Tybecie zostały zauważone i o dziwo bardzo serio potraktowane przez Amerykanów. W 1942 roku zainstalowali oni w Tybecie swoją rezydenturę OSS. Zaraz po jej uruchomieniu pojawił się tam Bill Donovan i spędził tam sporo czasu. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że The Office of Strategic Services zostało powołane do życia w 1941 roku i jej szefem został właśnie Donovan, to było to dosyć dziwne posunięcie. Trudno uznać Amerykanów za idiotów wysyłających twórcę i szefa Biura Służb Strategicznych, czyli ich wywiadu strategicznego na takie zadupie dla zabawy. Sprawy, które się tam działy musiały mieć dla nich niebagatelne znaczenie. Czy tak było naprawdę? Trudno powiedzieć. Do dzisiaj wyniki działań amerykańskiej rezydentury są objęte klauzulą najwyższej tajności. To też jednak o czymś świadczy.

Są też inne fakty. Od długiego już czasu obserwujemy dążenie Chin do opanowania i przejęcia pełnej kontroli nad Tybetem. Wydaje się, że ostatnio dopięli swojego celu. Abstrahując od politycznego i militarnego belkotu w tej sprawie odnosi się nieodparte wrażenie, że chodzi tu o coś zupełnie innego. Po II wojnie światowej zlecili oni najlepszym na świecie hinduskim specjalistom od sanskrytu dokonanie analizy dostarczonych przez nich tybetańskich manuskryptów. Szef hinduskich naukowców, dr Ruth Reyna, nie wierzył własnym oczom gdy dokonano tłumaczenia. Manuskrypty zawierały dokładny i precyzyjny opis budowy statków międzyplanetarnych o napędzie antygravitacyjnym. Zostały tam one określone jako „astras”. Mało tego. W manuskryptach znaleźli oni też dokładny opis podróży na Księżyc. Nie ma się co dziwić hinduskim naukowcom, że mimo jednoznacznych wyników tłumaczenia, byli nieco sceptyczni co do samej treści. Zmienili jednak radykalnie swoje zdanie, gdy dowiedzieli się, że Chińczycy zamierzają wykorzystać tam zawartą wiedzę w swoim programie kosmicznym.

Ostatnie dni II Wojny Światowej przyniosły też dziwny i nie wyjaśniony do dzisiaj fakt o którym mało kto wie. Pięć dni przed śmiercią Hitlera, rosyjscy żołnierze znaleźli w berlińskim schronie sześć ciał ułożonych w okrąg. Byli to Tybetańczycy w strojach mnichów, którzy popełnili zbiorowe samobójstwo. Najważniejszy z nich w nietypowych zielonych okularach został zidentyfikowany później przez wywiad aliantów jako „Strażnik klucza”.

Oczywiście taki fakt nie mógł ująć uwadze Stalina i wydał on w tej sprawie jednoznaczne polecenia. Jako ideowy komunista nie wierzył w Boga i cuda, ale tym razem starczyło mu rozumu i wyobraźni, aby wyciągnąć właściwe wnioski. KGB ruszyło do akcji. Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti czyli Komitet Bezpieczeństwa Państwa wykonywał tak dziwne i często zbrodnicze zadania, że i to przyjęto do realizacji bez specjalnego zdziwienia. Czy byli zaskoczeni tym co odkryli? Zapewne tak, ale nigdy się o tym nie dowiemy. Mieli jednak siły i środki, aby uchylić rąbka tajemnicy.

KGB

KGB – (Komitet Gosudarstwiennoj Biezopasnosti -) – Komitet Bezpieczeństwa Państwa – ten złowieszczo brzmiący skrót – KGB – zna opinia publiczna w większości krajów świata. Przez wiele lat ta nazwa budziła strach i obawę, a nawet szacunek i podziw dla dokonań ludzi, którzy tam pracowali. KGB jest swojego rodzaju fenomenem XX wieku. Tak naprawdę to nie ma ono rywali ani w historii, ani w świecie współczesnym. Początki KGB sięgają 1920 roku. To wtedy Lenin ogłosił swoje „Naukowe podstawy dyktatury”, które uczą: *„Nie mniej i nie więcej niż pełnia władzy, opartej bezpośrednio na sile, nieograniczona i nie skrepowana niczym, żadnymi prawami, żadnymi niepodważalnymi regulami. Nic innego niż to.”* Oczywiście Lenin potrzebował do realizacji tego celu odpowiedniego człowieka. I znalazł go w swoim najbliższym otoczeniu. Feliks Dzierżyński należał do jego najbliższych i zaufanych współpracowników. Polak, pochodzący ze szlacheckiej rodziny, której dobra znajdują się obecnie na terenie Białorusi odebrał wykształcenie stosowne do swojej pozycji i przy okazji skutecznie zaraził się ideami głoszonymi przez Lenina. Poznali się osobiście i przypadli sobie do gustu, a później już razem maczali palce w robieniu rewolucji w Rosji. Nie ma w tym nic dziwnego. Tam gdzie dzieje się coś nowego i ciekawego, a przy okazji można za darmo zarobić guza, to zawsze znajdziemy jakiegoś Polaka. Tak było i tym razem. Feliks Dzierżyński stanął na wysokości zadania i szybko uzyskał przydomek „żelaznego Feliksa”.

Krótko o historii do końca NKWD.

W 1954 roku w miejsce stalinowskiej NKWD została powołana KGB. Zrobił to Nikita Siergiejewicz Chruszczow po dojściu do władzy. KGB zatrudniała wtedy ponad 420 tysięcy ludzi – nie licząc rozległej sieci tajnych współpracowników i osób współpracujących. Dysponowała ogromnymi środkami finansowymi i technicznymi. Kwatera główna KGB podzielona była na pięć głównych dyrekcji generalnych, które z kolei podzielone były na służby i departamenty. Ponadto istniały mniejsze, niezależne dyrekcje, którym powierzano zadania specjalistyczne.

Pierwsza Dyrekcja Generalna – prowadziła operacje KGB za granicą.

W jej ramach istniały trzy odrębne dyrekcje.

Dyrekcja S była najważniejsza i zajmowała się nielegalnymi agentami KGB na całym świecie. Działała niezależnie od pozostałych dyrekcji. Jeden z jej wydziałów werbował i szkolił sowieckich obywateli – kandydatów na nielegalnych agentów. Drugi wydział przygotowywał legendy i fałszywe dokumenty dla przyszłych agentów. Trzeci kierował agentami już umieszczonymi za granicą, a czwarty kierował oficerami wspierającymi nielegalnych, zatrudnionych w oficjalnych Rezydencjach za granicą.

KGB preferowała wysyłanie zespołu w postaci małżeństwa. Starano się dobierać młodych ludzi i aranżować ich małżeństwa. Przyszłego nielegalnego agenta szkolono indywidualnie przez 3-4 lata w bezpiecznych miejscach w Moskwie i gdzie indziej. Często nielegalni agenci spędzają parę lat za granicą, gdzie

przyzwyczajają się do tamtejszego życia i już tam budują swoją legendę, zanim zostaną zainstalowani w państwie docelowym.

W celu fałszowania dokumentów i opracowania legend, Pierwsza Dyrekcja Generalna kolekcjonowała drobiazgi z różnych krajów – foldery turystyczne, spisy telefonów, metryki urodzeń, świadectwa zgonów, plany miast, stare rozkłady jazdy, próbki odręcznego pisma miejscowych urzędników i wiele innych dupereli o których zwykły człowiek nie pomyśli, że mogą mieć jakieś znaczenie dla przyszłego szpiega i jego legendy. Oficerowie wspierający nielegalnych, znani w Rezydencjach jako członkowie Linii N, sami zbierali takie gadzety i werbowali na miejscu mniej ważnych agentów, aby powiększać w ten sposób te niezwykle zbiory. Najważniejszym obowiązkiem oficerów Linii N było jednak utrzymywanie łączności między nielegalnymi a Centralą. Wybierali w tym celu miejsca na skrytki, różnego rodzaju schowki na sprzęt oraz miejsca spotkań oficerów z Centrali z agentami. Napelniali i opróżniali skrytki. Najczęściej oficerowie Linii N byli oficjalnie zatrudnieni w wydziale konsularnym ambasady, gdzie mogli badać zagraniczne paszporty i zbierać pierwsze informacje o interesujących ich osobach. Szczególną uwagę poświęcali sprawom procedur imigracyjnych, gdyż jest to ważny element bezpieczeństwa dla instalowanych za granicą agentów.

W 1970 roku Dyrekcja S wchłonęła niezależny poprzednio Departament V, który zajmował się morderstwami i sabotażem. Spowodowane było to głównie ucieczką na Zachód Olega Lijalina, który później okazał się agentem brytyjskim. Przeorano wtedy ten departament i zwolniono lub zdegradowano całe naczalstwo, a jego przedstawicieli odwołano z wszystkich placówek zagranicznych. Szybko został on jednak odtworzony i rozbudowany jako Departament Ósmy. Od 1982 roku ponownie rozwinął skrzydła. Świadczył o tym ponowny rozkwit szkolenia adeptów terroryzmu i sabotażu w ośrodku treningowo-szkoleniowym Bałaszycha.

Dyrekcja T była drugą co do wielkości w Pierwszej Dyrekcji Generalnej. Zajmowała się zbieraniem danych wywiadowczych z dziedziny nauki i techniki. Kradzież najnowocześniejszych technologii i wynalazków była standardową metodą jej działania. Jej oficerowie byli w większości uczonymi lub ukończyli profesjonalne studia politechniczne. Często posiadali wysokie stopnie naukowe zdobyte w legalny sposób. Znali doskonale języki obce. Instytut badawczy Dyrekcji T mieścił się w pobliżu dworca Białoruskiego. Zatrudniał setki uczonych, analityków i profesjonalnych tłumaczy. To właśnie oni przekopywali się przez masę dokumentów dostarczanych przez Rezydencje z państw, które były przedmiotem zainteresowania Rosjan. Ich zadaniem było wyłowienie wszystkich informacji, które miały pomóc w utrzymaniu mocarstwowej roli Rosji na świecie. Oficerowie z Dyrekcji T i ich współpracownicy pracowali we wszystkich ministerstwach i instytucjach, które miały do czynienia z nauką i technologią. Szczególnie pieczołowicie obsadzone były te instytucje, które regularnie i oficjalnie kontaktowały się z zagranicznymi uczonymi. Każda rosyjska delegacja na zagraniczne sympozjum naukowe miała w swoim składzie oficera Dyrekcji T lub jej zaufanego współpracownika. Każdy zagraniczny kontakt rosyjskiego naukowca był kontrolowany. Jeżeli zdarzały się przypadki, gdzie nie miało to miejsca, to było to zazwyczaj tylko zwykłe przeoczenie ze strony KGB.

Dyrekcja T ściśle współpracowała z Państwowym Komitetem Nauki i Techniki oraz Akademią Nauk. Pozwalało to określić dokładnie potrzeby państwa i przygotować generalny plan działań dla uzyskania potrzebnych danych. Następnie przygotowywano określone zestawy pytań. Każdy zestaw był inny. Oficer w USA otrzymywał zestaw inny niż ten we Francji. Uzyskane odpowiedzi były analizowane w Centrali. Często w ten sposób następowało rozwiązanie problemu z którym Rosjanie nie mogą sobie poradzić na własnym podwórku. Wiedzą jaki obraz chcą uzyskać i z kilku puzzli układali ten oczekiwany. W podobny sposób uzyskiwali potrzebny im sprzęt techniczny czy wręcz całe fabryki. Potrzebne części były kupowane oddzielnie i z tych elementów montowano potem oczekiwaną całość. Takie postępowanie przynosiło wielorakie korzyści. Pozwalało na skuteczne ominięcie embarga nałożonego przez Zachód na Związek Radziecki. To czego nie mogli kupić oficjalnie sami, często było kupowane przez polską czy bułgarską firmę. Potem i tak trafiało to do Rosji i cel zostawał zrealizowany. Kupno czy kradzież poszczególnych detali zazwyczaj nie wzbudza szczególnych emocji służb powołanych do chronienia tajemnic danego państwa. Inaczej sprawa wygląda gdy chodzi o całą fabrykę czy całościowe rozwiązanie techniczne. Tu, cel uświęcał środki jakie były stosowane.

Oficerowie z Dyrekcji T pracujący za granicą byli określani jako Linia X. W krajach uprzemysłowionych stanowili oni znaczącą część personelu Rezydencji. Trudno ich było rozpoznać, gdyż w większości byli to rzeczywiście autentyczni uczeni czy inżynierowie z powodzeniem udający doradców technicznych czy też członków misji handlowych.

Dyrekcja K była znana jako Linia KR. Odpowiadała za penetrację zagranicznych wywiadów i służb bezpieczeństwa oraz za zachowanie ideowej prawomyślności przez obywateli rosyjskich przebywających za granicą. Współpracowała też z Ministerstwem Spraw Zagranicznych przy ochronie ambasad. Była podzielona na działy według kryterium geograficznego oraz funkcjonalnego. Wiele jej działów nieustannie próbowało werbować zagranicznych oficerów wywiadu i służb bezpieczeństwa na całym świecie. Wszystkimi tajnymi i

legalnymi metodami zbierała ona dane dotyczące obcych służb bezpieczeństwa i wywiadu. Dane personalne osób tam zatrudnionych, opisy ich struktur organizacyjnych i metody jakie wykorzystują w swojej pracy. Jeden z tajnych działów zajmował się penetracją organizacji terrorystycznych za granicą. Najbardziej tajny dział, po otrzymaniu stosownego upoważnienia od zastępcy szefa Pierwszej Dyrekcji Generalnej, mógł prześwietlić każdego oficera w Dyrekcji. Korzystał przy tym z wszelkich dostępnych środków jakie były w dyspozycji KGB.

W Pierwszej Dyrekcji Generalnej istniały także trzy ważne służby.

Służba I, którą czasami nazywano w KGB Służbą Pierwszą. Analizowała ona i rozpowszechniała informacje uzyskane przez wszystkie komórki wywiadu Pierwszej Dyrekcji Generalnej. Publikowała także codzienny biuletyn o bieżących wydarzeniach na świecie na potrzeby członków Politbiura. Ot, taka podręczna ściągą na potrzeby swoich polityków z najwyższej półki.

Politbiuro – Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego było naczelnym organem kontrolującym i zarządzającym całością życia w Związku Radzieckim.

Okresowo sporządzała na ich potrzeby także prognozy wydarzeń na świecie. Jedno jest warte podkreślenia. Raporty agentów uznane za szczególnie ważne były przedstawiane członkom Politbiura w surowej formie. Tak jak je otrzymano. Ich znaczenie mogli interpretować sami osobiście. W latach 70, Służba I była już trzecią co do wielkości w Dyrekcji Zagranicznej. Otrzymywała jednak tak dużo danych zbieranych tylko oficjalnymi kanałami, że nie starczało jej ludzi do weryfikacji tych danych. Zdarzało się więc, że nie była w stanie wykorzystać informacji uzyskanych od swoich tajnych agentów. Ta bolączka dotyka obecnie tajne służby USA. O tym co ma się zdarzyć w słynnym już dniu „11 września” mieli informacje w danych zebranych przez swoje służby. Zabrakło tylko ludzi, którzy by to właściwie odczytali i zinterpretowali. Ot, taki paradoks życia. Ci, którzy totalnie szpiegują wszystkich i wszystko, sami padają ofiarą takiego systemu.

Dwa razy w miesiącu, Służba I przekazywała do zagranicznych Rezydencji ocenę wszystkich raportów jakie w tym czasie wpłynęły od nich. Mogła także na ich żądanie dostarczyć oceny informacji dostarczanych przez danego agenta lub dany kontakt w określonym przedziale czasowym. Możemy powiedzieć, że Służba I dołożyła wiele sumienności i naukowego wysiłku, aby dostarczyć Politbiuru dokładnych i obiektywnych analiz. Co prawda, subtelnie retuszowała i preparowała wywiadowcze dane niepochlebne dla samych członków Politbiura, ale zawsze znalazła sposób, aby zreczenie zakomunikować te fakty. Jest sprawą oczywistą, że w prognozach długoterminowych Służba I musiała zachować daleko posuniętą ostrożność. Za każdy popełniony tutaj błąd, to jej oficerowie osobiście zbierali baty. Niemniej to oni w połowie lat 70-tych ośmieli się przepowiedzieć odrodzenie politycznego konserwatyzmu w USA i Europie Zachodniej. Na ile było to profesjonalne, możemy to teraz ocenić sami. Wygląda na to, że sami jemy teraz tą żabę, która z tego powstała.

Służba A czyli Służba Środków Aktywnych rozwinęła się w latach 70-tych z dawnego Departamentu A, znanego pod obiegową nazwą Departamentu Dezinformacji. Rozrosła się do jednego z największych elementów składowych KGB. Świadczy to, że Rosjanie postawili na środki aktywne jako metodę wywierania wpływu na bieg wydarzeń w skali światowej.

Służba A ściśle współpracowała z Wydziałem Międzynarodowym, Wydziałem Krajów Socjalistycznych oraz Wydziałem Informacji i Propagandy Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Zatrudniała utalentowanych oficerów o dosyć specyficznych uzdolnieniach. Te kryteria to: pomysłowość, zdolności pisarskie i analityczne, doskonała znajomość danego kraju czy określonego zagadnienia. Tylko tej grupie oficerów pozwalano na pewną dozę ekscentryczności i tolerowano nawet „szewskie poniedziałki”. Wynikało to po części z rodzaju wykonywanej przez nich pracy. Dużo pracowali z cudzoziemcami, których koleje losu zmusiły do szukania schronienia w Związku Radzieckim. Oni byli kopalnią informacji o wszelkich formach i subtelnościach języka kraju z jakiego pochodzili oraz stylu życia swoich niedawnych ziomeków. Znajomość takich detali jest bezcenna dla przyszłego szpiega. Służba miała własny sprzęt do produkcji doskonałej jakości fałszywych dokumentów i drukowania literatury, której źródło powstania było prawie niemożliwe do wyśledzenia. Jeden z wydziałów Agencji Prasowej Nowosti był w całości obsadzony przez oficerów tej służby, a na wydziałach humanistycznych Akademii Nauk Związku Radzieckiego było ich też bez liku. ----uzupełnić?

Kopacz

Kościół i plebania.

Marek zaparkował samochód na kościelnym parkingu. Jechał znacznie dłużej niż się spodziewał. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Pierwszy raz w Kopaczy był prawie dokładnie rok temu. Wtedy było to miasteczko, gdzie psy szczekają dupami. Taką cenę zapłaciła miejscowa społeczność za demokratyczne przemiany po 1989 roku. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Ruch był

bez mała jak na Polach Elizejskich w Paryżu w godzinach szczytu. Większą część spieszących się ludzi stanowili turyści. Ta nagła prosperita była po części ich zasługą, ale to burmistrz Kopacza dołożył do tego swoje trzy znaczące grosze. Jemu zachciało się szukać tutaj schowanych przez Niemców skarbów i zaproponował udział w tym przedsięwzięciu trzem wybranym przyjaciółom.

Później wszystko wymknęło się spod kontroli. Projekt budowy wyciągu narciarskiego mający maskować ich poszukiwania został zrealizowany. Odkryte muzeum górnictwa i restauracja w podziemiach na zboczu góry zostały przez nich odrestaurowane i były jedną z atrakcji turystycznych Kopacza. Znalezione skarby miały olbrzymią wartość materialną, a odkryte dwa niemieckie laboratoria naukowe sporo im namieszały w głowach. Zamknął drzwiczki samochodu i ruszył w stronę wejścia do kościoła. Przepuścił wychodzącą starszą kobietę ze spuszczoną głową.

- Pochwalony! – usłyszał od wychodzącej z kościoła.

- Na wieki wieków – wyrwało mu się odruchowo.

Zawsze uważał, że na grzeczności jeszcze nikt nie stracił. Szkoda tylko, że duża część współcześnie wygolonych półgłówków uważa to za oznakę słabości. Ci, którzy popełnili ten błąd w stosunku do jego osoby, mieli powody pamiętać to do końca życia. Kobieta podniosła głowę. W jej oczach błysnął cień rozpoznania. Nie był tu osobą anonimową.

- Ksiądz proboszcz poszedł przed chwilą do siebie – poinformowała go z uśmiechem.

- Uprzejmie dziękuję – Marek lekko skłonił głowę.

Zawrócił i ruszył w stronę plebani. Oczy parafian są dokładniejsze niż promienie Rentgena. Zauważono jego wizyty u księdza i część należnego mu splendoru spłynęła na niego. Były też i inne powody dla których miejscowi zwrócili uwagę na jego osobę. Nacisnął przycisk dzwonka. Po chwili drzwi się otworzyły.

-Dzień dobry! Chciałem się zobaczyć z księdzem proboszczem. Nie byłem umówiony.

Gospodyni skinęła głową przyjmując jego słowa do wiadomości.

-Proszę do środka. Myślę, że ksiądz proboszcz przyjmie pana.

Został posadzony w saloniku na dole, a gospodyni poszła zaanonsować jego przybycie. Po chwili zjawił się sam gospodarz. Z uśmiechem na ustach podszedł do niego.

-Witam, panie Marku. Jakie to dobre bogi pana sprowadzają? – powitalny uścisk prawie mu zmiądzzył dłoń.

-Przyszedłem poradzić się w pewnej delikatnej sprawie.

-Poradzić? Pan!? Do katolickiego księdza? – delikatna kpina w słowach nie zmasała życzliwości skrzącej się w oczach księdza.

Marek skinął potwierdzająco głową i dobry humor gospodarza poczytał za sprzyjający prognostyk dla sprawy, którą zamierzał załatwić. Ku jego zdziwieniu nie poszli do pokoju na dole, gdzie był zapraszany na kameralnego brydża, a na piętro. Weszli do pierwszego pokoju po prawej stronie. Był tu po raz pierwszy. Przez chwilę chłonał z zaskoczeniem widok jaki miał przed oczami.

Lewą stronę pokoju zajmowały drewniane regały z ciemnego dębu zajmujące całą powierzchnię ściany. Były szczelnie wypełnione książkami. Tylko ostatni segment zakryty był dwuskrzydłowymi drzwiami z dębu, a w zamku tkwił klucz z widocznymi śladami patyny, tam gdzie nie dotykała go ludzka ręka. Na wprost niego, pod oknem, stało imponującej wielkości biurko zrobione z ciemnego wiśniowego drewna. Mosiężna lampa z zielonym kloszem stojąca na biurku na pewno nie była tandetnym produktem dzisiejszych czasów. Książki i papiery rozłożone na biurku przypominały mu „uporządkowany” bałagan panujący na biurku w jego domowym sanktuarium. Po prawej stronie stał okrągły drewniany stolik z dwoma fotelami obitymi czarną skórą. Na ścianie wisiały różnego rodzaju atrybuty związane z kultem religijnym. Stolik i fotele sprawiały wrażenie jakby wyszły kiedyś spod ręki jednego rzemieślnika i stanowiły komplet z biurkiem.

Pomału zaczęło do niego docierać znaczenie tego, gdzie został wprowadzony. To było bez wątpienia sanktuarium gospodarza. Zapewne nie każdy z obywateli Kopacza miał możliwość oglądania tego pomieszczenia. Teraz zrozumiał ten wyraz zdziwienia na twarzy gospodyni, gdy gospodarz zaprosił go na górę. On sam zachowywał się podobnie w swoim domu. Tylko nieliczni z jego znajomych mogli oglądać jego domowy gabinet. Spojrzał z namysłem na gospodarza. Coś się za tym kryło. Zastanowił się przez chwilę. Pozornie różniło ich wiele. Katolicki ksiądz i były członek komunistycznej partii z samego założenia nie mogli do siebie pasować. W dodatku nigdy nie ukrywał, że sprawy religii są mu zupełnie obojętne. Niemniej znaleźli parę tematów, gdzie miejscowi notable zapraszani na brydża do księdza stanowili tylko tło do ich rozmów.

Czyżby ksiądz potraktował jego dzisiejszą wizytę jako spotkanie mające związek z jego deklaracjami dotyczącymi jesiennych wyborów samorządowych? Obydwaj już dawno doszli do wniosku, że należy zrobić wszystko, aby zapewnić burmistrzowi zwycięstwo w najbliższych wyborach. Nie należał on do polityków dla których najgorszym zabiegiem jest odcięcie dupy od stołka i ryja od koryta. Ośmielił się wystąpić przed szereg i zrobił wiele dla zwykłych, szarych obywateli tego miasta. Usprawnił administrację w gminie. W efekcie wiele osób z partyjnego nadania piastujących znaczące funkcje musiało się pożegnać z wygodnymi synekurami. Do tej pory brali pieniądze od państwa za nic nie robienie lub za samo tylko bicie piany dla jej bicia. Jego działania związane z tropieniem tajemnic III Rzeszy, wyróciły ten zaściankowy układ personalny do góry nogami. Konsekwencje tego odczuwał do dzisiaj. Miał jednak dziwną pewność, że ksiądz nie ma mu tego za złe. Niemniej jednak, sprawa z którą przyszedł, była jak odbezpieczony granat. Niewłaściwe podejście mogło spowodować trudne do przewidzenia konsekwencje. Należało sobie przygotować grunt do dalszej rozmowy.

-A jak ojciec trafił do Kopacza? Właściwie to raczej chciałem zapytać, jak ojciec został księdzem ... jak to powiedzieć? – niezręczność użytych słów wprawiła go w pewne zakłopotanie.

-Należę do Towarzystwa Jezusowego.

-Jezuita?

-Ksiądz skinął głową i dodał: - Ukończyłem studia prawnicze z prawa kanonicznego i świeckiego. Wykładałem na ... - uśmiechnął się. – Nie jesteśmy tak makiaweliczni, jak niekiedy się nas przedstawia – dokończył.

-Dlaczego ksiądz sądzi, że tak uważam? – Marek też się uśmiechnął.

-Pańskie oczy, panie Marku. Kiedy usta powiedziały „Jezuita”, oczy powiedziały „No tak, to wszystko wyjaśnia.

-Czyżby tak łatwo było mnie „przeczytać”?

-Nie ująłbym tego w ten sposób, ale praktyka czyni mistrza – gospodarz przyglądał mu się z życzliwym zainteresowaniem.

Marek zastanowił się. Poznali się w dosyć niecodziennych okolicznościach. Popełnił wówczas małe faux-pas. Uchybienie zostało mu darowane i nie miało żadnego wpływu na ich dalszą znajomość. Wtedy też zaliczył księdza do grona uczciwych i rzetelnych ludzi. Ten pierwszy impulsywny osąd sprawdził się w toku ich dalszej znajomości. Kapłan nie należał do ludzi, którzy pchają nos nie w swoje sprawy. Był jedynym znanym mu księdzem, który zachowywał się w taki sposób. W kraju, gdzie władza świecka na każdym szczeblu konsultowała swoje decyzje z duchowieństwem, to jego zachowanie było wyjątkiem potwierdzającym regułę. Jeśli dodać do tego przynależność do Towarzystwa Jezusowego, to było to interesujące zestawienie. Jezuici dobrze dobierali swoją kadrę i dbali o jej poziom umysłowy. Nie bez kozery powierzono im kierowanie wywiadem watykańskim. Byli w tym dobrzy do dzisiaj. Takie zestawienie mogło zapewnić powodzenie w tak delikatnej sprawie.

-Mam do rozwiązania pewien problem natury kulturalnej – zaczął Marek.

-Najtrudniejszym problem na bankiecie jest kolejność posługiwania się sztuccami, gdy na stole jest ich zbyt duża ilość. Najbezpieczniej jest używać ich od lewej do prawej i od prawej do lewej. Gorzej, gdy przy deserze człowiek ma do dyspozycji tylko małą chochelkę – zażartował ksiądz.

-Chyba nauczono mnie wszystkiego, co powinienem wiedzieć o nożach i widelcach, - Marek z uśmiechem sięgnął po filiżankę z kawą – ale nie o to mi chodziło. Znalazłem coś, co nie jest moją własnością – postanowił przejść do meritum sprawy.

-To w czym problem? - zaciekał się jego rozmówca.

-Jak zapewne ksiądz wie, kupiłem w Kopaczu domek – Marek zaczął sprzedawać swoją starannie przygotowaną wersję odnalezienia obrazów. – Zrobiłem trochę porządków i na strychu znalazłem trzy stare obrazy.

-No cóż, prawo własności należy chyba do poprzedniego właściciela – wyraził swoją opinię jego rozmówca.

-To nie jest takie pewne – sprzeciwił się Marek. – To „Rafael”. Namalował go Rafael Santi. Olej, deska parkietowa, wymiary 75x59 cm. Drugi to „Śniadanie” Willema van Aelsta, olej, płótno o wymiarach 54,5x41,7 cm, a ostatni to „Czas obnaża piękność”. Pejzaż alegoryczny Pari Bardone. Olej, płótno, 126x177 cm. – wyjaśnił niewinnym tonem.

Ksiądz na chwilę znieruchomiał w fotelu. Wyraz zaskoczenia szybko jednak zniknął z jego twarzy. Podniósł się z fotela i otworzył zamkniętą do tej pory część segmentu. Marek z ciekawością zapuścił „żurawia” do wnętrza. Same książki. I to jakie! Gospodarz tymczasem z uwagą studiował jedną z książek, którą wyciągnął ze środkowej półki. Odłożył ją na miejsce i usiadł na fotelu. Przyglądał mu się z miną biologa badające pod mikroskopem wyjątkowo interesujący preparat.

-Interesujące odkrycie – zauważył z niewinną miną. – Będą o panu pisać w gazetach.

-No właśnie!

-Nie lubi pan rozgłosu? – zaciekawił się ksiądz. – Przecież reklama własnych osiągnięć, to podstawowa zasada promowania swojej osoby i firmy, którą się reprezentuje. Powinien się pan z tego cieszyć.

-Nie w tym rzecz – wymknęło się Markowi.

-? – mina księdza wyraźnie sugerowała, że chciałby usłyszeć dalsze wyjaśnienie.

-Lepiej z mądrym znaleźć niż z głupim zgubić – zaryzykował i trochę przestawił sens starego porzekadła.

-Myśli pan, że ktoś inny powinien znaleźć zaginione dobra kultury narodowej? – ton pytanie zdradzał jednak, że ksiądz ma jakieś wątpliwości.

-Słyszałem, że dach kościoła będzie niedługo wymagał kapitalnego remontu – strzelił Marek.

-Dziwny z pana człowiek – ksiądz przyglądał mu się z zastanowieniem. – Niech będzie moja krzywda – zgodził się z uśmiechem na ustach. – Nie zapytam nawet dlaczego to ja mam to znaleźć.

Marek odetchnął z ulgą. Poszło łatwiej niż myślał. Pozbył się w bezpieczny sposób cennego znaleziska z podziemi zamku Lutzow i te skarby kultury narodowej trafią na swoje miejsce. Nikt nie będzie próbował zrobić na tym osobistego interesu jak to miało miejsce w dwóch poprzednich przypadkach, gdy próbował zwrócić znalezione obrazy. Ksiądz wydawał się być rękojmnią, że tak będzie. Wojewódzki konserwator zabytków dostanie prezent o jakim mu się nawet nie śniło. Nie będzie mógł odmówić funduszy na remont dachu kościoła, gdy znalazcą będzie ksiądz. Od 1989 roku przedstawicielom Kościoła żadna władza nie odmawiała niczego. Hierarcha kościelny tylko wskazywał co go interesuje i otrzymywał to. Poza tym, kościół w Kopaczu był budowlą w stylu późnego gotyku i bez wątpienia śmiało można go było zaliczyć do polskich dóbr dziedzictwa kulturowego.

Marek odprężył się i z przyjemnością obserwował krzątanie gospodarza. Na stoliku pojawiła się butelka wiśniówki. Specjału, który był słynny w okolicy, ale tylko nieliczni mieli możliwość raczenia się tym boskim nektarem. Rubinowy płyn wspaniale opalizował w kryształowych kieliszkach. Gospodarz wzniosł swój do góry. Marek z przyjemnością poszedł za jego przykładem i degustował niepowtarzalny smak trunku. Najwyraźniej jego propozycja została przyjęta „z widocznym zadowoleniem” jakby to określiła nota dyplomatyczna. Nie był może tak dumny jak kogut piejący o wschodzie słońca, który uważa, że wstaje ono na jego cześć, ale powód do zadowolenia był. Nie dane mu było jednak długie delektowanie się własnym sukcesem. Pytanie gospodarza wprawiło go w niemałe zakłopotanie i zmusiło do szybkiego myślenia. Nie był na to przygotowany.

-Zapewne oczekuje pan czegoś w zamian?

„Ty stary baranie!” – pogratulował sobie w duchu. - To jest proste jak kwadratura koła. Nikt zdrowy na umyśle nie uwierzy, że daje się takie prezenty bez oczekiwania czegoś w zamian. Ksiądz zaś bez wątpienie nie wyglądał na człowieka, który ma trudności z robieniem użytku ze swojego umysłu. Trzeba to było szybko naprawić.

-Mile widziana byłaby butelka tego boskiego trunku – palnął pierwsze co mu się nasunęło na myśl. – A najlepiej dwie – skorygował swoją myśl, bo przypomniał sobie o obietnicy danej Michałowi.

-To się da zrobić – z pewnym rozbawieniem powiedział gospodarz. -

Kopacz Willa Gabe

-Nie spieszyłeś się! – Michał patrzył z niemym wyrzutem. – Obiad mi już wystygł jak czekałem za tobą.

-Przepraszam, nie wiedziałem że jest już tak późno – do Marka dopiero teraz dotarło jak długo zasiedział się u księdza.

-Najpierw opowiedz jak było, a później odgrzeję jedzenie – zadysponował Michał.
-Załatwione! – zakomunikował Marek i sięgnął do teczki z którą przyszedł do kuchni i na stole pojawiły się dwie butelki rubinowego płynu. – Jedna twoja, jedna moja.

-„Golnałeś” już sobie !? – patrzył podejrzliwie.

-No coś ty! Było tylko symbolicznie po kieliszku.

-Już ja znam twoje możliwości – Michał nie wyglądał na przekonanego. – Chłasz gorzałę z księdzem, grasz w brydża z burmistrzem i szefem miejscowej policji – mnożył zarzuty ze śmiertelnie poważną miną - i jeździsz „nabzyngolony”. Nie wstyd ci czasami jak patrzysz na siebie w lustrze? – zainteresował się na koniec.

-Czasami – Marek uśmiechnął się - ale szybko mi przechodzi, gdy sobie uświadomię, że robię to dla dobra sprawy.

-A co z obrazami? – Michał wyczerpał swoją dzienną porcję złośliwości i sprawnie rozstawił talerze do obiadu, który zdążył podgrzać.

-Też załatwione. A nie wiesz, że zbytnia ciekawość to pierwszy stopień do piekła – zrewanżował mu się Marek za poprzednie wytyki.

-Sorry! – Michał uniósł ręce w przeproszającym geście.

-Obrazy spakujemy dzisiaj i zdążę je oddać zanim wyjadę. O reszcie przeczytasz w gazetach.

-Ze mną jak z dzieckiem, za rączkę i do baru – Michał z pokorą przyjął uwagę o swoim braku profesjonalizmu w sprawach tajemnych związanych z działalnością Kościoła, ale skorzystał z okazji i dokończył. - Ale do kawy bierzemy twoją butelkę.

-Niech ci będzie – z pewnym ociąganiem machnął ręką Marek.

Sprawnie sprzątnęli po obiedzie. Mieli już w tym niemałą wprawę. Przy poszukiwaniach w ubiegłym roku, to właśnie willa Gabe stanowiła ich centralny punkt wypadowy. Dla zachowania w tajemnicy tego co robią musieli nauczyć się wielu rzeczy. Dotyczyło to także podniesienia kwalifikacji w dziedzinie kulinarno-sprzątającej. Nie mogli przecież dopuścić, aby ktoś niepowołany zajrzał im w karty w najbardziej nieoczekiwanym momencie. Zapewne wiele kobiet chętnie zgodziłoby się wysłać swoich mężczyzn, aby pobiegali sobie z wykrywaczem metalu po polu i nabyło tych czy innych umiejętności, które później można spożytkować ku chwale ogniska domowego. Nas szczęście poszukiwanie skarbów objęte jest tak wielką tajemnicą, że ta informacja nie ma szans na ujście światła dziennego. Czy to dobrze? No cóż. To zależy od punktu widzenia, a ten jak wiadomo zależy od miejsca siedzenia. Oni nie chwali się ani tym co znaleźli, ani tym czego się nauczyli. Tak było bezpiecznie.

Rozsiedli się w salonie na dole i Michał delektował się kawą zaparzoną przez Marka. Miała niepowtarzalny smak. D o dzisiaj nie mógł wpaść na czym to polega. Gotował wodę i sypał ciemny proszek w taki sam sposób jak Marek, ale nigdy nie mógł uzyskać takiego smaku i aromatu. Jakieś czary czy co? Porzucił te rozważania i sięgnął po butelkę z nalewką. Tą z puli Marka. Swoją miał nadzieję zachować na inną okazję. Miał do wyjaśnienia sprawę z sobotnią akcją. Nie chciał być do końca ciemny jak tabaka w rogu. Swoim zwyczajem wziął zaraz byka za rogi.

- W sobotę mam grać rolę statysty czy głównego bohatera?

- I jedno i drugie – Marek obracał w palcach prawej ręki kieliszek z bursztynowym płynem.

- Coś więcej?

- Noc i mgła – Marek z uwagą patrzył na niego.

„Co – noc i mgła” – już miał się zachnąć, gdy przypomniał sobie rozmowy jakie prowadził on z Andrzejem i których był świadkiem. Odbywało się to na zasadzie ruchów skoczka na szachownicy. Marek mówił o głównych elementach, a pomijał wiele detali, które do tego prowadziły. Niektóre stwierdzenia były tak odległe od siebie, że faktycznie mogły doprowadzić rozmówcę do białej gorączki. Irytacja nie była tu właściwym rozwiązaniem. Potrzebne mu było jakieś koło ratunkowe. Spojrzał pytająco na rozmówcę.

- Nacht und Nebel – Marek uśmiechał się pod nosem, a Michał odwzajemnił uśmiech.

Już wiedział o co chodzi. Niemieckie słowa uruchomiły właściwe trybiki w mózgu. Był to kryptonim zbrodniczej akcji prowadzonej przez hitlerowców i to z niemałym powodzeniem. Wpadli na szatański sposób zastraszania swoich przeciwników. Służby specjalne odpowiedzialne za likwidację przeciwników Hitlera aresztowały wytypowanego delikwenta bez świadków i ślad po nim ginał. Po wymuszenie stosownych zeznań była kula w łeb i bezimienny pochówek. Osoby zainteresowane losem zaginionych nie uzyskiwały żadnych informacji. Służby specjalne

kategorycznie wypierały się swojego w tym udziału i nawet często pozorowały intensywne poszukiwania w celu znalezienia zaginionych. Szeptana propaganda dopełniła reszty. Niepewność i strach stały się udziałem każdego przeciwnika Hitlera i skutecznie osłabiały wolę walki ich rodzin i ich zwolenników. Nie ma w tym nic dziwnego. Co innego wiedzieć, że ktoś zginął w walce z bronią w rękę czy został zakatowany w jakiejś hitlerowskiej mordowni, niż ciągle ludzi się nadzieją, że zaginiony żyje i może się kiedyś odnajdzie. Człowiek nie myśli wtedy o walce i oporze, a jego umysł zaprzęta los zaginionego. Hitlerowcy prawie w genialny sposób wykorzystali element strachu i niepewności, aby osiągnąć swój cel. Po wojnie sprawa ujrzała światło dzienne, ale nikt z pomysłodawców tej akcji ani z ich bezpośrednich wykonawców nie poniósł z tego tytułu żadnej kary. O jakiegokolwiek odpowiedzialności na popełnione mordy nie było mowy.

Wszystko to Michał przetrwał w myślach, ale nie bardzo wiedział jak ma się to do ich obecnej sytuacji. Przecież nie będą mordować ludzi zamiast szukać zaginionych skarbów III Rzeszy. Z rozterki wybawiły go słowa Marka.

- Oczywiście nie będziemy nikogo mordować. Zafundujemy im tylko dłuższą wycieczkę turystyczną. Nie na Księżyc czy Biegun Północny, ale na tyle daleko, aby wszyscy zainteresowani mieli czas na przemyślenie i wyciągnięcie odpowiednich wniosków. Trochę nas to będzie kosztować ale czego się nie robi dla świętego spokoju.

- No i dobrze – Michał odetchnął z widoczną ulgą. – Co mam robić?

- Niewiele. Napijesz się z nimi wódki i zaproponujesz im ściąganie długu od nierzetelnego dłużnika. To powinno skutecznie uspić ich czujność i dać pretekst do opicia transakcji. Przywiozłem z sobą małą baterię butelek z gorzałą i zaraz je dostaniesz. Wybór jest tak duży, że na pewno coś z tego trafi w ich gust. Są tak spreparowane, że po wypiciu jednego kieliszka delikwent po 10 minutach zapomina o bożym świecie. Ten towar w całości podlega zwrotowi do rąk ofiarodawcy. I to zarówno te butelki co je zaczniecie degustować, jak i te nie napoczęte. O to zatroszczę się zresztą sam, bo będę to wszystko oglądał na ekranie naszego systemu wewnętrznego monitoringu. Poza tym muszę pomóc „sprzątać” moim znajomym i później odholować ciebie do naszej willi. Ty, przed wypiciem pierwszego kieliszka połkniesz małą pastylkę. To spowoduje, że padniesz trochę później niż oni. Samochody firmowe odzyskasz już w niedzielę rano. Będą stały dokładnie w tym samym miejscu skąd zostaną zabrane. Kluczyki i dokumenty wozów oddam ci osobiście. Reszta jest milczeniem. Układ stoi? – Marek podniósł w górę kieliszek z nalewką.

- Komu stoi, to stoi – Michał najwidoczniej miał jakieś wątpliwości, ale uniósł kieliszek do góry.

- Gdy natchniesz się na szczura, nie trać czasu na uprzejmość – Marek starał się rozwiać jego wątpliwości.

- Pamiętam, jak tłumaczyłeś Andrzejowi, że trzech ludzi umie dochować sekretu pod warunkiem, że dwóch z nich nie żyje. – przyszłemu konsumentowi spreparowanej gorzały coś jeszcze siedziało na wątrobie.

- W prawdę objawioną wierzą tylko owieczki facetów w czarnych sukienkach, a od każdej reguły są wyjątki. Jeżeli w przyszłości ktoś o to zapyta, to nie wiemy nic na ten temat. Jeżeli zapyta nas obydwu jednocześnie, to zastanowimy się kto i po co pyta. Wtedy też obydwaj zdecydujemy jakiej odpowiedzi udzielić. Pasuje?

- Trudno – Michał z pewną rezygnacją skinął głową.

- Trudno, to złapać dwie muchy jedną ręką.

- No dobrze, pasuje – Michał uśmiechnął się. Jak Marek zaczynał sypać swoimi powiedzonkami, to mogło to oznaczać tylko jedno. Temat miał rozpracowany w najdrobniejszych szczegółach i tylko bawił się w szermierkę słowną z rozmówcą. W trakcie dotychczasowych poszukiwań trafiło to jak do tej pory w większości na Andrzeja, a dzisiaj padło na niego. To był dobry prognostyk na zamknięcie tej nieprzyjemnej sprawy i można było wrócić do innych przyjemniejszych rzeczy. – Od jutra zaczynasz się uczyć jazdy na nartach! – obwieścił tonem ojca, któremu nagle do głowy przyszła myśl, że czas zrealizować obietnicę daną swojej latorośli.

- Że co? – Marek o mało nie zakrztusił się pitą właśnie kawą.

- Obiecałem ci, że nauczę cię jeździć na nartach jak uruchomimy nasz ośrodek. Myślę, że ten czas już nadszedł.

-Ja i narty? Nigdy nas sobie nie przedstawiono.

-Najwyższa pora naprawić to niedopatrzenie – ton wygłoszonej przez Michała sentencji nie dopuszczał możliwości dalszej dyskusji.

- No dobrze – przyszły adept narciarstwa miał nieszczęśliwą minę. – Ale ja nie mam odpowiedniego sprzętu – próbował się jeszcze bronić.

- Nie szkodzi. Ja mam i zaręczam, że będzie pasował na ciebie. Zaczynamy od jutra.

- O.K. – poddał się Marek, ale swoim zwyczajem próbował wytargować coś dla siebie. – Ale po tym jedziemy w teren i coś ci pokażę.

- No problem! – Michał był tak zadowolony, że w końcu udało mu się wyciągnąć Marka na narty, że zgodziłby się teraz nawet propozycję przespania się na łożu Madejowym. Zapomniał mu tylko powiedzieć o jednym, że początki nauki będzie odbywał na „oślej łączce”.

Kopacz

Ośrodek sportów zimowych firmy Viking

Marek stał na łagodnym zboczu terenu wydzielonego dla uczących się jeździć na nartach i słuchał uważnie ostatnich instrukcji Michała. Skinął głową, że pojął o co w tym wszystkim chodzi i ruszył do przodu. Z początku wszystko szło dobrze. Jechał prosto i do przodu. Zjechał spory kawałek, gdy przyszło mu ominąć innego uczącego się, który właśnie wywinął malowniczego kozła i nie mógł sobie poradzić z powstaniem na nogi. Uniósł lewą nartę i , prawa zaraz skorzystała z okazji i pojechała swoją drogą, a on wylądował na szlachetnej części ciała. Michał z gracją baletnicy zjawił się obok i podał rękę, aby mógł łatwiej wstać. Gestem ręki zachęcił do dalszej jazdy. W końcu zjechał na sam dół. Po drodze zaliczył jeszcze dwa padnięcia na śnieg. Przy próbie skrętu narty żyły własnym życiem i złośliwie uciekały mu spod nóg. Otrzeptał się ze śniegu i obejrzał się za Michałem. Jego wzrok padł na dużą tablicę z literami jak woły: „Teren nauki jazdy. Tylko dla początkujących”. Na dole tablicy ktoś dopisał czarną farbą w sprayu : „Ośła łączka”. Drgnął, gdy fontanna śniegu trysnęła spod nart Michała, który raptem zmaterializował się przed nim.

- Mógłbyś kazać zamalować ten dopisek – wskazał głową na tablicę.

- A po co? Mnie to nie przeszkadza – Michał uśmiechnął się. – Żaden turysta nie zgłosił się z taką prośbą. A tobie to przeszkadza? – zapytał z niewinna miną.

Marek machnął tylko ręką i zapytał: - I co dalej?

- „Jodełka” i do góry – wyjaśnił Michał.

Marek najchętniej zdjąłby narty i na piechotę wdrapał się na górę zbocza, ale nauczyciel najwyraźniej miał inne plany. Cała operacja powtórzyła się kilka razy i Marek przestał nawet liczyć, ile razy zaliczył glebę. Zjeżdżał po raz kolejny i w połowie zbocza narty ponownie pojechały w wiadomym sobie tylko kierunku, a on wylądował na tylnej części ciała. Wstał i otrzepał się ze śniegu, bo w tym nabrał już odpowiedniej wprawy, gdy podjechał Michał.

- Mam już dosyć! – oznajmił mu w miarę stanowczym tonem.

- Idzie całkiem dobrze – pocieszył go Michał.

- Jak idzie tak dobrze, to czemu jest tak źle? – chciał wiedzieć świeżo upieczony adept narciarstwa.

- Kijki narciarskie to nie sztachety z płota – oświecił go Michał. – Nie służą do kurczowego ich trzymania się – wyjaśniał z w miarę poważną miną.

Marek skinął głową. Teoretycznie było to proste i logiczne. W praktyce było jednak proste jak świński ogonek. Patrzył na Michała i zastanawiał się jakiego użyć argumentu, aby dzisiejsza pokuta dobiegła końca. Widział jak w ich kierunku zbliża się mała dziewczynka. Widział jej oczy. Miała chyba takie same problemy jak on. Zbliżała się w ich kierunku i nie mogła skręcić. Kolidowała wydawała się nieunikniona. Wyciągnął rękę, aby zwrócić uwagę Michała, który całkowicie zignorował ten gest. Potraktował to jako przejaw kolejnego protestu.

- Masz robić i ... – zaczął Michał i nie dokończył.

Dziewczynka dojechała do nich i jedna z jej nart zahaczyła o nartę Michała. Oczy Michała zrobiły się okrągłe ze zdumienia i po chwili bezskutecznej walki o utrzymanie równowagi legł na śniegu. Nawet wytrawny narciarz pozbawiony jednej narty musi poddać się prawu ciężenia. Błuzniercze słowa zaczęły płynąć z ust Michała i Marek zaczął się śmiać. Śmiał się tak długo, dopóki jedna z jego nart nie uciekła mu na bok i dołączył do leżącej dwójki. W chwilę potem obsypał ich śnieżny pył tryskający spod nart hamującej osoby.

– Pardon mousnier! To moja wina – usłyszał i podniósł wzrok. Obok stała kobieta w turkusowym stroju narciarskim i najwyraźniej kierowała te słowa do Michała. Marek wrócił spojrzeniem do dziewczynki. Usta wykrzywione w podkówkę zwiastowały niechybny wybuch płaczu.

– Nie przejmuj się! Nic się nie stało – powiedział. – Ja też się dopiero uczę – pocieszył ją. – Pomogę ci wstać – zaproponował podnosząc się.

Usta wróciły do normalnego stanu i przyjęła podaną jej pomocną dłoń. Otrzepali się ze śniegu i Marek spojrzał w kierunku Michała i nieco się zdziwił. Nie dość że przestał bluźnić, to najwidoczniej jeszcze zaniemówił. Tylko kiwał głową, a z całej postaci emanowało coś więcej niż życzliwe zainteresowanie. Popatrzył na kobietę. Trochę niższa od Michała i bez wątpienia młodsza. Turkusowy strój narciarski opinał zgrabną sylwetkę i pozwalał domyślić się ponętnych kształtów dojrzałej kobiety. Niesforny kosmyk blond włosów wymykał się spod białej wełnianej czapeczki. „Niezła sztuka” – ocenił w myślach i przestał się dziwić Michałowi. Była olśniewająco piękną kobietą, z niewinna twarzą o szerokich oczach i kusząco zaokrąglonej figurze, która sprawiała, że mężczyźni zaczynali fantazjować, a kobiety spoglądać z nieklamana zazdrością. Nawet w zwykłym kombinezonie narciarskim wyglądała niesamowicie seksownie.

– Przerwiemy im tą rozmowę? – zwrócił się do dziewczynki. – Przecież mają nas uczyć, a nie zabawiać się rozmową na stoku – uzasadnił swój zamiar. Mała kobietka skinęła głową. Oczy jej błysnęły, a na ustach pojawił się uśmiech. – Hej! Jesteśmy tutaj! – Marek powiedział to na tyle głośno, aby dotarło to do rozmawiających.

- Oh! Pardon! – turkusowy kombinezon podpłynął do nich i w chwilę potem Michał zrobił to samo.

Jak oni to robią? – zastanowił się Marek. – Nie jadą, a płyną na nartach. Zaraz jednak porzucił tą myśl, bo zainteresował go akcent kobiety.

- Przyjechała pani odwiedzić kraj przodków? – zaryzykował.

- Skąd pan wie? – kobieta nawet nie starała się ukryć zdumienia.

- To chyba ten akcent – Marek uśmiechnął się

- Niewielu ludzi to zauważa – przyglądała mu się z ciekawością.

„No pewnie” – pomyślał Marek. – „A szczególnie mężczyźni. Jak widzą takie olśniewające zjawisko, to myślą zupełnie o czymś innym”. – Mina Michała była tego najlepszym dowodem.

- Marek Dąbrowski – przedstawił się i wyciągnął rękę.

- Violletta Marenches – usłyszał w odpowiedzi i poczuł stanowczy uścisk dłoni, a nie omdlewający dotyk diwy, przekonanej o swojej piękności.

- Miło było poznać – Marek uznał, że formalnością stało się zadość. Prezentacja została dokonana, przeprosiny złożone i miał dobry pretekst do przerwania swojej dzisiejsze mordęgi. – Na nas już chyba czas? – spojrzał na Michała, który do tej pory nie odezwał się ani słowem i teraz tylko skinął głową i ta szybka zgoda trochę go zdziwiła.

Nie zaprzętał sobie specjalnie tym głowy i nie zwrócił nawet szczególnej uwagi na słowa kobiety: - „Do zobaczenia”, bo cieszył go koniec zajęć związanych z padaniem i powstawaniem na ośnieżoną ziemię. W końcu to nie poligon wojskowy, gdzie takie ćwiczenia są obowiązkowe. O tym jak to się robi pod komendą wrednego majora zdążył już zapomnieć i zaliczał te zdarzenie do zamierzchłej historii w swoim życiu. Poza tym myślami był już przy terenie ich ewentualnych poszukiwań i przy tym, jak zmusić Michała żeby powiedział co o tym sądzi. Taki był przynajmniej plan na dzień dzisiejszy. O tym, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju miał się przekonać w chwilę potem. W miarę sprawnie pokonał resztę stoku i dojechał do Michała czekającego już na dole. Zabrał się za odpinanie nart.

- Czekaj nas dzisiaj uroczysta kolacja – usłyszał i podniósł głowę znad odpinanych nart. Ton głosu Michała był jakiś dziwny.

- To kto dzisiaj pełni funkcję głównego kucharza? – był przekonany, że kolacja będzie przyrządzana u nich w willi, a powód tego miał nadzieję poznać za chwilę.

- Zaproszenie dotyczy” Trzech Koron” – wyjaśnił niepewnie Michał.

- O czym jeszcze nie wiem? – zapytał podnosząc się ze związanymi już nartami. – Przestań się tak kręcić jakby ci ktoś wsadził szyszkę w dupę i powiedz o co tak naprawdę chodzi.

- Kolację jemy z Viollettą.

- O! – zdziwił się sardonicznie Marek. – A kto zaprosił kogo? Ona ciebie czy ty ją? Bo jakoś nie widziałem żebyś był zbyt elokwentny na stoku.

- No ... , tak jakoś wyszło – Michał był coraz bardziej zmieszany.
- Nie bardzo rozumiem. Po co potrzebna moja obecność? Randka w obecnych czasach nie wymaga obecności przyzwoitki. To nie te czasy.
- Widzisz ...– Michał był coraz bardziej zmieszany. – Ona musi zabrać z sobą Basię.
- Jaką Basię? – Marek już nic z tego nie rozumiał.
- No, tą małą dziewczynkę – Michał oglądał czubki swoich butów narciarskich jakby zobaczył tam coś bardzo interesującego.
- O żeś ty! – Marek aż podskoczył. – To ty będziesz podrywał kociaka, a ja mam – i nagle zamilkł. - „To nazwisko! - Marenches. De Marenches. Było mu znane. Już tam na stoku powinno to zwrócić jego uwagę. Będzie okazja by to wyjaśnić”. – Oczywiście że ci pomogę!
- Co ci się tak nagle odmieniło? – Michał stał się raptem podejrzliwy. – Jest coś o czym ja teraz nie wiem?
- Nie sądzę! Ale kto wie... – Marek zawiesił głos jak nauczyciel, który za chwilę ma ogłosić w klasie niezapowiedziany sprawdzian z matematyki i dokończył: - A teraz dawaj kluczyki od samochodu. Ja poprowadzę dalsze zajęcia.

Okolice Kopacza Teren opuszczonej kopalni Litosche A.G.

Marek zaparkował samochód Michała przy zrujnowanym budynku administracyjnym kopalni. Michał wysiadł i z przyjemnością rozprostował swoją długą postać. Rozejrzał się uważnie po terenie byłej kopalni. Poszukiwania, to w głównej mierze analiza dostępnych informacji i właściwa interpretacja zasłyszanych pogłosek. Musiał uporządkować to, co Marek zdążył powiedzieć mu w czasie jazdy o tym terenie. Oglądana całość robiła przygnębiające wrażenie. Totalna ruina. Pół wieku temu musiało to wszystko wyglądać zupełnie inaczej. Zastanowił się nad tym co wie. Do zdobycia niektórych danych przyłożył przecież swoje trzy grosze w czasie poprzednich poszukiwań.

*

Przed wojną tereny te należały do Niemców. Najbliższa miejscowość nazywała się Gabe. Doliczając do tego kilka pobliskich wsi, dawało to ludzką populację liczącą około trzech tysięcy mieszkańców. Cechą charakterystyczną było to, że wszyscy byli narodowości niemieckiej. W 1939 roku teren ten przestał być ogólnie dostępny. Ogłoszono go strefą zamkniętą. W 1940 roku prowadzono intensywne prace budowlane, ale nie było po nich żadnego śladu na powierzchni. Zbiegło się to dziwnie w czasie z modernizacją kopalni węgla kamiennego. Podobno z uwagi na bardzo wysokiej jakości pokłady węgla kamiennego. Było to trochę dziwne, bo o tym że są tu wysokiej jakości pokłady węgla koksującego wiedzieli już pierwsi właściciele kopalni jak ją budowali.

Na jesieni zbudowano po sąsiedzku elektrownię i te dwa fakty pozwoliły Markowi na wysunięcie przypuszczenia, że mamy tu do czynienia z bardzo pomysłowym maskowaniem prowadzonej tam zupełnie innej działalności. Niby wszystko było w porządku i wyglądało logicznie. Elektrownia w pobliżu kopalni, która dostarcza wysoko energetycznego paliwa do produkcji prądu, to ekonomiczne i racjonalne rozwiązanie. Jest tanie i dobre paliwo i w efekcie tani prąd. Było tylko jedno poważne „ale”. Elektrownię zbudowano jako inwestycję miejską i udało im się wygrzebać parę dokumentów z tym związanych. Miała zaopatrywać w prąd miasteczko Gabe i parę okolicznych wsi. Moc zainstalowanych tam generatorów była tak duża, że mogła swobodnie zaopatrzyć w prąd dziesięć takich miasteczek wraz z pobliskimi wsiami. To było właśnie to „ale”. Niemcy są narodem oszczędnym, a to zakrawało wręcz na rozrzutność. Poszperali więc dalej.

U energetyków dowiedzieli się, że miasteczko nigdy nie było zasilane prądem z tej elektrowni. Owszem, była wybudowana stacja transformatorowa mająca przekazywać prąd z elektrowni, ale nigdy nie została podłączona do sieci energetycznej miasteczka. Powszechnie wiadomo do czego służy taka stacja – zmienia natężenie i napięcie wchodzącego prądu na takie parametry jakich oczekuje odbiorca. To rodziło proste pytanie – Kto był odbiorcą tego prądu i jakie były jego parametry? Tu pocałowali klamkę. Nie znaleźli nigdzie śladu jakiegokolwiek dokumentacji, a wyposażenie wywieźli w nieznanym kierunku szabrownicy już pod koniec 1945 roku.

Amatorskie zdjęcia z 1944 roku, które przypadkiem znaleźli na pchlim targu w Kopaczu też im w tym nie pomogły. Wręcz przeciwnie. Pierwsze przedstawiało szereg słupów linii wysokiego napięcia biegnących od elektrowni w kierunku linii przesyłowej na Wrocław. Z tyłu była

wykaligrafowana starannie data – 10 grudnia 1944 roku. Druga fotografia zrobiona z innego miejsca, ale obejmująca ten sam wycinek terenu miała z tyłu datę – styczeń 1944 roku. Różnił je jeden i to dosyć istotny szczegół. Na tym zrobionym wcześniej nie było śladu słupów linii wysokiego napięcia. Pytanie jakie tu się nasuwało niemal samo mogło być tylko jedno. Po jaką cholerę pod koniec wojny zbudowano linię energetyczną sugerującą, że prąd z elektrowni płynął do ogólnej sieci energetycznej, skoro przez tyle poprzednich lat nie widziano takiej konieczności? Jeśli jeszcze weźmie się pod uwagę, że był to praktycznie koniec wojny i jej wynik był już przesądzony, to taka anomalia powinna zainteresować każdego poszukiwacza tajemnic III Rzeszy. Ich to zainteresowało i to bardzo.

Ktoś musiał dysponować potężną władzą, że w tak podbramkowej dla Niemców sytuacji kazał zużyć tyle deficytowej stali na tak naprawdę nikomu niepotrzebne słupy. Co chciano tym zasugerować? To wydawało się proste. Patrzący miał dojść do wniosku, że jest to normalny kompleks gospodarczy produkujący prąd na potrzeby miejscowej gospodarki. Wiedzieli, że tak nie było. Co więc starano się ukryć i dlaczego?

Ciekawie wyglądała również sytuacja zanim te tereny zajęli Rosjanie. Sporo czasu przed ich ofensywą wysiedlono całą okoliczną ludność. Dosłownie wszystkich. Starców, kobiety i dzieci pognano do Vaterlandu. Nie został na tym terenie nikt z poprzednio tu żyjących ludzi. Tak, jakby chciano uniemożliwić jakąkolwiek rozmowę z ludźmi, którzy tu mieszkali od lat. Po co? Żeby nie powiedzieli czegoś co mogli mimowolnie zauważyć w ciągu tych lat gdy tu mieszkali? Im bardziej się temu przyglądali, tym więcej było pytań niż odpowiedzi. Dowiedzieli się, że Niemcy nie prowadzili na tym terenie żadnych walk opóźniających. Po prostu grzecznie odeszli, zostawiając wszystko w całkowitym porządku.

Był tylko jeden wyjątek. Szyb kopalni został tak sprytnie wysadzony w powietrze, że do dzisiaj nie ma tam dostępu. Elektrownia została zostawiona w takim stanie, że wystarczyło tylko postawić ludzi na stanowiskach pracy i zacząć produkować prąd. Na placu przed elektrownią zostawili nawet zapas węgla wystarczający na prawie roczną produkcję prądu. Tak jakby zapraszali nowych właścicieli do jej uruchomienia, ale z kolei wysadzili w powietrze wszystkie słupy linii wysokiego napięcia zbudowane w 1944 roku. Niby z pozoru brak było w tym logiki, ale w tym szaleństwie była metoda. Nikt do tej pory nie zainteresował się kopalnią i terenem wokół niej. I może o to w tym wszystkim chodziło.

Takie myśli chodziły mu po głowie, gdy jego wzrok padł na małą elektrownię wodną widoczną z tego miejsca. Prawdopodobnie kolejny element łamigłówki związany z tajemnicami tego terenu. Sam go zresztą wyłapał w miejscowej prasie, gdy o tym pisano i tak poznał jej dzieje. Zbudowano ją w 1937 roku. Wyposażona w dwie turbiny działające do tej pory. W ramach szalu prywatyzacji z lat dziewięćdziesiątych sprzedana w prywatne ręce. W pewnym momencie nowy właściciel zmuszony był przeprowadzić pewne modernizacje, bo zmieniły się stosunki wodne. W trakcie tych prac znaleziono w zamurowanej komorze kompletną zapasową turbinę, identyczną jak te, które pracowały do tej pory i tyle części zamiennych, że wystarczy tego na kolejnych sto lat eksploatacji. Najciekawsze było jednak coś innego.

Właściciel elektrowni wodnej sprzedawał cały prąd do państwowej sieci. Od samego początku zarzucał energetyce, że go oszukuje. Płacili mu mniej niż to wynikało z jego wyliczeń za dostarczony prąd. W końcu się wkurzył i oddał sprawę do sądu. Powołano biegłego. I tu był ten kolejny kwiatek, który tak wtedy zainteresował Marka. Okazało się, że obydwie strony mają rację. Biegły odkrył, że faktycznie produkcja energii jest taka jak podaje to właściciel elektrowni, ale do energetyki trafia taka ilość za jaką ona płaci. Brakująca ilość znika na terenie elektrowni wodnej zanim dotrze punktu odbioru energetyki. Jest to około osiem procent produkcji i nawet jak odejmiemy dwa-trzy procent na błąd pomiaru, to i tak pięć procent wciąż gdzieś po drodze. Biegły ocenił, że aby znaleźć miejsce „ucieczki” prądu należałoby rozebrać całość do fundamentów. Oczywiście nikt na takie rozwiązanie nie pójdzie, ale zwrócił też uwagę na inną rzecz. Otóż tych turbin nie można wyłączyć jednocześnie. Jedna zawsze musi być na chodzie. Wyłączeniu obydwóch jednocześnie może spowodować lokalną powódź. Nikt do tej pory nie zwrócił na to uwagi, bo nigdy nie zaszła taka potrzeba.

Marek zaś, z jakichś tam tylko sobie znanych powodów uważał, że prąd ten płynie na teren kopalni. Nie popukali się wtedy w czoło, gdy im to powiedział. I nie tylko to. Uważał, że prowadzono na tym terenie jakieś badania naukowe, które Niemcy uważali za bardzo ważne dla siebie. Robili to do ostatnich dni zanim opuścili ten teren, bo najwidoczniej nie mogli tego z jakichś powodów zabrać z sobą. Elektrownia miała pracować tylko na potrzeby laboratorium znajdującego się na terenie kopalni.

Stacja transformatorów, linia wysokiego napięcia i sposób wysiedlenia tutejszej ludności miało być zręczną i skuteczną formą maskowania tego co się tutaj naprawdę działo. Ocenili wtedy, że ma to zbyt małe rączki i nóżki, aby mogło być prawdziwe. Nie odcięli się od tego zupełnie i to nie ze względu na to, że nie chcieli robić przykrości Markowi. Już wtedy wiedzieli, że żadnych, nawet najbardziej fantastycznych hipotez z jego ust nie należy nigdy lekceważyć. Wtedy na tapecie mieli inną, znacznie ciekawszą sprawę.

Skoro Marek zafundował mu dzisiejszą wycieczkę właśnie tutaj, to najwidoczniej miał w tym jakiś cel. Jeszcze raz popatrzył wokół. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Totalny rozpiżdział, gdzie psy szczekają dupami. Szabrownicy po 1945 roku wywieźli każdy wartościowy element. Złomiarze po 1990 roku wyrwali każdy element zrobiony z metalu. Czego tu szukać i gdzie? Obejrzał się co robi Marek.

- Gdzie to rąbnałeś i do czego to służy? – zainteresował go przyrząd w ręce Marka.

- Nigdzie nie rąbnałem. Kupiłem i kazałem zmodyfikować według mojego pomysłu. W energetyce używają podobnego sprzętu do wykrywania nielegalnych podłączeń do sieci energetycznej – Marek nawet się nie oburzył, że został posądzony o nieuszanowanie cudzego prawa własności. Myślami wydawał się być zupełnie gdzie indziej.

- Będziesz szukał błędzących prądów czy tego czego nie zgubiłeś? – życzliwie zakpił.

- Pożyjemy, zobaczymy – Marek ruszył w stronę narożnika zrujnowanego budynku administracyjnego i uważnie patrzył na krystaliczny monitor urzędnika, a czujnikiem omiatał drogę przed sobą.

- Tu było wejście dla urzędników z administracji elektrowni, – Marek kiwnął głową w lewą stronę – a na końcu budynku jest wejście dla tych co administrowali kopalnią.

Michał zapuścił żurawia w ciemny otwór jaki pozostał po drzwiach wejściowych. W szarości panującego tam mroku dostrzegł kilka stopni biegnących do góry – podpiwniczony budynek zanotowała jego pamięć. Doszli do drugiego końca budynku. Dalej teren opadał w dół stromym zboczem. Próba obejścia budynku tą drogą nie wchodziła w grę. Chyba, że ktoś chciał zaryzykować skręcenie karku. Wrócili do miejsca skąd zaczęli wędrówkę, a Marek przez cały ten czas z uporem maniaka omiatał czujnikiem drogę prze sobą.

- Co powiesz o tym budynku? – Marek wyciągnął papierosy i smuzka dymu popłynęła do góry w bezruchu mroźnego powietrza. – Dla ułatwienia dodam, że mury do wysokości parteru mają grubość metra, a strop znacznie więcej

Ton nauczyciela fundującemu swojemu ulubionemu uczniowi dodatkowy test na inteligencję i mina Marka oczekującego z nieukrywaną ciekawością na jego odpowiedź obudziła czujność Michała. Obrzucił budynek uważnym spojrzeniem. Do tej pory nic nie zwróciło jego szczególnej uwagi. Całość była kiedyś otynkowana. Teraz, po tylu latach w wielu miejscach odpadły jego wielki płyty. Parter i piętro bez wątplenia zbudowano z cegły. Odpadłe płyty tynku wyraźnie to ukazywały. Poniżej wszystko było szarego koloru. Musiał się upewnić. Podszedł do ściany budynku i ręką dotknął odsłonięty szary kawałek. Lity beton. Gruby na jeden metr. Pewnie zbrojony. Żelbetonowe pudełko. Niezły schron. Już chciał to powiedzieć na głos, gdy coś jeszcze przyszło mu do głowy. Zmrużył oczy. Te wąskie okienka rozmieszczone w regularnych odstępach w podpiwniczeniu. To nie pasowało do koncepcji schronu. Na system wentylacji też to nie wglądało. Odwrócił się w kierunku na jaki skierowane były te wszystkie otwory. „O cholera! – zaklął w myślach. – Ale dałbym płamę”. To nie był żaden schron. To był potężnie chroniony bunkier, trzymający pod ostrzałem cały teren kopalni i przedpole dojścia do niego. Spojrzał z uznaniem na Marka. Trzeba niezłej wyobraźni i sporej wiedzy, aby to właściwie skojarzyć.

- Żelbetonowy bunkier wyposażony w ciężką broń maszynową – powiedział pewnym tonem. – Cholernie ciężki do „ugryzienia” nawet w obecnych czasach – dodał.

- No dobra! Idziemy dalej – „nauczyciel” wydawał się być w pełni usatysfakcjonowany uzyskaną odpowiedzią.

- O! To będą i następne niespodzianki!? – iskiereki widocznego ożywienia zabłyśły w oczach Michała.

- Idziemy! – Marek najwidoczniej na chwilę stracił słuch i nie usłyszał pytania.

Szli wzdłuż krótszego boku budynku. Przy jego końcu widniał kolejny otwór po drzwiach wejściowych i Marek skinął głową w jego stronę mówiąc: – Tu było wejście do terenowego oddziału wydziału geologicznego Uniwersytetu Berlińskiego.

- Że co? – Michał aż stanął z wrażenia.

Nie wyglądało to na żart, ale pasowało gorzej niż kwiatek do kozucha. Co prawda geolog ma prawo szwendać się ze swoim młotkiem w bardzo dziwnych miejscach i ćwiczyć nauki przetrwania w trudnych warunkach. Co miałby jednak robić tutaj? Pukać się w czoło młotkiem czy łupać kęsy węgla na mniejsze kawałki? Wydawało się, że smród kamuflażu i mistyfikacji z czasów II wojny unosi się do dzisiaj w powietrzu. Coś tu najwyraźniej było nie porządku.

- To co tu było naprawdę? – Michała zaczynał interesować teren, który musiał kryć jakąś tajemnicę.

- Nie wiem. Jak się dowiem, to ci powiem – mruknął Marek zajęty manipulacją przy przyrządzie trzymanym w ręce.

- Co? Nie działa? Może ja coś pomogę – zgłosił ofertę pomocy.

- Jeszcze czego! – Marek spojrzał na niego nieufnie. – Zaraz to rozbierzesz żeby zobaczyć co jest w środku i nie ma żadnej gwarancji, że to wróci do mnie z powrotem.

Michał uśmiechnął się pod nosem. Faktycznie, elektronika i radio-amatorstwo było jego konikiem. A może nawet czymś więcej jak mu to kiedyś uświadomił Marek. To była jego pasja. Przydatna w poszukiwaniach zaginionych skarbów, jak to się okazało w czasie ich ostatnich poszukiwań. Nieposkromiona ciekawość powodowała, że chętnie i z wielką przyjemnością studiował wewnętrzną budowę elektronicznych gadżetów. W większości, po złożeniu, taki przyrząd działał nadal zgodnie z założeniami producenta. Przypadki porażek były nieliczne i tylko potwierdzały statystyczną regułę.

Dotarli do końca budowli przyklejonej do budynku administracyjnego. Drugi jej koniec wcinał się w skaliste zbocze, które kończyło się ostrym spadaniem w dół. Obejście z tej strony też było niemożliwe. Michał z pewną dozą ostrożności zakwalifikował to jako magazyn o podwyższonym dachu. Rzeczywiście wysokość była znaczna. Siegała prawie do szczytu budynku biurowego. Marek doszedł do końca magazynu i zawrócił z powrotem. Przez cały czas uważnie patrzył na przyrząd. Doszli z powrotem do połowy tego magazynu, gdy Marek podrzucił mu następne kukułcze jajo do jego rozważań. – Oficjalnie był to magazyn organizacji Todta.

Michał tylko kiwnął głową. Nie było sensu teraz pytać o cokolwiek. Przyjdzie na to pora jak przełknie wszystkie niespodzianki przyszykowane przez Marka. Marek pchnął resztki drewnianych wierzei, które kiedyś zapewne stanowiły bramę wjazdową do magazynu. Weszli do środka i Michał ponownie zamarł. Nie ze względu na rozmiar pomieszczenia pod dachem, które robiło imponujące wrażenie. Bałagan tu panujący też nie miał nic z tym wspólnego. Po drugiej stronie naprzeciwko też były drzwi. Tylko w monstrualnym wydaniu. Wyglądały raczej jak wrota do lasu. Wymiary ocenił jako kwadrat o boku około piętnastu metrów. Obejrzał się do tyłu. Z tyłu były kiedyś takie same. Świadczyły o tym ślady pozostawione po zamurowaniu tak wielkiego otworu. Bez wątplenia ktoś zrobił to po to, aby w tym miejscu osadzić te mniejsze, przez które właśnie przed chwilą weszli. Popatrzył na Marka stojącego już pośrodku tej wielkiej hali i podniósł rękę w pytającym geście.

- Już mówiłem. Niemcy od Todta mieli tu swój magazyn. Tyle wiem z oficjalnych dokumentów. Później wykorzystywała to firma z Wrocławia, która rozmontowała całą tutejszą elektrownię i wyszabrowała wszystkie inne wartościowe elementy mogące się przydać naszej gospodarce w okresie powojennym. Następnie trafiło to w ręce Gminnej Spółdzielni. Trzymali tu jakieś rupiecie. Później już nikt się tym nie interesował.

Już miał wyrazić swoje przypuszczenie co Niemcy mogli trzymać w tak wielkim magazynie, gdy Marek dodał niewinnym tonem: - To był hangar.

- Bez jaj! – Michał był bardzo bezpośredni.

- Wyglądam na jajcarza? – w piwnych oczach Marka widniały ogniki rozbawienia.

- Nie! – Michał jeszcze raz obrzucił spojrzeniem wielkie pomieszczenie pod dachem i pokręcił głową. Chyba po raz drugi tego dnia zrobiliby z siebie głupka. A na pewno nie o to chodziło jego przyjacielowi. Marek mógł się mylić, ale nie miał w zwyczaju gadać głupot.

Ruszyli w stronę dziury wyrąbanej w olbrzymich wierzejach. Najwidoczniej któryś z szabrowników nie chciał się bawić w otwieranie tak wielkich wrót i wybrał takie rozwiązanie tego problemu. Wyszli na zewnątrz. Marek ruszył wzdłuż ściany hangaru w kierunku budynku administracyjnego. Miarowymi ruchami czujnika sprawdzał drogę przed sobą. Michał już wcześniej zauważał, że swoje poszukiwania prowadził według jakiegoś wcześniej zaplanowanego schematu.

Zanim dojdzie do końca budynku wróci z powrotem upłynie trochę czasu. On miał pewien pomysł i mógł wykorzystać ten czas na jego sprawdzenie.

Wrócił z powrotem do hangaru. Podszedł do środka wrót. Butem odgarnął śmieci jakie tu się zebrały. Schylił się i rękawicą oczyścił dokładniej. Metalowa rolka była na swoim miejscu. Tak jak się spodziewał. Jeszcze jedno sprawdzenie po drugiej stronie i będzie miał pewność. Po chwili odgarnął śnieg z drugiej strony wrót w miejscu, gdzie umiejscowiona była odnaleziona przed chwilą rolka. Rękawica zabarwiła się brudnym kolorem rdzy. Odłonił większy kawałek. To było to. Metalowa szyna wpuszczona w beton. Wyprostował się i otrząsał rękawice. Marek miał rację. To był hangar, a takie rozwiązanie stosowano kiedyś na wielu lotniskach świata. Metalowa rolka na końcu olbrzymich wrót jechała po metalowej szynie, gdy otwierano i zamykano hangar. Ułatwiało to w znaczący sposób tą procedurę i mógł to robić nawet jeden człowiek. Dodatkowo odciążało to zawiasy i cała konstrukcja nie musiała być tak masywna jak w średniowiecznym zamku.

Rozejrzał się za Markiem. Był w połowie powrotnej drogi. Spojrzał w drugą stronę wzdłuż hangaru. Przez chwilę nie docierało do niego co widzi. Gdy sobie uświadomił na co patrzy, szczeka o mało nie upadła mu do stóp. Dobrze, że Marka nie było w najbliższym sąsiedztwie, bo pewnie musiałby mu pomóc ją włożyć na swoje miejsce. Umiarkowanym galopem ruszył w tamtą stronę. Stał przed „Muchołapką”. Tak nazywa się w żargonie lotniczym konstrukcję służącą do testowania statków powietrznych pionowego startu. Ta była wykonana z żelbetu. Wycięto część skalnego zbocza i tam ją zbudowano. Otulona skałami była prawie niewidoczna dla postronnego obserwatora. Nawet z powietrza. Wystarczyło tylko u góry rozpiąć siatkę maskującą i zniknęła. Co tu robiono? Gdzie? Kto za tym stał? Jakiej tajemnicy skrywał ten teren? Te i inne pytania tak go zaprzątnęły, że nawet nie zauważył kiedy Marek stanął obok niego.

- Niezłe, co? – zagadnął Marek.

- Wiedziałeś i nic nie powiedziałeś – z wyrzutem powiedział Michał.

- A po co? Żebyś się uprzedził i zaczął myśleć tak jak ja? Najlepiej samemu dotknąć i pomacać. Szczególnie jak się szuka zaginionych skarbów.

- Nie należę do ludzi, którzy mają dobroczynny wpływ na bliskich - mruknął Michał. – Ale Bóg zapłać za wiarę w moją inteligencję – zakpił. – I co? Znalazłeś coś?

- Ani widu ani słuchu. Nic – Marek machnął z rezygnacją ręką. – Został mi jeszcze ten kawałek przy Muchołapce.

- To może ja to sprawdzę? – zaoferował się Michał, bez specjalnej nadziei na przejęcie aparatu w swoje ręce.

- Masz! – ku jego pełnemu zaskoczeniu aparat wylądował w jego rękach.

Czyżby Marek się poddał? To do niego niepodobne – zastanawiał się Michał idąc z aparatem w ręce. Obszedł brzeg Muchołapki i dotarł do zbocza opadającego w dół. Nic. Aparat nawet się nie zająknął. Stali i podziwiali ośnieżoną panoramę gór, gdy Michał nagle potarł nerwowym ruchem kark.

- A ty co? Uruchamiasz dodatkowe komórki mózgowie? – zażartował Marek z uśmiechem.

- Nie, tylko ... – odwrócił się i niespokojnym wzrokiem przesunął po ruinach budynku i hangaru.

- No co, tylko... – rozmówca domagał się dalszego ciągu.

- To jest takie głupie odczucie – Michał trochę się zmieszał.

- Przy poszukiwaniu skarbów nie ma głupich odczuć – pouczył go Marek. – No, o co chodzi – zachęcił go.

- Mam wrażenie jakby ktoś mi się przyglądał – wypalił zapytany.

- Możesz określić z której strony to czujesz? – Marek nagle spoważniał.

- Poczulem to dopiero jak stanęliśmy tu na skraju zbocza. A kierunek ... – zaczął wodzić ręką po horyzoncie oglądanej panoramy gór.

- Przestań! I nie machaj rękami jak paralityk w czasie napadu choroby! – ostry ton aż go zmroził i ręka sama opadła mu w dół. – Wracamy! – to też nie była przyjacielska sugestia. Tak odzywa się przełożony do podwładnego, gdy wydaje mu rozkaz.

- Tak jest! – wyrwało się odruchowo Michałowi i ruszył za Markiem w kierunku hangaru.

- O co chodzi? – zdecydował się zapytać, gdy znaleźli się wewnątrz olbrzymiego pomieszczenia.

- Jak się zapewne zorientowałeś, to nie jest moja pierwsza wizyta na tym terenie. Byłem tu jesienią ubiegłego roku. Trzy razy. Raz odniosłem takie same wrażenie. Skoro ty poczułeś dzisiaj to

samo, to nie jest już żadne irracjonalne odczucie. Ktoś najwidoczniej obserwuje to miejsce. Pytanie – kto i skąd? W jaki sposób? Po co?

Michał przymknął oczy. Wywołał w pamięci obraz terenu jaki miał przed oczami zanim poczuł, że jest obserwowany. Dziwne, ale niektórzy ludzie potrafią w ten sposób dostrzec szczegóły, które przy otwartych oczach umykają ich uwadze. Tej sztuczki nauczył się w wojsku, gdy odbywał służbę w plutonie bliskiego rozpoznania renomowanego pułku pancernego Bundeswehry. Ich dowódca w stopniu kapitana nauczył go jeszcze wielu innych i niektóre z nich przydały się w czasie ich poprzednich poszukiwań schowanego przez Niemców złota. Przyswoił je sobie tak dobrze, że służbę zakończył w stopniu Oberfeldwebela i otrzymał propozycję przejścia na zawodowego podoficera. To było spore wyróżnienie.

W każdej armii świata instytucja sierżanta, to jej kręgosłup. Bez nich ten mechanizm nie mógłby funkcjonować we właściwy sposób. To oni niańczą poborowych i ocierają łzy zwątpienia. Są jak matka i ojciec w jednym. To oni pilnują, aby świeżo upieczony porucznik nie narobił zbyt wielu głupstw na początku swojej kariery. Ci, którzy ich nie słuchają i nie korzystają z ich rad, mają przerąbane, a w czasie wojny żyją krótko.

Już dawno doszedł do wniosku, że skład ekipy poszukującej zaginionych skarbów z czasów drugiej wojny światowej nie jest wcale przypadkowy. Marek zrobił to z pełną świadomością i właściwą sobie zyczliwą perfidią. Nie miał też żadnych wątpliwości, że losy jego emigracji z rodziną do Republiki Federalnej Niemiec i późniejszy powrót do rodzinnego kraju matki też są mu znane. O służbie w Bundeswehrze też musiał wiedzieć i dlatego teraz chciał skorzystać z jego wiedzy i doświadczenia. Stąd te pytania. Przywołał obrazy terenu widzianego z okna samochodu jak tu wjeżdżali. Chyba był gotów.

- Obserwatora nie ma na terenie kopalni ani w najbliższym otoczeniu w promieniu dwóch kilometrów. Pokrywa śniegu jest w dziewiczym stanie. Nie ma żadnych śladów. Są tylko nasze. Biorąc pod uwagę usytuowanie zabudowań na terenie kopalni, to obserwator powinien być na kierunku północno-wschodnim. Tam są tylko ruiny poniemieckiej wioski i stary cmentarz. Na drodze wiodącej w tamtym kierunku też nie ma żadnych śladów. Tam więc nie może siedzieć. Nic więcej na wysokości kopalni nie ma. Musi stać na równi z nami albo wyżej. Inaczej nas nie zobaczy. Może się jednak mylimy?

- Nie sądzę! – Marek pokręcił przecząco głową. – Byłem tu jesienią i raz poczułem to samo. Wtedy nie mogłem wytypować miejsca obserwacji. Strażnik mógł siedzieć dosłownie wszędzie. Nawet w budynku biurowca. Dwóch starych „trepów” nie może się mylić w swoich odczuciach – uśmiechnął się po nosem.

On zaś miał kolejny dowód, że jego przyjaciel też kiedyś nosił żołnierski mundur. Do dzisiaj nie znał tylko jego koloru i ilości belek i gwiazdek na jego pagonach.

– A jak przyjąć, że dysponuje dobrym sprzętem optycznym? – pytanie zawisło w powietrzu.

Michał zastanowił się. Użycie słowa „strażnik” i wzmianka o dobrej optyce dużo zmieniała. Przy takiej pogodzie jak dzisiaj, to obserwacja była możliwa z odległości paru kilometrów. Słońce na bezchmurnym błękitnym niebie, brak wiatru i termiki zakłócającej widok. Tak. To mogło przesunąć lokalizację punktu obserwacyjnego znacznie dalej. Nawet do przedmieść Kopacza. Słowo „strażnik” mogło też mieć duże znaczenie.

Niemcy odchodząc zostawiali swoich ludzi, żeby pilnowali określonych terenów i obiektów. Kiedyś nie bardzo w to wierzono i traktowano jako szeptaną plotkę. Jednak jak sporo ludzi przeplącało życiem swoją nadmierną ciekawość i wtedy zaczęto to traktować poważniej. Tym bardziej, że nie za wszystkie przypadki można było winić jednostki Werhwolfu. Zostały one w miarę szybko i dokładnie zlikwidowane przez wojsko i służby specjalne, a ludzie na tutejszym terenie ginęli nadal. W dziwnych i niewyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach. Płacili najwyższą cenę za zbyt dużą ciekawość. Sprawców nigdy nie złapano. Ludzie się wystraszyli i przestali węszyć za tajemnicami III Rzeszy. I pewnie o to w tym wszystkim chodziło. Była w tym jednak pewna prawidłowość na którą zwrócił im uwagę Marek przed poszukiwaniami.

Poszukiwaczy typowych skarbów w postaci kawałka złota, serwisu z porcelany czy wartościowego obrazu traktowano z przymrużeniem oka. Jako nieszkodliwych maniaków. W zasadzie nikt się nimi nie interesował. Najwyżej w majestacie prawa zabierano im część łupu jeżeli znaleźli za dużo. Nikt jednak nie strzelał im w głowę, ani nie podrzywał gardła. Sytuacja zmieniała się jednak radykalnie, gdy szukającego zaczynały interesować tematy związane z tajnymi niemieckimi

badaniami naukowo-technicznymi czy militarnymi projektami związanymi z nowymi rodzajami broni. Trudności zaczynały się mnożyć jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Sam był świadkiem takich działań, gdy dobierali się do podziemi zamku Lutzow. Jeżeli Marek miał rację co do strażnika, to należało zrobić dwie rzeczy. Namierzyć „strażnika” i go spacyfikować oraz dobrze przyjrzeć się terenowi kopalni. Jeżeli ktoś tego pilnował nawet po ponad pięćdziesięciu latach od zakończenia wojny, to na pewno nie schowano tu tylko zardzewiałego hełmu żołnierza Wehrmahtu.

- Jeżeli uwzględnić to co powiedziałeś, to obserwator może siedzieć nawet w jakimś domu na przedmieściu Kopacza. Stanowisko zrobione na strychu jest niezauważalne dla wszystkich. W wolnych chwilach może sobie „kukać” w tą stronę i nikt tego nie zauważy. Nawet ludzie tam mieszkający mogą nie mieć o tym bladego pojęcia. Dobrze by było go znaleźć. Mogłoby to coś nam wyjaśnić. Kto zacz? Skąd się tam wziął? I tak dalej.

- To prawie jak szukanie igły w stogu siana – Marek najwyraźniej nie był wcale zachwycony przedstawioną wizją.

- Ale łatwiejsze niż szukanie zgubionego ziarenka piasku na plaży – pocieszył go Michał. – Poza tym ... – tu najwyraźniej zawahał się. – Nie powinienem ci tego mówić.

- To powiedz, a ja ci powiem czy powinieneś czy nie.

- Jest pewna szansa na ustalenie miejsca „urzędowania” strażnika. Nawet dosyć szybko.

- Jak duża jest ta szansa? – zainteresował się Marek.

- Niewielka, prawie żadna – przyznał Michał.

- Jak nie ma szansy, to znaczy że jest jakaś szansa – podsumował Marek. – Gadaj o co chodzi.

- Jeżeli przyjmujemy założenie, że

- Zakładanie założenia jest matką wszystkich wpadek – przerwał mu Marek.

- Jak mi będziesz przerywał, to zapomnę co chciałem powiedzieć. Wiesz, że „przerywanie” szkodzi – zagroził z niewinną miną.

- O! Jaki dowcipny się zrobił – Marek wyłapał akcent na słowie „przerywanie”. – Mów! Nie będę się odzywał dopóki nie skończysz – obiecał.

- No więc tak! Trudno uwierzyć, że jakiś facio siedzi sobie latami na strychu i ogląda przez lunetę jakiś kawałek terenu. Nawet chory psychicznie by tego nie wytrzymał. Ba! Mógłby nawet przez taką terapię wyzdrowieć. Robi to zapewne w wolnych chwilach i od czasu do czasu przychodzi tu sprawdzić co się zmieniło na tym terenie. Czy są ślady czyjejs obecności. Można to wykorzystać i zrobić to, co zrobiłby mądry myśliwy. Zaczaić się u wodopoju. Niech zwierzyna sama wpadnie w sidła. A sprowokujemy go w prosty sposób. Od jutra będziemy tu przyjeżdżać codziennie. Musi nas w końcu zauważyć i przyjdzie sprawdzić co tu robimy. Jutro zainstaluję kamerę z własnym zasilaniem, które wystarczy na tydzień obserwacji. Zamaskuję ją tak, że nie będzie jej w stanie zauważyć. Będzie widziała w dzień i w nocy. Obszar obserwacji obejmie teren dojazdu do kopalni i sam plac przed budynkami. Będzie lepsze ujęcie niż na ślubnym zdjęciu. Całość będzie na okrągło transmitowana do odbiornika w moim pokoju w wili w Kopaczu. Zamontuję dodatkowy moduł i kamera wyśle nam sygnał alarmowy, gdy w jej polu widzenia pojawi się coś większego od dużego psa. Będziemy przyjeżdżać tylko w słoneczne dni przed zachodem słońca. Zyskamy przez to dodatkową szansę na zlokalizowanie obiektu skąd jest prowadzona obserwacja. Wejdiesz na ostatnie piętro biurowca i znajdziesz sobie zakryte stanowisko do obserwacji w stronę Kopacza. Dam ci moją lornetkę z wbudowanym fotograficznym aparatem cyfrowym. Będziesz miał słońce za plecami, a jemu będzie świeciło prosto w oczy. Ja polatam sobie po terenie i może w którymś momencie od jego szkieł odbije się refleks słońca. Będzie musiał przecież wodzić szklami za moimi ruchami. Wtedy cykniesz fotkę i będziemy mieli zdjęcie obiektu z którego jest prowadzona obserwacja. Reszta to pestka.

- No, no! – Marek z uznaniem patrzył na Michała. – Musiałeś stać we właściwej kolejce jak Bozia rozum rozdawała. Kupuję to, ale z małą poprawką.

- Normalka! Nie byłbyś sobą żeby czegoś nie próbować usprawnić – z udaną rozpaczą rozłożył ręce. – Pamiętaj jednak, że lepsze jest wrogiem dobrego.

- Spokojnie. To będzie tylko drobna korekta kosmetyczna. Jak będziemy dojeżdżać do drogi prowadzącej do kopalni, to schowam się w samochodzie. Tak, żeby obserwator mnie nie widział. Wtedy będzie pilnował tylko jednej osoby. Nie będzie się spodziewał kontr obserwacji.

- O.K. Mogę nawet wysprzątać bagażnik – oświadczył Michał z poważną miną.

- Chciałbyś, co? Nic z tego! Jestem już za stary żeby udawać sardynkę. Wystarczy koc i tylna kanapa – rzucił na beton na wpół wypalonego papierosa i starannie go wdeptał w grubą warstwę syfu zalegającą na podłodze. – Wracamy?

- Chyba o czymś zapomniałeś.

- Zapomniałem? – Marek spojrzął na ślad po rozdeptanym papierosie. – Nie ma nawet śladu, że ktoś tu palił.

- Nie o to mi chodziło. Nie szukałeś swoich prądów błędzących jeszcze tam – Michał wskazał na ścianę hangaru wcinającą się w zbocze skały.

- Pewnie poniosła mnie fantazja - Marek machnął z rezygnacją ręką. – Chcesz, to sam sprawdź.

Michał ruszył w stronę lewego narożnika. Zręcznie omijał leżące kupki śmieci. Doszedł do ściany i włączył aparat. Był w połowie szerokości hangaru, gdy czerwona dioda jakby mrugnęła. Wrócił czujnikiem w to miejsce. Kontrolka jakby z pewnym wahaniem zaczęła się lekko jarzyć. Spojrzął w kierunku Marka. – Chyba coś mam. – Szedł po linii prostej jaką wytaczała ledwo żarząca się dioda. Musiał bardzo uważać. Każdy nieostrożny ruch w lewo czy prawo powodował zanik sygnału. Uszedł trzy metry i dioda zgasła. Próbował odszukać dalszy ciąg sygnału. Nic z tego. Jeszcze raz przeszedł wzdłuż całej ściany. Nic. Dioda jarzyła się tylko na odcinku trzech metrów.

- Masz chyba trzy metry swojego prądu. Wychodzi spod ściany i znika. Tylko jest to trochę bez sensu. – Michał wyłączył aparat.

- Odkrycie polega na widzeniu tego, co wszyscy widzą i myśleniu w taki sposób, w jaki nie myśli nikt – Marek w zamyśleniu przyglądał się kawałkowi betonu kryjącego pod sobą jakąś tajemnicę. – Najgorsze jest to, że nie wiem czego szukam. Błądzą po omacku. Może ten prąd biegnie pionowo w dół i dlatego nie ma dalszego ciągu? – wyraził nowe przypuszczenie.

- Weźmiemy jutro georadar i zajrzyjmy co jest pod podłogą – zaproponował Michał. – Może wyjaśni się coś więcej – na poważnie zaczęło go interesować miejsce, gdzie występowało tyle anomalii.

- Oczywiście! Trzeba wykorzystać możliwości sprzętu jaki mamy w dyspozycji - usłyszał.

- To co? Wracamy? – widział nieobecny wzrok Marka, który zapewne błądził myślami daleko stąd. „Żeby tylko wrócił na ziemię zanim pójdziemy na kolację z Violetta” – zaniepokoił się w duchu.

- Uhm – usłyszał i zaczął się martwić naprawdę.

Jeżeli Marek wdał się w jakieś kosmiczne spekulacje, to mogło to zepsuć całą imprezę. Będzie nieobecny duchem dopóki nie wpadnie na jakiś sensowny pomysł. Przewidział dla niego określoną rolę i w obecnym stanie zupełnie się do tego nie nadawał. Pocieszył się myślą, że do wieczora zostało jeszcze sporo czasu i była szansa żeby to zmienić. Doszli do samochodu i Marek oddał mu kluczyki od stacyjki. Z zaskoczeniem obserwował dalsze ruchy Marka. Rozgarnął butem śnieg i wykopał trochę ziemi. Wymieszał to ze śniegiem i brudną breją zasmarował tablice rejestracyjne samochodu. Nie zwrócił wcale uwagi, że śliczne białe-czerwone rękawice narciarskie zamieniły się po tej operacji w szare szmaty.

- Dopadł cię mała paranoja? – nie wytrzymał Michał.

- Mała paranoja? Wiesz kiedy Noe zbudował arkę? – nie czekał na odpowiedź. - Przed potopem! Powinieneś już wiedzieć, że poszukiwanie skarbów, to jest gra. Bardzo niebezpieczna. Tylko dla dorosłych. Nieszczęścia chodzą po ludziach i muszą kogoś dopaść. Po co ma paść na nas? – zakończył w bardziej filozoficznym tonie.

Michał tylko pokręcił głową. Choroba przyjaciela była chyba poważniejsza niż mu się to wydawało na początku. Chociaż? Ktoś ich dzisiaj obserwował. W drodze powrotnej na pewno będzie się im przyglądał. Numeru rejestracyjnego nie odczyta. Nie ustali właściciela. Będzie znał tylko markę pojazdu. Może to nie była paranoja, tylko zwykła ostrożność? Podobno ostrożni żyją dłużej, a odważni wcale. Przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył do domu.

Kopacz

Pensjonat Trzy Korony

Sala restauracyjna

Marek z ciekawością rozglądał się po sali restauracyjnej pensjonatu. Nigdy tu jeszcze nie był. Wiedział tylko, że jest to własność firmy Viking. Podobnie jak dwa inne obiekty, które Michał odkupił od poprzednich właścicieli zanim skończyli budowę wyciągu narciarskiego. Chciał uratować miejsce

noclegowe dla przyszłych turystów. Poprzedni właściciele chcieli je zlikwidować. To był strzał w dziesiątkę – ocenił. Sala była pełna. Podszedł do nich nienagannie ubrany mężczyzna w średnim wieku. Plakietka w klapie garnituru miała napis: „Kierownik”.

- Panowie pozwolą za mną – powiedział i zaprowadził ich do zacisznego narożnika sali.

Najlepsze miejsce na sali – skonstatował Marek – sadwiąc się na wygodnym krześle. Nadal podświadomie ocenił dokonania Michała. Do wystroju wnętrza też zapewne przyłożył swoje trzy grosze. Dominowało drewno i naturalny kamień. To akurat go nie zdziwiło. Tu byli zgodni – drewno i kamień uważali za przyjazny dla człowieka. Wyszło to przy remoncie i urządzaniu willi Gabe, która była ich bazą wypadową przy ubiegłorocznych poszukiwaniach. Szkła i metalu użyto jedynie tam, gdzie to było konieczne. Najwyraźniej widać to było w wystroju niewielkiego barku, sąsiadującego z małym kawałkiem parkietu dla chcących potańczyć. „Fajna całość z lat trzydziestych, dopasowana do czasów współczesnych” – podsumował w myślach i spojrzał na Michała.

- No i co? Napatrzyłeś się? – uśmiech pojawił się na jego ustach.

- Ekstra! – Marek też się uśmiechnął. – Nie będę nawet pytał kiedy znalazłeś na to czas.

- Ot tak! Jakoś samo wyszło – zbagatelizował pochwałę i wzruszył ramionami.

- To o czym jeszcze zapomniałeś mi powiedzieć, aby uniknąć zbytnich pochwał? – Marek zauważył jakiś ślad niepewności w poprzednich słowach.

- Hm ... ! Jakby to określić ... – Michał zastanowił się. – O już są! – powiedział i zapomniał o dalszym ciągu odpowiedzi.

Marek podążył wzrokiem w kierunku gdzie patrzył Michał. Zauważył, że głowy wielu mężczyzn też zwróciły się w tamtą stronę. Jakby pociągnął je niewidzialny sznurek. Po chwili już wiedział o co chodzi. Ośrodkiem zainteresowania była Violetta. Teraz dopiero dotarło do niego jak wysoką i urzekająco piękną kobietą była. Miała lekko wystające kości policzkowe i delikatne rysy modelki. Łagodne zielone oczy koloru dojrzałego szmaragdu i blond, lśniące włosy sięgające do ramion. Sprawiała olśniewające wrażenie. Idealnie skrojona koronkowa biała bluzka uwydatniała naturalne krągłości jej ciała, a czarne spodnie z lekko poszerzonym spodem opadały lekko na czarne sportowe buty.

- Nie rozbieraj jej tak wzrokiem, bo się przeziębisz – zażartował Marek.

- No wiesz ... – zachnął się Michał i lekko się zmieszał, a na policzkach pojawił się lekki rumieniec.

Zmieszany Michał z rumieńcem na policzkach – to było dla niego sporą niespodzianką. Nigdy go takim nie widział. Na dalsze rozważania nie starczyło czasu. Kobieta pomachała ręką i podeszła do ich stolika. Michał zaskoczył go ponownie.

Wstał i na powitanie złożył na jej ręce szarmancki pocałunek godny starych, wyszukanych szlacheckich manier. Marek przyglądał się temu z niemym zdumieniem. Nigdy jeszcze nie widział Michała wykonującego taką czynność. Jak uprawnienie, to uprawnienie – tak przynajmniej twierdził do tej pory – i nie uznawał cmokania kobiet w rękę. Podejrzliwie przyjrzał się wesoło tokującej parze. Tembr głosów i żywe ogniki w ich oczach zapaliło czerwoną lampkę w jego mózgu. Nie był jeszcze pewien co widzi, ale straszne podejrzenie zakradło się do jego głowy: „Michał się zakochał”. Z uwagą przyjrzał się kobiecie. Wyglądało, że nie widzi nikogo poza Michałem. „Rany boskie” – przemknęło mu przez myśl – toż to ewidentny objaw miłości od pierwszego wejrzenia.

Nie zdziwił się specjalnie, gdy Michał na przystawkę zamówił: sarninę, pierś z bażanta i przepiórki z grzybami i kasztanami. Na główne danie miały być cynaderki z grzybami w sosie z sherry i musztardy. Taki wybór musiał zadowolić nawet wybrednego miłośnika kuchni francuskiej, a wiedział, że do tej pory Michał się do nich nie zaliczał. Porzucił rozważania, które prowadziły do tak niepokojących wniosków. Musiał się wywiązać z obietnicy danej Michałowi. Czas zająć się towarzyszką Violetty. Spojrzał na małą kobietkę, która przyglądała mu się z widocznym zainteresowaniem dziecka nie liczącego się z żadnymi konwenansami.

- Jesteś podobny do wujka mojej cioci – oznajmiła.

„Nieźle się zaczyna” – pomyślał. – „Jedna podrywa Michała, a druga zabiera się do mnie.”

- Kto ci to powiedział? - usilnie starał się przypomnieć sobie zasady prowadzenia dialogu ze swoją córką kiedy była w wieku jego rozmówczyni.

- Ciocia – główka dziewczynki wskazała Violetkę.

- Ciocia? – zdziwił się Marek, bo prawem kaduka przyjął, że Violetta jest matką Basi.

- Tak. Mój tata i mama przyjadą jutro, a ciocia uczy mnie jeździć na nartach.

- A ile masz lat? – Marek chciał ustalić poziom dalszej konwersacji.
- Sześć i w tym roku idę do szkoły – powiedziała z dumą.

Działalność kelnera dała mu czas na duchowe przygotowanie się do dalszego pełnienia roli guwernantki. Był pod wrażeniem sprawności i profesjonalności obsługującego ich personelu. Zanotował w pamięci, aby zapytać Michała w jaki sposób udało mu się to osiągnąć w tak krótkim czasie. Kolacja przebiegała w miłej i przyjaznej atmosferze. Tak zapewne ujmowałby to zapis protokołu dyplomatycznego, ale szykowały się pewne zmiany. Już od dłuższej chwili Michał kręcił się niespokojnie na krześle i niecierpliwie zerkał w stronę parkietu. Marek mógł przewidzieć dalszy ciąg. Było to łatwiejsze niż wytypowanie szóstki w toto lotku. Oni pójda tańczyć, a on będzie kwitł przy stoliku. „Ciekawe o której godzinie małe dziewczynki chodzą spać? – przyszło mu do głowy. – Na pewno prędzej niż ich mamy i ciocie – pocieszył się”. Już miał wysłać niezdecydowaną parę na parkiet, gdy prawie podskoczył na krześle.

- Dobry wieczór państwu! – zabrzmiał mu nad uchem tubalny, dobrze mu znany głos.
- Witam panie Marku! – mocne klepięcie w plecy podkreśliło wagę powitania. – Nie wiedziałem, że jest pan na miejscu – radośnie uśmiechnięta twarz burmistrza pojawiła się w polu widzenia Marka.

- Jeżeli państwo pozwolą, to chciałbym na chwilę porwać pana Marka – widoczne ożywienie w oczach burmistrza było dowodem, że ostatnio degustował nie tylko wodę mineralną.

- Ależ oczywiście – Violetta z naturalną prostotą weszła w rolę gospodyni, a Michał z kwaśną miną skinął głową.

- Zaraz go zwrócę! Całego i zdrowego – burmistrz złożył deklarację tonem polityka obiecujące swoim wyborcom gruszki na wierzbie.

Michał z niepokojem obserwował manewry burmistrza prowadzącego Marka. Najwyraźniej sterował w kierunku barku. „Diabli nadali” – pomyślał. – „Postawi Markowi kilka kolejek i zepsuje mi całą imprezę”. Czarował plec piękną zostawioną pod jego opieką, ale nie tracił z oczu jak rozwija się akcja w barze. Drugą kolejkę rozlaną przez barmana zniósł w miarę spokojnie. Przy trzeciej, zaczął już kombinować w jaki sposób rozdzielić to barowe towarzystwo wzajemnej adoracji. Z przerażeniem zauważył, że Marek wycygał od barmana papierosa i zaczął puszczać gustowne kółka z dymu. To go akurat nie zdziwiło. Ze swoim talentem namówiłby nawet Eskimosa na biegunie żeby kupił u niego lody i dodatkowo lodówkę do ich przechowywania. Istotne było coś innego. Marek w zasadzie przestał palić. Po papierosa sięgał odruchowo, gdy intensywnie zaczynał o czymś myśleć. Kółeczka dymu ulatujące do góry oznaczały, że rozważa jakiś pomysł i różne jego opcje. A pomysły miał dziwne i nieszablonowe. Często trzeba było sporo czasu aby zorientować o co faktycznie w tym wszystkim chodzi. Nieraz zakrawało to na czyste science-fiction, ale w ostatecznym rozrachunku miało dziwny zwyczaj materializowania się w obecnej rzeczywistości.

Tu właśnie kryło się zagrożenie, którego się obawiał. Marek zafascynowany nowym pomysłem zamknął się w sobie i nie będzie się zupełnie nadawał do pełnienia roli niańki. Będzie jeszcze gorzej, gdy spróbuje im sprzedać jakąś część swoich pomysłów, a oni nie nadążą za nim. Będzie totalna kicha. Marek miał niedobry zwyczaj tracenia zainteresowania dla rozmówcy, który nie nadążał za jego tokiem rozumowania. Nie bardzo sobie wyobrażał w jaki sposób sześćdziesięcioletnia dziewczynka może sprostać takim wymaganiom. Wszystko zależało od tego w jakim nastroju wróci do stolika Marek. Z ulgą zauważył, że Marek zgasił papierosa i zegnał się z burmistrzem. Na dalsze rozważania nie starczyło mu już czasu. Marek zameldował się przy stoliku i wziął od razu byka za rogi.

- Może pójdziecie zatańczyć, a ja sobie poplotkuję z Basią – zaproponował Marek i Michał natychmiast wprowadził to w życie.

- Nie nudziłaś się? – zapytał i zaczął się zastanawiać o czym ma plotkować z małą kobietką.
- Nie! Zobacz co mi narysował wujek – podsunęła mu serwetkę z rysunkiem.

No proszę – pomyślał z rozbawieniem. – Michał załatwił już sobie fuchę wujka. Jak tak dalej pójdzie, to jutro ogłosi zapowiedzi małżeństwa.

- O! Jaki ładny konik – zdziwił się uprzejmie.
- Konik!? – oczy dziewczynki zrobiły się okrągłe ze zdumienia. – A wujek mówił, że to jest piesek.

- Hm ... , widzisz ... – Marek gorączkowo szukał pomysłu na wybrnięcie z podważania autorytetu Michała jako malarza daleko posuniętej abstrakcji. – Ja się nie znam na rysunkach – wybrnął z sytuacji.

- A rysować umiesz? – Basia obracała w palcach długopis Michała.

- Tylko domki i drzewa – ostrożnie zadeklarował poziom swoich umiejętności Marek, bo widział pułapkę jaką mu szykowano.

- Tyle to i ja umiem – dziewczynka odłożyła długopis, a jemu zrobiło się lżej. – A lody możemy zamówić? – zapytała z pewną ostrożnością.

- No pewnie! – gotów był zamówić znacznie więcej jeżeli pozwoli to na skutecznie unikanie pułapek zastawianych przez bystre sześciolatki. Odszukał wzrokiem kelnera i gdy złowił jego spojrzenie, podniósł rękę do góry.

Kopacz Willa Gabe

Kolacja skończyła się wcześniej niż życzyłyby sobie tego Michał, ale małe dziewczynki muszą chodzić spać o przyzwoitej porze. Nie protestował więc specjalnie jak Violetta ogłosiła koniec imprezy. Nie był zresztą specjalnie stratny. Zdażył się umówić na jutro. Słowik wyśpiewywał mu w duszy różne dziwne trele, a cały świat wydawał się być w różowym kolorze. Już dawno nie był w podobnym nastroju. Propozycję Marka, aby wypili kawę w salonie na dole przyjął bez zastrzeżeń. Jak na nich była to jeszcze wczesna pora i widział, że Marek chce porozmawiać. Na wszelki wypadek zaparzył cały dzbanek kawy. Dywagacje Marka mogły mieć krótkie nóżki, ale często potrzebny był spory czas do rozgryzienia jego pomysłów. Nie chciał za często kursować do kuchni.

Marek upił łyk kawy – Michał, jak to się stało, że nie ożeniłeś się po raz drugi?

Michał podejrzliwie zmrużył oczy – Dlaczego akurat teraz pytasz mnie o to?

- Nie miałem co robić i rozmyślałem o różnych rzeczach – padło niewinnym tonem.

- Akurat! Myślisz, że ci w to uwierzę – Michał uśmiechnął się.

- Wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia? – Marek dalej drażył temat.

- Podobno to oszczędza masę czasu – zrećnie uniknął odpowiedzi. – Zamierzasz bawić się w swatkę? Przecież ja ją dopiero co poznałem!

- Nie ująłbym tego w taki sposób – Marek wołał się wycofać na z góry upatrzone pozycje. – Niektórzy twierdzą, że miłość, to chwilowa niepoczytalność, którą leczy małżeństwo – nie chciał jednak zrezygnować z poruszanego tematu.

- Znasz to z własnego doświadczenia? – odciął się. – A może przypomniało ci się znane twierdzenie Pitagorasa? – zaciekawiał się.

- Twierdzenie Pitagorasa? – Marek na chwilę zaniemówił. – „Co ma piernik do wiatraka? – pomyślał”.

- Tak. Tylko w trójkącie małżeńskim mąż jest orłem do kwadratu – oświecił go Michał.

- No dobrze, pasuje – poddał się Marek. – Instytucję małżeństwa zostawmy w spokoju. Ale sam przyznasz, że miłość to głupie uczucie. Zaczyna się na ustach, a kończy na dupie.

- No nie! – Michał zaczął się serdecznie śmiać. – Coś się tak tego uczepił jak pijany płota? Przecież nie mogły ci zaszkodzić trzy darmowe kolejki koniaku.

- Liczyłeś – raczej stwierdził niż zapytał. – A kiedy zamierzałeś przerwać tak miłe te ta tet?

- Byłem już bliski wydania polecenia chwilowego zamknięcia baru – przyznał się. – W końcu jestem tutaj szefem – wyjaśnił.

- No właśnie – Marek dopił kawę i odstawił filiżankę na stolik. – Burmistrz nie mógł się nachwalić twoich zasług. Podobno jest to najlepsza kuchnia w promieniu stu kilometrów.

- Sto kilometrów, to chyba drobna przesada – słabo zaprotestował chwalony.

- Wypożyczyłeś mu makietę naszej inwestycji i pomogłeś we „właściwy” sposób ugościć delegację unijnych urzędników.

- Chyba niczego nie spieprzyłem po drodze? – zaniepokoił się Michał, bo wychwycił jakąś obcą nutę w słowie „właściwy”.

- Nie, oczywiście że nie. Wyjechali wniebowzięci, ale coś przegapiłeś – Marek macał się po kieszeniach szukając zapewne paczki papierosów jaką dostał od barmana przed opuszczeniem baru.

Michał spoważniał. Marek palił przy barze i teraz najwyraźniej też miał na to ochotę. Tego sygnału nie mógł przegapić. Był pewien, że nie był tuczony pochwałami jak owieczka prowadzona na rzeź. Najwidoczniej Marek dowiedział się czegoś istotnego i teraz okrężną drogą próbował mu sprzedać swoje przemyślenia. Musiał mieć jakieś wątpliwości, bo inaczej już dawno powiedziałby o co mu chodzi. Postanowił mu to ułatwić i przygotował sobie odpowiedni zestaw pytań, ale Marek go uprzedził.

-Wiesz, że Violetta jest kustoszem w Luwrze?

- Co!? – otworzył szeroko oczy. – Skąd to wiesz? Przecież poznaliśmy się dopiero dzisiaj? – był tak zaskoczony, że nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

- No wiesz ... – Marek z uwagą oglądał storę zasłaniającą wyjście na taras.

- A! – błysk zrozumienia pojawił się w oczach Michała. – Wypytałeś Basię – pokiwał głową. – No tak. Jak to ująłeś? Nie miałeś co robić i zacząłeś rozmyślać – nadal kiwał głową. - A wiesz, że to nieładnie zagadywać małe dziewczynki o jej najbliższych? – zainteresował się z podejrzaną życzliwością.

- Po pierwsze: nie próbowałem wypytywać – zaczął się bronić Marek. – Po drugie; sam doskonale wiesz, że kobiecie trzeba pozwolić mówić jak chcesz mieć odrobinę spokoju. I nie ma znaczenia ile ma lat. A po trzecie; to o czym miałem z nią rozmawiać? Moje dzieci już tak wyrosły, że całkiem zapomniałem jak to się robi – usprawiedliwiał się z poważną miną. Rysować też nie umiem. A twojego pieska przemianowałem na konika – zakończył z uśmiechem.

- No już dobrze! Przecież wiesz, że nie miałem nic złego na myśli – Michał z pewnym rozbawieniem skwitował słowa przyjaciela. – Ale kopcić zacząłeś nie z powodu stresu spowodowanego rozmową z małolată? – patrzył na papierosa w ręce Marka.

- Raczej nie, ale... – zastanowił się Marek.

-Raczej nie? – Michał był coraz bardziej zaciekawiony. – Co ci znowuż chodzi po głowie?

- Wiesz, że mamy do przetłumaczenia tekst w sanskrycie. Ten co znaleźliśmy w sejfie podziemnego laboratorium na terenie zamku Lutzow. Nie bardzo wiemy co Niemcy tam robili. To co mogliśmy pokazać na zewnątrz, niczego nam nie wyjaśniło. Żaden z zapytanych naukowców nie miał zielonego pojęcia o co w tym wszystkim chodzi. Tłumaczenie tekstu mogłoby wiele wyjaśnić i zacząłem chodzić koło tego. Okazało się, że tylko Hindusi mogą nam pomóc. Damy zlecenie, zapłacimy i zrobią tłumaczenie. Jest tylko jeden minus. Jak znajdą coś ciekawego, to nie ma siły, żeby coś z tego nie wyciekło na zewnątrz. Mogą nawet opublikować to w światowej prasie. Nie będzie wtedy trudno dojść skąd pojawił się ten tekst i znaleźć zleceniodawcę tłumaczenia. Sprawa się rypnie na całej linii i zainteresowani szybko ustalą kto za tym stoi i w jaki sposób wszedł w posiadanie tych dokumentów. A ich reakcja wcale nie musi być zabawna dla nas.

- Mogą nam kazać zwrócić złoto i całą resztę? – zaniepokoił się na chwilę Michał. – Tu się zgina dziób pingwina – podkreślił to stosownym gestem. – Nic nie oddamy! – oznajmił stanowczym tonem.

- Nie będziemy musieli, jeżeli ich tajemnica pozostanie naszą tajemnicą, a o naszej nikt się nie dowie.

- Trochę to mętne, ale niech ci będzie – zgodził się Michał. – Ale co ma do tego Violetta?

- Możliwe, że ma – dziwny uśmiech pojawił się na twarzy Marka. – Jak szukałem możliwości tłumaczenia, to natknąłem się na ciekawą informację. Pewna asystentka i pracownik naukowy zatrudnieni w Luwrze zaproponowali przełomowy sposób, dzięki któremu znaki sanskrytu można odczytywać szybko i z właściwą ich interpretacją. Nie pamiętam dokładnie ich nazwisk, ale nazwisko twojej Violetty brzmi mi dziwnie znajomo.

- No, no! Tylko nie mojej – słabo zaprotestował lekko zmieszany Michał. – Mogę ją jutro o to zapytać – zadeklarował gotowość posunięcia poszukiwań do przodu.

- No pewnie! – oczy Marka przybrały kpiący wyraz. – Pewnie mi zaraz powiesz, że już w tym celu się z nią umówiłeś na jutro. Zgadza się?

- Umówiłem się – Michał opuścił głowę i zabrał się za uzupełnianie braków w filiżankach. – A co w tym złego? Masz coś przeciw? – odstawił dzbanek i spojrzał na swojego przyjaciela.

- Nie, skądże. Połączysz przyjemne z pożytecznym – nie mógł sobie odmówić odrobiny kpiny. – A może macie się spotkać z samego rana? – zapytał z nadzieją, bo a nuż poranną naukę jazdy na nartach można będzie spisać na straty.

- Nic z tego, Bruner. Nie ze mną te numery – Michał wyszczerzył zęby. – Najpierw twoje zajęcia na stoku, a później każdy rzepkę sobie skrobie. Obiecałem, że cię nauczę jeździć na nartach i nauczę! – stanowczy ton w ostatnim zdaniu wykluczał jakiegokolwiek negocjacje w tym temacie.

„Szkoda tylko, że nie zapytał mnie o zgodę i czy w ogóle chcę zdobyć taką umiejętność jak podejmował takie stachanowskie zobowiązanie” – przyszło do głowy Markowi. W zasadzie miał dwa wyjścia. Albo szybko dojdzie do porozumienia z nartami, żeby zrezygnowały z odrębnego zdania i zaczęły jechać w pożądanym przez niego kierunku, albo zacząć rżnąć głupa i czekać kiedy Michałowi znudzi się rola nauczyciela. Pierwsze można było zrobić w miarę szybko, bo zaczął już łapać o co chodzi w tej zabawie z nartami. Wtedy była szansa, że uzna obietnicę za spełnioną i dalszą edukację zostawi jego inwencji. Druga wymagała dłuższego czasu i częstszego zaliczania zaśnieżonej gleby. Ponadto trudno było określić, kiedy Michałowi znudzi się taka zabawa i spasuje. Może wcale. Swoje obietnice traktował bardzo serio. Pierwsze rozwiązanie ma więcej sensu – zdecydował Marek.

- Co tak kręcisz głową? – Michał przyglądał mu się badawczo. – Kombinujesz jak „dać nóżkę” z porannych zajęć czy zapomniałeś o czym rozmawiałeś z burmistrzem? – zakpił z niewinną miną. – Nieważne! – machnął ręką. – A co takiego przegapiłem przy tej delegacji urzędasów? – musiało mu to zapaść w pamięć i najwidoczniej leżało na wątrobie.

- No właśnie – przez chwilę przyglądał się Michałowi wzrokiem nauczyciela, który szykuje swojemu ulubionemu uczniowi dodatkowy test na inteligencję, aż delikwent poruszył się niespokojnie na fotelu. – Pamiętasz tego Belga z delegacji?

- Belga? – skupiona mina świadczyła, że poważnie potraktował pytanie. – Tak. Facet w wieku około czterdziestu lat, lekko łysiejący szatyn, w okularkach. Zna angielski i niemiecki.

- Coś zwróciło twoją uwagę?

- Chyba nie – wyraz skupienia na twarzy Michała pogłębiał się. – Chociaż ...

- No!?

- To chyba on optował za tym, aby obejrzeć w terenie miejsce naszej przyszłej inwestycji.

- Lubił fotografować?

- O cholera! – Michał spoważniał. – Tylko on miał aparat. Najnowsza cyfrowka Canona. Robił zdjęcia terenu gdzie powstanie hotel.

- Canona zapamiętałeś, a to że facet fotografuje fundamenty przyszłego budynku ci nie podpadło? Przecież to teren po zamku Lutzow.

- Faktycznie – Michał trochę zmarmotniał. – Chyba dałem plamę. Skąd mogłem wiedzieć, że facet przyjechał na przespiegi – zaczął się usprawiedliwiać.

- Nie mogłeś – Marek zapalił kolejnego papierosa. – Wiesz przecież, że patrzeć i widzieć to nie to samo co patrzeć i rozumieć co się widzi.

- Wiem. Szczególnie gdy próbuje się znaleźć, to co ktoś schował i odpowiednio zamaskował.

- No właśnie! A poza tym myślę, że nie stało się nic złego.

- Tak? – Michałowi w widoczny sposób ulżyło. – Dlaczego?

- To proste. Co można wyczytać z takiego zdjęcia? Nawet jeżeli wiesz, że w tym miejscu znajduje się zamaskowana skrytka.

- Bo ja wiem – Michał w zamyśleniu pocierał czubek nosa. – Chyba nic specjalnego – podkreślił to wzruszeniem ramion.

- No nie – Marek prawie się zachnął. – To niemożliwe żeby jedna strzała Amora pozbawiła cię zdolności logicznego myślenia.

- Powoli, spokojnie i „nie podszczypuj mnie po dupie”, bo oskarżę cię o molestowanie – Michałowi zaczynał wracać dobry humor. – Podtrzymuję to co powiedziałem. Nawet jak wiem, że tam było coś schowane, to nic mi to nie daje. Nie ma żadnych śladów, że ktoś schodził do podziemi zamku, który tu kiedyś stał. Teren został uprzątnięty i wyrównany pod potrzeby budowy. Wylana ława i fundamenty pod przyszły budynek są widoczne w całej okazałości. Tym bardziej, że obejmują one większy obszar niż poprzednio zajmował zamek. Myślałbym, że budowniczy nie ma zielonego pojęcia o wielopiętrowych podziemiach kryjących się pod ziemią. Niwelacja terenu i obecnie wykonane prace budowlane zmieniły znacznie wygląd tego terenu. Nawet mając w ręce plany zamku, nie mógłbym obecnie wskazać dokładnej lokalizacji zamku. O wskazaniu zamaskowanego wejścia do podziemi nie ma mowy.

- Modlić się nie będziemy. Na mszę też nie damy – Marek uśmiechnął się. – Jednak dobrze by było żebyś miał rację.

ROZDZIAŁ IV

Obwód Kaliningradzki

Granica państwowa Rosji i Polski.

-Sasza! Tam chyba coś leży – rosyjski pogranicznik zdjął z ramienia Kałasznikowa i przestawił dźwignię bezpiecznika na ogień ciągły.

Podeszli bliżej. Ostra woń wódki uderzyła w ich nozdrza. Zapach bez wątplenia szedł od dwóch mężczyzn leżących w małej przymie śniegu.

-Ki czort! – pogranicznik kopnął jednego z leżących mężczyzn, ale nie doczekał się żadnej reakcji. – Co oni tu robią? Ubrani nie po naszemu. Nawaleni jak messerschmity – stwierdził ze zdziwieniem.

Sasza przyklęknął i obszukał jednego z leżących. Podniósł się z portfelem w ręce i zaczął go przeglądać. To Polaczki! – zakomunikował patrząc na kawałek plastyku trzymany w ręce. – O! Dolary i złotówki – w ręce trzymał teraz pokaźny zwitek banknotów. – Podzielimy się później – zakomunikował koledze i schował pieniądze do kieszeni swoich spodni. Przeglądał dalej portfel, ale nie znalazł więcej nic ciekawego. Podobną procedurę zastosował w stosunku do drugiego mężczyzny.

-I co? Wywołujemy dyżurny patrol? – patrzył pytająco na Saszę, który z widocznym zastanowieniem przyglądał się leżącym.

-Nie! Masz jeszcze ten amerykański aparat fotograficzny co go zabrałeś temu polskiemu przemytnikowi.

-Mam. I co z tego?

-Pójdziesz do strażnicy i powiesz porucznikowi, że złapaliśmy dwóch szpiegów. Pokażesz mu ten aparat i weźmiesz go ze sobą. Po drodze zrobisz parę fotek instalacji o charakterze militarny. Jak się porucznik zgodzi, to mamy awans w kieszeni i tydzień urlopu jak nic. Porucznikowi też wpiszą do akt, że złapał dwóch szpiegów. Na pewno się zgodzi.

-A jak zapyta czemu nie zgłosiliśmy tego przez radio? – drugi pogranicznik miał pewne wątpliwości, ale widać było, że pomysł mu się podoba.

-Radio? – Sasza sięgnął do krótkofalówki wiszącej u pasa. Zdecydowanym ruchem uderzył aparatem o kolbę automatu. Przesunął włącznik na nadawanie. Nic. Cisza.

-Widzisz! Nie działa. A teraz zasuway do strażnicy.

-No dobra! – pogranicznik zabezpieczył broń i zarzucił na ramię. – Ale trochę pieniędzy musisz włożyć z powrotem do portfeli. Co to za szpiedzy z jednym aparatem fotograficznym i bez pieniędzy.

-Masz rację! – Sasza zaakceptował poprawkę do swojego planu jaką wniósł kolega. – Zrobię to. A ty zasuway i pospiesz się. Nie chcę tu zamarznąć.

Granica państwowa Białorusi i Polski

Okolice chutoru Małyce

Białoruski patrol straży granicznej przebył już połowę odcinka, którego miał strzec, gdy prowadzący żołnierz podniósł rękę do góry i dał znak do zatrzymania. Patrzył na ślady stóp biegnący od polskiej strony w kierunku chutoru Małyce. Głęboko i ostro odcisnięte ślady butów sugerowały, że dwie osoby które tędy przeszły sporo ważyły.

-Znowuż Małynycz zrobił nas w konia – odezwał się drugi z żołnierzy i spojrzał w kierunku trzeciego zajętego przypalaniem papierosa. – Co o tym myślisz Wania?

-Chyba nie masz racji – wypuścił imponujący kłęb machorkowego dymu. – On przemycyca towar zawsze sam.

-Sprawdzimy kawałek jak biegały ślady, a potem zdecydujemy – powiedział dowódca patrolu, który pierwszy zauważył ślady.

Ruszyli śladami wijącymi się wśród sosen. Długo nie trwało, gdy stanęli pod okazałym jej okazem. O pień siedziało opartych dwóch mężczyzn. Obok każdego leżał parciały worek z jakąś nieforemną zawartością. Cała trójka bez słowa zdjęła broń z ramienia. Podchodzili ostrożnie do

nieruchomych postaci. W ostrym mroźnym powietrzu płynął do nich śmierdzący zapach na wpół strawionego alkoholu.

-Ruki w wierch! – krzyknął dowódca patrolu stojący w bezpiecznej odległości od leżących. Nic. Żadnego odzewu. – Wania! Obszukaj ich!

Wywołany żołnierz podszedł ostrożnie z boku do leżącego, uważając cały czas, aby nie znaleźć się na linii strzału z broni dowódcy. Pochylił się nad pierwszym mężczyzną. Śmierdzący odór na wpół strawionego alkoholu uderzył do w nozdrza. – „Jezu! Co oni chlali? Płyn z chłodnicy traktora?” - Ej! Ty! – szturchnął nogą mężczyznę, który zaczął coś mamrotać. Z rozmachem uderzył go w twarz. Mężczyzna jęknął. Wziął garść śniegu i rzucił mu w twarz. Teraz uderzył z lewa i z prawa. Osiągnął zamierzony efekt. Uderzony jęknął i otworzył oczy. Potoczył wokół błędnym wzrokiem. Zaczął coś mamrotać. Wania pochylił się niżej. Bełkot stawał się coraz bardziej wyraźniejszy i Wania z podziwu omal nie otworzył ust. Piętrowe przekleństwa płynęły coraz wyraźniej i wcale się nie powtarzały. Wszystko było po polsku, ale nie miał problemu ze zrozumieniem ich sensu. W pewnym momencie poczerwieniał na twarzy i szarpnął się do tyłu. - Moją matkę i rodzinę zostaw spokoju – warknął i kolba jego automatu wylądowała na głowie mówiącego. Mężczyzna jęknął i znieruchomiał. Żołnierz spojrzął w kierunku dowódcy patrolu.

-Wszystko słyszałem. Należało mu się – dowódca podszedł bliżej i opuścił broń. Ci ludzie załani w trupa nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia. – Zobacz co mają przy sobie.

-Żadnych dokumentów, kieszenie puste. W workach po parę kartonów amerykańskich papierosów i butelki z polską wódką. Ubrania też nie nasze. Wyglądają na polskie. – padł zwięzły meldunek.

-Chcecie przypiec dupę Małynyczowi? – dowódca patrzył w kierunku chutoru.

-No pewnie! – padła zgodna odpowiedź. – Dalej przemycą towar. „Wziatki” nie chce płacić, a złapać go nie możemy.

-To zrobimy tak – dowódca uśmiechnął się złośliwie. – Ty, Wania pójdziesz w kierunku chutoru i dojdiesz do chałupy Małynycza. Później pójdziesz do kolchozu i weźmiesz podwodę. Przyjedziesz z woźnicą tutaj. Przecież nie będziemy tych polskich przemytników targać na plecach do strażnicy. Później pojedziemy twoim śladem do chałupy Małynycza i zrobimy mu kipisz w domu. Wrzucimy go na podwodę do tych dwóch i zawieziemy na strażnicę. Jak posiedzi parę tygodni w „turmie”, to może zmądrzeje i zacznie płacić.

-A jak powie, że nie zna tych dwóch, a ci to potwierdzą? – odezwał się Wania.

-A kto w to uwierzy? Będą ślady do jego chałupy? Będą! A tym dwóm też się należy więzienny wikt. Jak nie umieją pić, to niech się nie biorą za przemyt. A jak dobrze pójdzie, to może załapiemy się na pochwałę w rozkazie albo na parę dni urlopu.

Plan dowódcy został zrealizowany. Napisały o tym niektóre gazety, ale nie na czołowych szpaltach. W końcu co to za afera. Pijani przemytnicy zostali złapani na gorącym uczynku przy próbie przekraczania granicy. Niemniej czcionki w białoruskich gazetach były znacznie większych rozmiarów niż te w Polsce. Wiadomość poszła w świat i dotarła do tych, którzy potrafili ją właściwie odczytać.

Katowice

Siedziba firmy ochroniarskiej

-Pan nic nie zrozumiał z tego co powiedziałem, senatorze - pienieł się dyrektor naczelny firmy ochroniarskiej i wcale nie próbował tego ukryć. Rzucił mu przed nos najnowsze wydanie gazety. - Niech pan to przeczyta.

Senator Stanisław Nowicki wziął do ręki dzisiejsze wydanie „Rzeczypospolitej”, którego jeszcze nie zdążył dzisiaj przeczytać. W oczy bił tytuł: „Rosjanie złapali dwóch polskich szpiegów na granicy w Kaliningradzie”. Obok zamieszczono zdjęcia dwóch młodych na łyso wygolonych mężczyzn.

-To są moi ludzie, których wysłałem do Kopacza na pańskie polecenie. Pojechali we czwórkę. Pozostała dwójka zapadła się pod ziemię i nie wiem gdzie teraz są. Może pan mi powie w której gazecie przeczytam, gdzie ich znajdą? – warczał dyrektor. – Nie tak się umawialiśmy! W co pan mnie ładuje ze swoimi koleśkami z poselskiej ławy!?

-Spokojnie – senator próbował uspokoić rozmówcę. – Trochę pan przesadza, a nie jest pan przecież ogrodnikiem. Zrobiliśmy niejednego deal i pomału wszystko się wyjaśni.

-Ja przesadzam?! Wszystko się wyjaśni?! Pan chyba zapomniał zabrać dzisiaj ze sobą swojego mózgu!

-Co!? Jak pan śmie! – senator spurpurowiał na taką obelgę. – Pan nie wie do kogo pan mówi! Nie pozwolę się obrażać! Może pan tego zaraz tego pożałować! Wiemy co, pan robił przedtem!

-Co!? Grozi mi pan? – dyrektor nagle uspokoił się jakby wypowiedziana groźba była balsamem na jego rozdygotane nerwy.

-Nie. Tak mi się tylko wyrwało – senator też już zdążył nieco ochłonąć i przemyśleć pewne sprawy.

Zastanowiła go jedna rzecz. W oczach swego rozmówcy dostrzegł objawy strachu. Były pułkownik Służby Bezpieczeństwa po prostu się bał i to było widać. Było to tak nieoczekiwane, że musiało zastanawiać. Znał go jako twardego faceta, a i jego teczka personalna też wskazywała, że to facet z jajami. Dlatego też wybrali go do współpracy. Do tej pory realizowali swoje plany z jego pomocą bez żadnych problemów. W twardy i bezwzględny sposób robił to co uzgodnili. On wybierał kasztany z ognia i żadne ślady nie prowadziły do nich. Oni rozpięli tylko nad nim ochronny parasol polityczny, a z tego zawsze można się łatwo wyłgać. Dobro i bezpieczeństwo państwa, ochrona młodej demokracji, prowokacja komuchów czy po prostu brak właściwych informacji, to były argumenty gwarantujące im bezkarność. W razie wpadki całe odium winy miało spaść na byłego esbeka i komucha. Obydwie strony były tego świadome i to akceptowały. W końcu „**pecunia non olet**”, a tylko to było przedmiotem ich zainteresowania, bo żaden pieniądz w kabzie nie śmierdzi. Obecna sytuacja mogła niekorzystnie wpłynąć na dalszą współpracę, a do tego nie mógł dopuścić. Stawką były zbyt duże pieniądze. Rozbicie układu robiącego dużą „kapustę” pod hasłem demokratyzacji i prywatyzacji mogło zaszkodzić wszystkim zainteresowanym. Ponadto musiał wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz. To Janek przysłał go do pułkownika i on rozdawał karty w tej grze. Zasiadał w tyłu komisjach sejmowych, że pewnie znał więcej tajemnic tego państwa niż dopuszcza to jakakolwiek ustawa. Jeżeli teraz kręcił jakieś „lody” poza układem, to musiał to z nim wyjaśnić. Teraz najważniejszym było uspokoić pułkownika i dowiedzieć co go tak wystraszyło.

-Ma pan niewątpliwie rację, że nie mam specjalnego doświadczenia w przeprowadzaniu akcji jakie robią służby specjalne, – zaczął ugodowo – ale nie widzę tu żadnego zagrożenia.

-No właśnie, - pułkownik obracał w palcach czarny długopis i przyglądał mu się uważnie – a wiadomość jest czytelna jak napis na taśmie filmowej i brzmi: - „Odpieprzcie się”. - Niech pan trochę pomyśli. Zleca pan obłożenie „podatkiem od ochrony” kilka firm na określonym terenie. Wysyłam tam swoich ludzi. Uzgadniają z wytypowanymi przez was firmami wstępne warunki płacenia. Nikt specjalnie nie protestuje. Zapewne dołożyli do tego jeszcze parę innych na tym terenie, bo interes zawsze można rozwinąć. Jadą po raz drugi i co? Znikają! Tak po prostu. Przenoszą się w ciągu doby o kilkaset kilometrów na terytorium obcego państwa. Taka teleportacja wymaga naprawdę dobrej organizacji i zastępu dobrze wyszkolonych ludzi. Znam niewiele „firm”, które stać na takie numery. KGB, Stasi, Mosad czy CIA miały niezłe wyniki w tej grze. Osobiście wolę z takimi ludźmi chodzić na wódkę niż się wadzić.

-A jak nie posłuchamy? Przecież jesteśmy u siebie i my tu rządzymy – senator nie zamierzał łatwo się poddać.

-Jak nie posłuchamy? To ... – pułkownik pociągnął ręką po gardle – zabijają nas i żadna gazeta nie napisze, że znaleziono nasze ciała. Znikniemy jakby nas w ogóle nie było.

-O cholera! – senator pobladł. – To co pan teraz robi?

-Ja? Przepraszę tych którzy wysłali tą informację.

-Jak?

-Dzisiaj albo jutro zwałą się tu wszelkiej maści pismacy węszący za aferą. Mam przygotowane oświadczenie, że to byli pracownicy mojej firmy, którzy zostali zwolnieni dyscyplinarnie. Powód - dopuścili się działań na swoją rękę i ja nie mam nic z tym wspólnego. Ci którzy to przeczytają zrozumieją.

-A jak nie?

-Zrozumieją jak się odpieprzycie od Kopacza i ośrodka sportów zimowych – pułkownik zaczynał być nieprzyjemny. – Poza tym nie wiadomo czy już się nam nie przyglądają.

-Szlag by to trafił – wymknęło się senatorowi i poprawił się na fotelu. Jak na jego gust to rozmówca za szybko zorientował się o co im tak naprawdę chodziło. A skoro zrobił to on to ... , inni też mogli i wcale go to nie ucieszyło. – To co pan proponuje?

-Ja? Składam oświadczenie na konferencji prasowej i puszczam cynk do swoich znajomych z branży, że strefa Kopacza to teren zadzumiony i należy go omijać z daleka. Później biorę urlop i jadę giglać małpy na Bahamach. Wam radzę zrobić to samo. Poczekamy i zobaczymy czy nikt nie ma dalszych pretensji do naszego dalszego zachowania.

-Przekażę to co pan powiedział. – senator wyciągnął rękę na pożegnanie. – Mam nadzieję, że nasza współpraca na tym nie ucierpi.

-Jak dożyjemy to możemy wrócić do tematu – twarde spojrzenie pułkownika sprawiło, że senator poczuł jak żołądek zamienia mu się w bryłę lodu i przyrzekł sobie solennie, że podobne odczucie zafunduje swojemu kumplowi z Sejmu. Przecież to on go w to wpakował.

Kopacz

Willa Gabe

Poranek dnia po wizycie „kasjerów”.

Michał z trudem otworzył oczy. Znajomy widok z okna jego pokoju z trudem docierał do jego umysłu. Miał problem z powrotem do rzeczywistości. Głowa ważyła chyba z tonę i zdawała się składać z wielu kawałków. Ostrożnie przewrócił się na prawy bok i wyciągnął rękę w kierunku budzika. Zaraz tego pożałował. Mózg eksplodował ostrym bólem i przeraźliwą jasnością przed oczami. Zamknął oczy i znieruchomiał. Po chwili ból trochę zelżał, ale nie było wcale lepiej. Jakiś złośliwy krasnoludek zakradł się do jego głowy i z zapalem rytmicznie kuł jego jaźń. Spojrzał na budzik. Zielone cyferki radośnie mrugały na godzinie dziewiętej. Omal się nie zerwał z łóżka. To był błąd. Do jednego krasnoludka dołączył drugi i z nie mniejszym zapalem zaczął pomagać pierwszemu. Delikatnie i powoli pomacał się po głowie. Była cała. Ból był jednak wszechobecny i zdawał się rozsądzać czaszkę. Język wydawał się być zdrewniałym kołkiem. Pić! – zażądała jakaś część jego organizmu. Jego wzrok padł na butelkę stojącą na nocnym stoliku obok budzika, którą postawiła tam jakaś litościwa ręka i przewidująca ręka. Powoli sięgnął po nią i skrzywił się. To była jakaś mieszanina soków. Teraz najchętniej wypiłby piwo, ale na bezrybiu i rak ryba. Opróżnił ją do dna.

Czuł się fatalnie i musiał coś z tym zrobić. „Podwójna aspiryna albo alkaprim powinno pomóc” – zmaterializowało się w jego umyśle. To wymagało jednak wyprawy do kuchni. Powoli i ostrożnie założył szlafrok. Poruszał się z rozwagą paralityka w podeszłym wieku. Nigdy nie sądził, że droga z piętra do kuchni może trwać tak długo. Już na schodach poczuł zapach świeżo zaparzonej kawy. „Dobra nasza – pocieszył się w myślach – wężu jeszcze nie straciłem”. Stał w drzwiach kuchni.

-O! Już wstałeś? – Marek jakby się zdziwił. – Jak się czujesz? – zainteresował się.

-Jak po utracie gwarancji – Michał ostrożnie ułokował się na taborecie przy kuchennym stole. Łeb mi pęka – przyznał się bez bicia. – Pić! Dużo! – poprosił.

-Zaraz coś na to zaradzimy – Marek sprawnie zakrzętnął się po kuchni i postawił przed nim jego kubek.

-Co to jest? – Michał nieufnie spojrzał na jasno brązową powierzchnię płynu wypełniającą kubek.

-Mieszanka firmowa. Nad wyraz skuteczna w takich przypadkach – oświecił go Marek. – Kawę i klina dostaniesz jak to wypijesz.

-Jesteś pewien? – Michał miał najwidoczniej zastrzeżenia do zapachu idącego z kubka.

-Tak! – ton Marka nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że wie co mówi. – Pije się to jak spirytus. No dalej! – zachęcił go.

-Raz kozie śmierć! – Michał wciągnął głęboko powietrze i opróżnił kubek. Wypuścił powietrze i oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdziwienia. – O Jezu! Chcesz mnie otruć?

-Poczekaj chwilę, a sam się przekonasz – Marek zrobił mu kawę i wzmocnił ją koniakiem.

- Co tam było? – Michał miał minę dziecka, które przed chwilą zostało w perfidny sposób oszukane przez rodzony ojca.

-Nie chcesz wiedzieć – zabrzmiała enigmatyczna odpowiedź. - Może kiedyś ci powiem – obiecał Marek tonem polityka przyrzekającego wyborcom gruszki na wierzbie.

-O rany! – wystękał Michał czując jak żołądek wywinął mu koźła i jakaś lubość rozlała się we wnętrzu jego ciała.

-Co? Działa? – Marek uśmiechał się z widocznym zadowoleniem.

-Operacja się udała, ale pacjent zmarł – pozwolił sobie na żart niedoszły pacjent, bo poczuł jak krasnoludki z coraz mniejszym zapalem przykładały się do pracy. Głowa też zaczynała jakby mniej ciążyć. – Działa – stwierdził z niejakim zdumieniem.

-Do południa będziesz już na chodzie.

-Ale ja muszę do firmy – słabo zaprotestował prezes Vikinga.

-Robota nie zając, nie ucieknie – Marek uśmiechnął się. – A poza tym byłem już w firmie i załatwiłem ci wolne u twojej sekretarki. Masz odpust do jutra rana. Wszystkich chętnych do rozmowy z tobą ma przelożyć na inny termin. Powiedziałem, że wczoraj świętowaliśmy twój wieczór kawalerski i musisz odpocząć.

-Co powiedziałeś? – wyraz nieukrywanego zdumienia pojawił się na twarzy Michała. – O Jezu! Co sobie teraz pomyśli o mnie Violetta? – zafrasował się nie na żarty. – Abstynenta z przekonania przerobiłeś na regularnego pijusa – delikatnie pokręcił głową z dezaprobatą.

-Spokojnie! Do niej też zadzwoniłem.

-A jej co powiedziałeś? – z napięciem czekał na odpowiedź. – A poza tym to skąd miałeś do niej numer? – zmarszczył brwi.

-Ze wyjeżdżamy na cały dzień w sprawach firmy i wrócimy dopiero wieczorem. A co do numeru ... , to nie takie rzeczy może znaleźć w pełni dysponowany poszukiwacz skarbów – oczy Marka miały całkiem niewinny wyraz.

-A niech cię! – Michał aż podskoczył na krześle i nieco się zdziwił. Gwałtowny ruch nie spowodował żadnych dolegliwości. Krasnoludki najwidoczniej też dostały wolne, bo nic już mu nie łupało w głowie. – Okłamałeś dwie Bogu ducha winne kobiety – podsumował jego działania. – Nie wstyd ci czasami jak patrzysz rano przy goleniu na siebie w lustrze? – zapytał z widoczną kpinią.

Wstyd? – zastanowił się Marek. – Nie! Szybko mi przechodzi jak sobie uświadomię, że było to zrobione dla dobra sprawy albo w intencji niesienia pomocy niedysponowanemu przyjacielowi – wyjaśnił z pełną powagą. – A zresztą mam od proboszcza pełną dyspensę na nie takie grzechy – podsunął mu najnowsze wydanie „Gońca Kopacza”.

Michał wziął do ręki miejscową gazetę. „Sensacyjne odkrycie!” bił w oczy wielki tytuł na pierwszej stronie”. W kościele odnaleziono zaginione dobra kultury narodowej” – to było już mniejszym drukiem. Przeczytał do końca artykuł i popatrzył pytająco na Marka.

-Tak – Marek skinął głową. – Zwróciłem obrazy i nas przy tym nie było. Mam nadzieję, że trafią tam gdzie jest ich miejsce, a nam nikt nie będzie chciał za to podziękować. A proboszcz dostanie fundusze na remont dachu kościoła.

-Aha! Tak to załatwiłeś – Michał z zadumą kiwał głową. – Teraz rozumiem czemu tak szybko dostałem tą obiecaną butelkę nalewki wiśniowej z zapasów proboszcza. – Skoro dokonałeś tak nie ekwiwalentnej wymiany, to szkoda że nie zapotrzebowałeś chociaż skrzynki tego boskiego nektaru – powiedział jakby z pewnym żalem.

-Nic straconego.

-Co nic straconego? – Michał podejrzliwie patrzył na Marka. – Zacząłeś chodzić na karty do plebana i stępiła ci się proletariacka czujność? – zakpił. – A może na starość padło ci na mózg i zamierzasz zacząć sponsorować „czarną stonkę” – straszne podejrzenie zakradło się do jego umysłu, że jego przyjaciel padł ofiarą teologicznych manipulacji księdza.

-Nie jest tak źle. Pozory często są mylące – Marek uśmiechnął się.

-Myślisz, że jest jakaś szansa na wymataczenie niewielkiej skrzyneczki? – zaciekawiał się.

-Wszystko jeszcze przed nami. Jutro też jest dzień – Marek zamknął temat.

-A jak tam akcja z kasjerami?

-Tak jak powiedziałeś. Operacja się udała, ale pacjent nie przeżył. A co pamiętasz? – ciekawość błysnęła w oczach rozmówcy.

-No – Michał zastanowił się. – Obróciliśmy połówkę i kasjerzy padli, tak jak przewidywałeś. Później ... , chyba zobaczyłem jak stoisz w drzwiach – jakaś mgła przysłaniała mu ostatnie zdarzenia.

-To ładnie pamiętasz – ucieszył się

-Co, ładnie pamiętasz!/? – obruszył się Michał, bo właśnie wróciła mu zdolność logicznego myślenia i zżerała go ciekawość jak to wszystko się odbyło.

-Tak jak powiedziałem – Marek dopił kawę w swoim kubku. – I niech tak zostanie – spojrzał mu prosto w oczy.

Teraz dopiero Michał zauważył jego czerwone z niewyspania oczy. Szarą, zmęczoną twarz. Cztery nie umyte kubki po starej kawie. Wyglądał jakby przejechał go walec drogowy. I to nie jeden raz. Ile czasu nie spał? 40 godzin? Albo i więcej. Na pewno nie układał w tym czasie pasjansa. Michał pokręcił głową. To mogło wykończyć niejednego młokosa. Jedno wiedział już na pewno. O szczegółach operacji nie dowie się niczego. Może kiedyś. Nie, chyba nie. Spojrzenie Marka nic takiego mu nie obiecywało. Zgodnie ze starą zasadą. Mniej wiesz, spokojniej śpisz. Niemniej jedną rzecz musiał wyjaśnić.

-Jak dotarłem do domu?

-Spokojne! Nie było żadnego obciachu – umysł Marka mimo zmęczenia funkcjonował na normalnym poziomie. – Przypiąłem cię pasami na przednim siedzeniu twojego samochodu i tak tu przyjechaliśmy. Nie wiedziałem tylko, że zaczniesz tak dużo ważyć jak będę cię taszczył, po schodach na górę. Nikt nie widział szacownego dyrektora największej firmy w Kopaczu w stanie upojenia alkoholowego – zakończył z niewyraźnym uśmiechem zmęczenia na twarzy.

-Wielkie dzięki – Michał zdawał sobie sprawę jak ważne jest dbanie o właściwą reputację w tak małej miejscowości jak Kopacz. Tu, nawet jedno niewłaściwe pierdnięcie we własnej łazience, mogło się odbić potężną aferą na drugim końcu miasteczka. - Może pójdziesz się trochę przespać – zaproponował przyjacielowi. – Sam przecież powiedziałeś, że mamy wolne do wieczora.

-Dobrych rad się nie odrzuca –Marek powoli podniósł się zza stołu.

-Posprzątam w kuchni – wskazał głową na baterię brudnych kubków po kawie. – Zrobię coś na obiad i zostawię ci w piekarniku kuchenki.

Ze mną jak z dzieckiem. Za rączkę i do baru – Marek zacytował jego ulubione powiedzonko i już go nie było.

Michał popijał kawę i zastanawiał się nad ostatnimi wydarzeniami. Jakie będą efekty operacji w której wyznaczono mu rolę figuranta? Jak potoczą się losy jego znajomości z Violetta? Co wyjdzie z tegorocznych prób wyjaśniania tajemnic III Rzeszy? Nawet mu nie przyszło do głowy, że już w najbliższym czasie pojawią się pierwsze odpowiedzi. I to takie, że nie wymyśliłyby ich nawet autor powieści fantastyczno-naukowych. No cóż, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

Kopacz Willa Gabe

-Niesamowite! – Michał odłożył ostatnią przeczytaną gazetę z artykułem zakreślonym przez Marka. – Nie wiem jak to zrobiłeś, ale nie chciałbym mieć z tobą zatargu – nawet nie próbował ukryć podziwu. – Tak załatwić czterech bandziorów, to mistrzostwo świata. Jeszcze ten wywiad szefa firmy ochroniarskiej, to już prawdziwy majstersztyk

-To ostatnie, to nie moja zasługa – Marek uśmiechnął się. – Facet zrozumiał przesłanie zawarte w naszej akcji i zareagował jak prawdziwy fachowiec. Zresztą warto się zastanowić nad jego odpowiedzią.

-Jaką odpowiedzią? – Michał wziął ponownie do ręki gazetę w której zamieszczono wywiad z szefem firmy ochroniarskiej z Katowic i przeczytał go jeszcze raz. – Przecież tu nic nie ma – skonstatował z niejakim zdziwieniem. – Przecież on sobie tylko obija blachą dupę tak na wszelki wypadek.

-To nie do końca tak jest jak ci się wydaje. Informacja brzmi: „Ja to zrobiłem na zlecenie i więcej nie chcę mieć z tym nic do czynienia”.

-Przecież tu nic takiego nie napisali – Michał o mało co, a wziąłby ponownie gazetę do ręki.

-Widocznie nadszedł czas abyś posiadał umiejętność czytania między wierszami. Skoro zacząłeś szukać skarbów, to przyda ci się to na przyszłość. Tam też trudno znaleźć coś czego nie widać.

-No dobrze. Z czego to wywnioskowałeś?

-Tylko dwa sformułowania mogą nas interesować: „To byli moi byli pracownicy i nie mogę brać odpowiedzialności za ich działania”, oraz „Ten teren nie leży w zainteresowaniu naszej firmy”. Reszta to typowy bełkot medialny. Chociaż ... – Marek zawahał się.

-Co ci jeszcze wpadło do głowy?

-Możliwe, że jest to zaproszenie do prywatnej rozmowy na boku.

-Uważasz, że jest to mądry pomysł? – Michał był nad wyraz sceptyczny.

-Praktyczny – odparł Marek. – Ten człowiek może być kluczem do rozwiązania zagadki. Kto mu to zlecił i co za to obiecał. Dzięki temu nie będziemy musieli zbyt węszyć i ryzykować, że komuś podpadniemy. A swoje i tak będziemy wiedzieć.

-No nie wiem ... , najwyraźniej nie był zachwycony tym pomysłem. - Chociaż z twoimi pomysłami i możliwościami, kto wie... .

-Wiem już, że to były zastępca szefa Służby Bezpieczeństwa we Wrocławiu w stopniu pułkownika. Obecnie na „zasłużonej” emeryturze. Maczał palce w paru prywatyzacjach jak się obecnie eufemistycznie nazywa kradzież majątku narodowego. Ma więc powiązania z biznesem i obecnymi politykami. To może ułatwić sprawę.

-Zbyt niebezpieczne – ocenił Michał. – Jak to sobie wyobrażasz? Wejdzimy tak sobie z ulicy i prosto z buta zapytamy o to co nas interesuje? Dopiero wtedy wystawimy się na strzał i nie będziemy wiedzieć kto nam dopięprzył. Nie piszę się na to!

-Spokojnie, powoli. Jest takie rosyjskie przysłowie: „Wsio waźmożno tolko astarożno”.

-Znam to. Wszystko można zrobić, byle ostrożnie – przetłumaczył prawie dosłowne znaczenie użytego zwrotu. – Nadal nie widzę bezpiecznej możliwości – podsumował.

-Jeżeli facet weźmie sobie teraz wolne i wyjedzie gdzieś na wczasy, to zrobimy to. Takie zachowanie oznacza również określona informację – zdecydowany ton oznaczał dla Michała, że decyzja została już przemyślana i będzie realizowana.

-Możesz mi to trochę przybliżyć – powiedział z rezygnacją.

-To proste. Szukamy znajomego znajomego albo jeszcze dalszego wspólnego znajomego i fundujemy mu wycieczkę do tego samego miejsca, gdzie będzie pułkownik. Ma od niego uzyskać odpowiedź na pytanie, które my chcemy zadać. Przy odpowiednim funduszu na napoje wyskokowe nie będzie to trudne. I wszystko.

-Przecież to wszystko rypnie się już na początku albo w chwilę po tym – ocenił Michał. – Taki łańcuszek Świętego Antoniego nie ma szansy na dochowanie tajemnicy. Ty co!? Rozum w domu zostawiłeś? – zaniepokoił się.

-Niekoniecznie – Marek uśmiechnął się pod nosem. – Ufundujemy trzy nagrody w jakimś konkursie w postaci wycieczek w miejsce, które będzie nas interesowało. Jedna nagroda trafi do naszego „wycieczkowicza”. Fundusz „gorzelnianym” będzie nagrodą za przywiezienie odpowiedzi na całkiem niewinne pytanie. Reszta, to tylko techniczne detale jak to zrobić.

-Twoje szatańskie pomysły chyba nigdy nie przestaną mnie zadziwiać – pokiwał głową Michał.

-To dar opatrności – zakomunikował mu Marek. – Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażony tak niskimi metodami moich działań – uśmiechnął się z satysfakcją najedzonego kota.

-Wręcz przeciwnie. Świadomość, że zacząłeś wyrównywać rachunki z tymi osobnikami, daje mi dziwne zadowolenie.

Obydwaj uśmiechnęli się do siebie z pełnym zrozumieniem. I nie było w tym nic dziwnego. Obydwaj doskonale zdawali sobie sprawę, że mają do czynienia z powtórką sytuacji, gdy zaczęli interesować się ruinami zamku Lutzow. Wtedy nie mieli zielonego pojęcia, co mogą znaleźć, gdy po raz pierwszy próbowano zablokować im możliwość poszukiwań na terenie zamku. Było to tylko potwierdzeniem, że „macają” we właściwym miejscu. Teraz sytuacja się powtarzała. Zainteresowali się kopalnią i już się zaczęły kłopoty. Wydawało im się, że robią to w miarę dyskretnie. Mieli pełne prawo sadzić, że ich poprzednie odkrycie do dzisiaj pozostały tylko ich tajemnicą. Skarb, który wpadł im w ręce musiałby narobić wiele szumu, gdyby dowiedział się o tym ktoś postronny. Tak jednak nie było.

Utrudnianie poszukiwań miało dziwny charakter. Były to działania poprzez oficjalne interwencje obecnej władzy. Władzy, która wykonywała najwyraźniej czyjeś dyspozycje i nie miała zielonego pojęcia, o co tak naprawdę w tym wszystkim chodzi. Odnosiło się wrażenie, że zleceńodawca chce pozostać w cieniu. Jedynie czwórka poszukiwaczy zdawała sobie sprawę o co tak

naprawdę toczy się gra. Tajemnice III Rzeszy miały nadal pozostać tajemnicami. W tej materii mieli jednak inne zdanie. Istniała duża szansa, że uchylą rąbka tajemnicy i byli zdecydowani to zrobić.

Okolice Kopacza

Teren opuszczonej kopalni Litosche A.G.

Czas na przestawienie – oznajmił Michał, gdy siedli do obiadu w kuchni ich domu firmowego. – Mam przygotowany cały sprzęt do zamontowania na terenie kopalni. Jak nie masz nic zaplanowane na popołudnie, to kończymy obiad. Bierzemy dupę w troki i jedziemy – zaproponował z właściwą sobie bezpośredniością.

-Czemu nie – Marek ożywił się. Czas przeznaczony na pobyt w Kopaczu zaczynał mu się kurczyć, a było jeszcze tyle spraw do wyjaśnienia. – Mogę nawet pozmywać po obiedzie – zaoferował się .